TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Polska w alercie: jak odpowiedzieć Rosji

Nie strzelajcie do myśliwych

Falklandy czy Malwiny: spór z Trumpem w tle

Więcej nauki! Kogo zniszczy AI? Czas robotów

„Lalka” Netfliksa: o co ten zgiełk

DODATEK: 50 lat temu KOR zmienił Polskę

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 23 – 29 września 2026 | nr 39 (4029)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

ZETKI: WASZ ŚWIAT NIE JEST NASZ

DLACZEGO MŁODZI POLACY WIERZĄ W SPISKI I FEJKI, A NIE WIERZĄ W DEMOKRACJĘ

STR. 10-15



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl e0187a52f8



eprasa.pl e0187a52f8

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Polska w alertach
WOJCIECH PIĘCIAK

8-9 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Pomyleni z dzikiem
MAREK RABIJ
Pogarda to najlepszy prezent dla tych myśliwych, którzy nie chcą iść na żadne ustępstwa wobec reszty społeczeństwa

20 Uniknąć wszystkiego
ANNA KORYTOWSKA
Dla osób z fobią społeczną zwykłe elementy codzienności mogą być źródłem paraliżującego lęku

23 Kto myśli rozsądnie
ROZMOWA Z MICHAŁEM RYDLEWSKIM:
Intelektualiści zaczęli przegrywać walkę o wyjaśnianie świata. Czym w tej sytuacji jest tzw. zdrowy rozsądek?

■ ■ ŚWIAT

28 Sen o Wielkiej Argentynie
MACIEJ STASIŃSKI
O co chodzi w sporze o Falklandy/ /Malwiny? Jaką rolę odgrywa w nim Trump?

32 Jeśli wojna dotrze do nas
MALWINA TALIK: *Co zrobią Austriacy, jeśli Rosja zaatakuje Polskę? Czy w ich świecie jest jeszcze miejsce na neutralność?*

36 Innej Rosji nie będzie
WOJCIECH KONOŃCZUK
o nowej książce Anny Łabuszewskiej

■ ■ WIARA

40 Najstarsza córka jest coraz mniejsza
ROZMOWA Z PROF. GUILLAUME'EM CUCHETEM:
Do jakiej Francji przyjeżdża papież Leon

44 Psu brat
BARBARA NIEDŹWIEDZKA
Nowy dokument Watykanu nazywa krzywdę zwierząt grzechem przeciw Stwórcy

46 Z Emmy na ołtarze



CBS ARCHIVE / GETTY IMAGES

ARTUR SPORNIAK
Abp Fulton Sheen, popularny teleewangelizator, zostanie beatyfikowany

NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10
Wasz świat nie jest nasz
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Skąd ich miłość do Mentzena i Zandberga? Po co im wybory i państwo? Dlaczego dają się kiwać algorytmom i teoriom spiskowym? Prześwietlamy poglądy polskich zetek.



■ DODATEK HISTORYCZNY ■

50 LAT KOR: POLSKI POMYSŁ NA WSPÓLNE DZIAŁANIE

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
o wyborach w Rosji

27 OLGA DRENDA
o byciu czasem serio

38 NATALIA DE BARBARO
o inteligencji emocjonalnej

49 ZUZANNA RADZIK
o kobiecie-katolickim księdzu

60 ELIZA KĄCKA
o najpiękniejszym miesiącu w roku

84 PAWEŁ BRAVO
o smakach końca lata

90 TOMASZ STAWISZYŃSKI
o kontrkulturowym katolicyzmie

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY:
MICHAŁ OKOŃSKI

47 Ludzie na progu
MONIKA BIAŁKOWSKA
Zapowiadamy „Pielgrzymkę z obrzeży Kościoła"

48 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

62 Nadchodzą roboty
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
O tym, czy humanoidy zadomowią się w naszym świecie, zdecyduje rozwój AI

66 Utrata kontroli
SYLWIA CZUBKOWSKA
Twórcy modeli AI przestrzegają przed szykowaną nam przez nią zagładą. To bardziej science fiction czy thriller polityczny?

■ ■ KULTURA

70 Autor i widmo
INGA IWASIÓW
Trendy w polskiej prozie: autobiografie i zwierzenia nadal popularne, ale nasza uwaga coraz częściej zwraca się ku grozie i fantasy. Schodzimy w rejony ducha

74 Czułość to nowy punk



ALICJA SZULC / / MATERIAŁY PRASOWE MSN

ROZMOWA Z ŁUKASZEM RONDUDĄ:
Potrzebujemy kina w duchu „Dekalogu" Kieślowskiego: integrującego i otwierającego na to, co wypieramy

76 Upiory z Doliny Sangorskiej
PAWEŁ KICMAN
o nowej grze studia Rebel Wolves

79 Polecamy

80 Zabawa „Lalką"
ANITA PIOTROWSKA
Serial Pawła Maślony to wariacja wokół powieści Prusa. I zuchwała powiastka emancypacyjna

81 Wielki powrót
LEKTOR *o „Niepokonanych" Williama Faulknera w przekładzie Jacka Dehnela*

■ ■ ZMYSŁY

86 Ptaki nie znają granic
PIOTR TRYJANOWSKI
Birdwatching to zachwyt i buchalteria, przyciągające szczególny typ ludzi

eprasa.pl e0187a52f8

KS. ADAM

Boniecki: *Droga do mądrości przeciera się przez pokolenia*



GRAŻYNA MAKARA

Okładkowy raport Przemysława Wilczyńskiego nie chce być ani smutny, ani optymistyczny. Jak to bywa z raportami: ma przedstawiać sytuację taką, jaka jest. Z faktami nie sposób polemizować. Trudno jednak nie dodać, że jest to opis sytuacji, która nie jest szczególnie radosna.

Oto mamy w Polsce do czynienia z nowym typem wyborcy, polityka, obywatela. Podlega on naciskom różnych środków przekazu, a ich technika, metody udostępniania narzucanej odbiorcom treści, są o wiele doskonalsze i skuteczniejsze niż w przeszłości. Daleki od przekonania, że w przeszłości było lepiej, sądzę, że dzisiaj nowe pokolenia obywateli są jednak wystawione na niebywałe próby. Nie dziwi mnie więc, że w swoich predylekcjach, swojej wierze i swoich zwątpieniach mogą się dać uwieść albo po prostu nabrać. Co gorsza, nie widzę na to rady. Tak wygląda droga do mądrości, którą przeciera się przez pokolenia.



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

PRZEMYSŁAW

Wilczyński: *Dyskretny urok spisku*

Macie swoją ulubioną teorię spiskową? Wedle tej, którą usłyszałem od **DR. KONRADA CIESIOŁKIEWICZA** (wypowiada się w naszym tekście okładkowym), sprawy świata mają się następująco. Otóż wszyscy Żydzi z Izraela mają zostać przetransportowani wraz ze swoim państwem do Ukrainy. Tyle Ciesiołkiewicz, resztę wygooglowałem. Zakrojona na szeroką skalę operacja to „Niebiańska Jerozolima", a w działania zaangażowani są Polacy (raczej z tych nienawidzących Polski), którzy celem zrobienia miejsca dla Żydów, zaprosili tysiące Ukraińców do siebie, dając im miejsce do spania i 800 plus. „Nie wierzycie? Śpijcie dalej" – skomentował jeden z dyskutantów na FB.

Gdy w krótkiej sondzie przetestowałem ze znajomości tej teorii kilkoro przedstawicieli pokolenia X i Y, polegli. Za naszych czasów – mówili – Żydów wysyłano na Madagaskar (nie tyle nawet, dodajmy dla porządku, w ramach teorii spiskowej, ile w ramach prawdziwej koncepcji przejętej później radośnie przez antysemitów), ewentualnie głoszono, iż 11 września 2001 r. żaden Żyd nie stawił się w WTC do pracy.

Okazuje się jednak, że pokoleniowe różnice w przeżywaniu teorii spiskowych są głębsze. Starsi – mówi to w naszym tekście inna badaczka,

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 39

SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl e0187a52f8

Ale zjawisko, o którym pisze Przemysław Wilczyński, może mieć dalsze ciągi i konsekwencje, które będziemy odczuwali na własnej skórze. Nad tym nie ma co się rozwodzić. Można natomiast myśleć z nadzieją o tych, którzy będą wpływać na losy narodu i państwa na dłuższą metę – o naukowcach, ekspertach, specjalistach. Na szczęście rośnie ich liczba. Nie robią szumu, „ślęczą" (tak się mówi) nad książkami w szkole, potem zgłębiają kwestie trudne – czasem bardzo trudne, a zawsze wymagające ogromnej cierpliwości.

Raport mówi o nowym pokoleniu. Myślę, wierzę, mam nadzieję, że również w nowych pokoleniach znajdzie się tych ekspertów wystarczająco wielu. Że znajdą się rodzice potrafiący ich wychować lub im towarzyszyć (rodzice, którzy nie wymagają, popełniają błąd, podobnie jak ci, którzy wymagają nad miarę...). I jestem jednak optymistą. Że liberalna demokracja trafia na sceptycyzm? „Silnego i mądrego przywódcę" już mieliśmy. Tymczasem trzeba robić swoje, wiedząc, że nie ma prostych rozwiązań, a z tymi, co są, trzeba się pogodzić i rzeczywiście je realizować. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

DR ANNA BUCHNER – częściej potrzebują wiary w spisek, by utwierdzić się w swoim poglądzie lub światopoglądzie, „w przypadku młodszych generacji decyduje bardziej coś, co nazwać by można »urokiem teorii spiskowej«, będącej częścią świata rozrywki".

Wiara w tego rodzaju teorie, ekspozycja na fake newsy, wybierane kanały informacyjne: tutaj wszystko – jakkolwiek to zabrzmi w omawianym temacie – łączy się w całość.

I może dlatego temat malowniczych z pozoru urojeń zasłużył sobie na obecność w aż dwóch tekstach jednego wydania poważnego tygodnika. Im więcej czasu przed ekranami – czytam w raporcie „Między faktem a feedem" – tym większa skłonność młodych ludzi do wiary w spiski. Im większa ta skłonność, tym mniejsza może być wiara w takie wynalazki jak demokracja. „W jednym z eksperymentów badani, którzy czytali artykuły zawierające teorie spiskowe (...), byli później mniej skłonni popierać działania prospołeczne, takie jak szczepienie dzieci czy uczestnictwo w wyborach. To sugeruje, że teorie spiskowe mogą działać jak swoisty »kwas społeczny«".

Mówiąc inaczej, przeniesienie Izraela na Ukrainę może i nie jest wykonalne, ale już demontaż naszego bezpiecznego porządku owszem. Nie wierzycie? Śpijcie dalej. ©℗

Redaktor i dziennikarz „TP" piszący na tematy edukacyjne i społeczne. Biograf ks. Jana Kaczkowskiego, współautor książki „Broad Peak. Niebo i piekło".

TP JUŻ ZA TYDZIEŃ



OLGA TOKARCZUK
w rozmowie z Michałem Okońskim i Tomaszem Stawiszyńskim o nowej powieści, prawie do zapominania i epidemii głupoty.

„W literaturze chodzi o to, żeby prostym, narracyjnym językiem próbować wszystkie możliwości bytu. W moich opowieściach nie ma stwierdzeń, są tylko przypuszczenia, ulotne idee, pokrętne pytania i zwariowana metafizyka"

W NUMERZE TAKŻE:
„Włóczykij Kulturalny", dodatek o najważniejszych wydarzeniach tej jesieni.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl e0187a52f8

OBRAZ TYGODNIA

14–20 WRZEŚNIA 2026

ZAGROŻENIE ATAKIEM Z POWIETRZA: takie alerty otrzymali mieszkańcy Lubelskiego i Podkarpackiego w związku z obecnością rosyjskich dronów w pobliżu granicy. Dowódca operacyjny wydał rozkaz zestrzelenia obiektu, który miałby wlecieć na terytorium Polski, a premier powiedział, że według służb wywiadowczych „przypadkowe" uderzenia Rosji na państwa wspierające Ukrainę to część jej planu prowokacji. ■■■ **NATO** jest gotowe zareagować na ewentualną eskalację działań Rosji na wschodniej flance – zapewnił szef Komitetu Wojskowego Sojuszu, admirał Giuseppe Cavo Dragone, mówiąc o „czterech tysiącach stron" planów wojskowych na takie wypadki. ■■■ **O AMERYKAŃSKIEJ BAZIE** w Polsce napisał w mediach społecznościowych Donald Trump, dodając, że „dzięki odważnemu przywództwu mojego przyjaciela, Karola Nawrockiego" poczyniono w tej kwestii znaczne postępy. ■■■ **KOALICJA ANTYBALISTYCZNA,** utworzona przez Ukrainę w lipcu z udziałem Francji, Wlk. Brytanii, Niemiec, Włoch, Hiszpanii, Holandii, Norwegii, Danii i Szwecji, obejmie również Polskę – poinformowali prezydent Zełenski i premier Tusk. Celem inicjatywy jest budowa nowych zdolności do obrony przed pociskami balistycznymi. ■■■ **UKRAIŃSKIE DRONY** po raz kolejny uderzyły na obwód moskiewski, trafiając m.in. w rafinerię ropy naftowej, a dotkliwość ataku zwiększył fakt, że odbył się w trakcie zorganizowanych w Rosji wyborów do Dumy. ■■■ **JEDNA ROSJA**, partia związana z Putinem, znów będzie miała większość miejsc w parlamencie. Pozostałe ugrupowania, które się w nim znajdą, również są zależne od Kremla – opozycji do udziału w wyborach nie dopuszczono. ■■■ **AFD** wygrała wybory w kolejnym kraju związkowym: w Meklemburgii-Pomorzu Przednim dostała ponad 38 proc. głosów. CDU premiera Merza nie przekroczyła progu 5 proc. – najgorszy wynik w dziejach tej partii potężnie osłabia mandat szefa rządu. ■■■ **DANIA, GRENLANDIA I USA** podpiszą porozumienie, które Donald Trump określa jako „spełnienie marzeń" USA. Do aneksji wyspy nie dojdzie, ale Amerykanie zwiększą na niej obecność militarną. ■■■ **KANADA** rozpoczyna rozmowy o stowarzyszeniu z UE; bliższą integrację kraju z Europą popiera 81 proc. jego mieszkańców. ■■■ **AGENCJA MOODY'S** obniżyła długoterminowy rating Polski, jako główne przyczyny wskazując utrzymujące się wysokie deficyty, wzrost długu i kosztów jego obsługi oraz osłabienie skuteczności polityki budżetowej rządu. ■■■ **PREZYDENT I RZĄD** spierają się o obniżenie cen paliw. Sejm znów uchwalił (zawetowaną wcześniej) ustawę wprowadzającą podatek od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych; Karol Nawrocki ma swój, konkurencyjny projekt. ■■■ **MACIEJ BEREK** zostanie zaprzysiężony przez głowę państwa na sędziego TK, jeśli rozwieje wątpliwości, czy ma 10-letni staż radcy prawnego – oznajmiła Kancelaria Prezydenta. ■■■ **ROZWÓJ PLUS** ma wicemarszałka Sejmu: Marcina Horałę, popartego w głosowaniu m.in. przez posłów KO. Kandydatura Marcina Ociepy z PiS przepadła. ■■■ **SZYMON HOŁOWNIA** został nowym szefem klubu Polski 2050. ©℗



HUBERT BIERNDGARSKI / REPORTER

POWYŻEJ: Rosyjski dron, który dotarł na plażę koło Jarosławca, miał głowicę bojową. Saperzy zdetonowali ją na plaży. 14 września 2026 r.

POLSKA W ALERTACH

Rosja eskaluje i grozi, podnosi poziom napięcia w Polsce i krajach bałtyckich. Testuje naszą odporność i determinację. Ale przecież damy radę.

WOJCIECH PIĘCIAK

Wojny NATO z Rosją nie będzie. Nie będzie tego, co znamy z filmów (a najstarsi z młodości). Nie będzie powtórki z 1 i 17 września. Nie jesteśmy sami: Polska i kraje bałtyckie mają sojuszników. I jeśli będzie trzeba, może być ich tylko więcej, nie mniej.

To nie znaczy, że nie ma zagrożenia. Ostatnie zdarzenia – atak drona obok polskiej granicy; dron nad Litwą i kolejne na polskiej plaży i pod Przemyślem; w tle groźby zniszczenia Polski – pokazują, że Putin eskaluje swoją nieregularną kampanię. Chce wywołać napięcie i panikę, chaos i znużenie. Kalkuluje, że część z nas w końcu powie: Braun ma rację, zostawmy Ukrainę, dogadajmy się z Rosją.

eprasa.pl e0187a52f8



Do mieszkańców Przemyśla

Dzisiejsza sytuacja to rzecz bez precedensu! (...) Musimy nauczyć się reagować w takich sytuacjach, bo w czasie kryzysu najgorsze, co może się wydarzyć, to chaos (...)

Co robić w przypadku alarmu? Najprościej mówiąc: postępować zgodnie z komunikatami! Dzisiejszy komunikat mówił: proszę znaleźć bezpieczne miejsce. Czy takie miejsce to schron? Nie tylko. Miejscem bezpieczniejszym od siódmego piętra bloku będzie pomieszczenie na parterze; miejscem bezpieczniejszym od salonu z oknami będzie wewnętrzna łazienka (bez okien). (...) Nasze jednostki, w tym oświatowe, mają również określone procedury w takich sytuacjach (...). Dzieci i młodzież przeprowadzane są w bezpieczniejsze miejsca na terenie szkoły czy placówki, nie opuszczają jej.

W czasie alarmu (...) nie ma ani czasu, ani zasobów na odbieranie telefonów (...). Nie uruchomimy infolinii dla tysięcy osób, które chciałyby o coś zapytać. (...) Im lepiej wszyscy zapoznamy się z procedurami, im bardziej sami będziemy przygotowani, tym bezpieczniejsi będziemy! (...)

Wojciech Bakun, 17 września.

Kalkulacja nie jest abstrakcyjna. Głosy zwątpienia pojawiały się w tych dniach np. na grupach (bieszczadzkich, podkarpackich) w social mediach. Ich autorami nie były „ruskie onuce", lecz ludzie, którzy pod nazwiskiem wyrażali swój strach. Albo złość i nieufność („Jedna banda zabraniała wychodzić z domu i kazała nosić maski, a druga każe chować się w piwnicy").

KWESTIA PROCEDUR | Od wielu nocy mieszkańcy Podkarpacia i Lubelszczyzny dostają alerty. Nie są pewni, co z tym robić. Kłaść się spać w wannie? Ignorować? W czwartek 17 września rzecz była przynajmniej jasna: pod Przemyśl dotarł dron, syreny zawyły modulowanym dźwiękiem, nauczyciele sprowadzali uczniów do piwnic. Choć nie wszędzie. Było trochę zamętu.

Po wszystkim prezydent miasta opublikował komunikat do mieszkańców, rzeczowy i spokojny. W puencie Wojciech Bakun pisze: „Głosy mówiące, że te »alarmy są już nudne«, są co najmniej niezrozumiałe. (...) Nie ma w chwili obecnej innego skutecznego sposobu na poinformowanie ludności o możliwym zagrożeniu, zwłaszcza w terenach przygranicznych. Pozostaje życzyć nam wszystkim, aby takie sytuacje nie miały więcej miejsca, a jeśli już się wydarzą, żebyśmy spokojnie i ze zrozumieniem podeszli do procedur bezpieczeństwa".

Procedury, najlepiej przećwiczone, są ważne: w sytuacji skrajnej, gdy pierwszy odruch to strach, są „pamięcią mięśniową". Dają pewność, co robić, automatycznie.

PRZEMYŚL–KRAMATORSK | Jednym z celów Rosji – jej kampanii poniżej progu klasycznej wojny, ale na tyle agresywnej, że dopuszczającej ofiary – jest zniechęcenie do dalszej pomocy Ukrainie. Jej kontynuacja to tam kwestia przeżycia: bez niej Ukraina upadnie, a wtedy Przemyśl stanie się miastem przyfrontowym.

Dziś wciąż jest nim Kramatorsk w Donbasie. Byłem tam wiele razy, z pomocą m.in. dla szpitala (w tym roku na Ukrainę pojechało sześć transportów, także od czytelników „TP"; jesienią/zimą będą kolejne). Do frontu blisko, rakieta doleci, zanim zawyją syreny. One wyją co chwila. Aby być w zgodzie z przepisami, personel powinien zwozić rannych do piwnicy, potem wywozić i tak w kółko. W wypadku ciężej rannych to nierealne. Personel zdecydował, że ranni nie są zwożeni; zostają z nimi ochotnicy.

Jest w interesie Polski, by rosyjskie drony FPV sięgały nadal tylko Donbasu (w użyciu jest ich tam kilka tysięcy – dziennie). Żeby do polskiej granicy mogły dolatywać, jeśli już, tylko pojedyncze bezzałogowce dalekiego zasięgu.

KRYTYCZNA ZIMA | Jakich by wątpliwych decyzji („bohaterowie UPA" itd.) nie podjął jeszcze Zełenski, jest w interesie Polski, aby wolna Ukraina przetrwała zimę 2026/27. Będzie ona gorsza niż poprzednia. Putin grozi, że Ukrainę „zamrozi". Ciągłe naloty na infrastrukturę, także logistyczną (w tym koleje i stacje benzynowe, zwłaszcza na Lewobrzeżu), mają wywierać presję. Podważyć rutynę, którą Ukraińcy wypracowali przez cztery lata („nienormalną normalność"), a na koniec wymusić kapitulację.

Aby się bronić, Ukraina potrzebuje też antyrakiet do systemów Patriot, deficytowych. Słyszymy, że polski rząd rozważa ich donację. W prawdzie „niewielką liczbę", ale wspólnie z innymi krajami, co finalnie ma być odczuwalne. Opozycja to krytykuje. Michał Dworczyk (dziś Rozwój Plus) mówił w radiu RMF, że Polska nie powinna ich oddać, bo to uzbrojenie krytyczne.

Jest niekonsekwentny. Gdy był ministrem w rządzie PiS, popierał donacje sprzętu (oddawanego z jednostek) i zapasów ropy (Rosja niszczyła wtedy ukraińską rafinerię). Wtedy też możliwe były różne scenariusze. Jesienią 2022 r. ukraińscy oficerowie mówili mi, że poważnie boją się nowej ofensywy z terenu Białorusi, która pójdzie wzdłuż polskiej granicy i odetnie Ukrainę od Polski i pomocy. Byli wdzięczni rządowi PiS, że dzięki polskim czołgom i ropie odbili Izium i trzymają front.

STRACH I ODWAGA | Strach jest odruchem, naturalnym. Ten indywidualny: o bliskich, o dorobek życia. Oraz na planie szerszym: o świat, który zbudowaliśmy w Polsce i Europie Środkowej po przełomie 1989-1991, gdy upadł moskiewsko-sowiecki system opresji. Różnie się odnajdujemy w tym świecie, ale jest nasz. A Rosja nie jest zainteresowana dogadaniem się – chce podległości, na swoich zasadach.

Strach jest odruchem, za to odwaga jest decyzją. Jeśli chcemy zachować nasz świat, musimy być gotowi, by go bronić. Także poprzez nasze nastawienie. Brytyjskie *keep calm and carry on*, zachowaj spokój (oraz pogodę ducha) i rób swoje – to zdanie niemiłosiernie opatrzone, ale prościej ująć się tego nie da. ©℗

eprasa.pl e0187a52f8



W trosce o pacjentów

MAREK KĘSKRAWIEC

Sejmowa komisja zdrowia próbowała zająć się tematem odpowiedzialności zawodowej lekarzy i – wedle zgodnych relacji posłów z różnych partii – był to pokaz buty i arogancji ze strony samorządu lekarskiego, który nie ma ochoty ani karać, ani przekazywać danych na temat sądzonych medyków. Jak później przyznał na antenie Polsatu wiceminister klimatu i środowiska Sławomir Ćwik, rządzący boją się strajku i pozbawienia pacjentów opieki. W trakcie wywiadu padło sakramentalne: „żaden rząd jeszcze z lekarzami nie wygrał", co pokazuje, w jakim miejscu jesteśmy niemal cztery miesiące po wybuchu afery ujawniającej monstrualne zarobki części środowiska, korzystającego z nieprzejrzystego systemu finansowania publicznej ochrony zdrowia.

Nieprzejrzystego również dlatego, że tak jest lepiej dla izb lekarskich, skrzętnie skrywających niektóre tajemnice zawodu, jak choćby tę, że – wbrew twierdzeniom samorządu medyków – lekarzy zarabiających powyżej 100 tys. zł miesięcznie nie ma w Polsce 600, ale co najmniej kilka razy więcej. Na dodatek, gdy kolejne z gigantycznych kontraktów zawieranych przez szpitale wychodziły na jaw, można było odnieść wrażenie, że zdaniem izb lekarskich są one uczciwą zapłatą za umiejętności polskich medyków. Jeśli zarobią mniej, spakują rodziny i wyjadą.

Pomijając fakt, że decyzja o emigracji poprzedzona jest zazwyczaj analizą wielu czynników (także tych, które ostatnio przyciągają do Polski, a nie od niej odstręczają), warto zwrócić uwagę na pojawiające się od tygodni statystyki, wedle których nasi lekarze otrzymują już naprawdę europejskie wynagrodzenia, a cena prywatnej wizyty u wielu z nich skoczyła w dwa lata z 250 do 400 zł.

Dbając o portfele swoich członków, samorząd lekarski domaga się dziś radykalnego zmniejszenia limitów przyjęć na studia „w trosce" o jakość kształcenia, ale też o możliwą w przyszłości nadpodaż medyków, która obniży dochody. Nie wiem, co o tym sądzą polscy pacjenci (mediana zarobków wynosi u nas 5500 zł netto), ale wiem, że w przyrzeczeniu lekarskim jest mowa o służbie zdrowiu i życiu ludzkiemu, staniu na straży dobra pacjentów i przeciwdziałaniu ich cierpieniu. Widzę tu związek z kosztami.

Wróćmy jednak na komisję zdrowia, podczas której rzecznik praw pacjenta żalił się, jak często jest ignorowany, nawet w sprawach molestowania czy działalności handlujących opiatami tzw. receptomatów, na które skarżył się też Główny Inspektor Farmaceutyczny. Konkluzją dyskusji była groźba posłów, że sprawami medyków zajmą się w końcu sądy powszechne, ale jakoś bardziej wierzę w to, co powiedział potem Ćwik. ©℗



LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Posiedzenie sejmowej Komisji Zdrowia. Warszawa, 15 września 2026 r.



Nowe sojusze

PIOTR OLEKSY

Przewodnicząca Komisji Europejskiej, Ursula von der Leyen, w trakcie swego orędzia o stanie Unii zaproponowała, by Kanada stała się „członkiem stowarzyszonym" wspólnoty. Następnego dnia kanadyjski premier Mark Carney, występując przed Parlamentem Europejskim, wyraził chęć pogłębienia relacji z Unią, ale nie odniósł się wprost do formuły użytej przez przewodniczącą.

Choć więc jej słowa mogą być odebrane jako wyjście przed szereg, to zacieśnienie relacji Kanady z Unią jest dziś potrzebne obu stronom. Byłby to ważny krok ku realizacji idei współpracy mocarstw średniej wielkości, które nadal łączą wspólne wartości, zaproponowanej przez Carneya w styczniu 2026 r. Wizyta Carneya w Europie miała miejsce w cieniu wojny handlowej Kanady z USA – po tym, jak Trump wprowadził 50-procentowe cła na szeroki wachlarz produktów północnego sąsiada. Ottawa odpowiedziała cłami odwetowymi, wymierzonymi w sektory kluczowe dla amerykańskiego eksportu. W tym kontekście trudno zapomnieć o sugestiach Trumpa w sprawie aneksji Kanady. W obliczu fatalnych relacji z USA, do niedawna najbliższym partnerem, Ottawa szuka nowych rynków zbytu, a także sojuszników, z którymi wspólnie mogłaby opierać się dyktatowi Trumpa.

W podobnym położeniu na arenie międzynarodowej jest Unia, która stara się na nowo ułożyć relacje także z Indiami czy Australią. Kanada jest cennym partnerem m.in. ze względu na zasoby, zwłaszcza złoża ropy i rzadkich minerałów, a także potencjał przemysłu. Bliska współpraca z Ottawą dałaby państwom Unii również większe przełożenie na politykę względem regionu arktycznego, który staje się obszarem coraz większej rywalizacji. Być może ta atmosfera zachęciła przewodniczącą KE do „ucieczki do przodu", przez nadanie wzajemnym relacjom bezprecedensowego charakteru. Idea „stowarzyszonego członkostwa" od dłuższego czasu krąży po brukselskich korytarzach. W haśle tym szukano formuły dla relacji Unii z Londynem czy Kijowem. Słowa von der Leyen nie wzbudziły jednak entuzjazmu premiera Kanady, a wśród europejskich polityków i dyplomatów dało się odczuć dystans do pomysłu, połączony z irytacją wobec przewodniczącej, która po raz kolejny próbowała forsować autorskie rozwiązanie, bez wcześniejszych konsultacji z unijnymi stolicami.

Determinacja do bliższej współpracy jest jednak duża po obu stronach. A o tym, że może ona dać nową jakość w układzie sił, najlepiej świadczy zachowanie Trumpa: zagroził wprowadzeniem „bardzo ciężkich ceł" na Unię, jeśli jej relacje z Kanadą będą odebrane przez niego samego jako „wrogi akt". ©

eprasa.pl e0187a52f8

Do kogo należy „Lalka”



ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Serial „Lalka”, reż. Paweł Maślona. Netflix, 2026

KULTURA ▪ „Lalka”, jak każda wielka powieść, broni swych sekretów. „Adaptować ją na ekran – diagnozował lata temu krytyk filmowy Konrad Eberhardt – znaczy pisać ją na nowo”. Istotnie, z natury swojej film ma niewielką tolerancję dla skomplikowanej natury powieści. Zasadniczo przenoszenie literatury na ekran to praca polegająca na upraszczaniu – ku udręce czytelniczek i czytelników, którzy pragnęliby dzieł totalnych. Bo przecież i pierwsze ekranizacje powieści Prusa, zarówno film Wojciecha Jerzego Hasa z roku 1968, jak i serial Ryszarda Bera z roku 1977, wzbudzały mieszane uczucia. „Ilu widzów, tyle opinii” – podsumowywał nastroje jeden z recenzentów czasopisma „Film” w roku 1978.

Serial Maślony doskonale wpisuje się więc w trwającą pół wieku dyskusję o niemożliwej ekranizacji „Lalki”. Czytając stare i nowe opinie mam jednak wrażenie, że dziś trudniej się nam uwolnić od własnych oczekiwań i zastanowić, dlaczego ktoś postanowił adaptować Prusa akurat w ten, a nie w inny sposób. Tymczasem wystarczy uważnie obejrzeć tylko pierwszy odcinek, by zorientować się, o jakie stawki grają twórcy serialu.

Oto świat, do którego bezpardonowo wkracza kapitał – wszyscy próbują ubić tu jakiś interes. Rodzina Łęckich, ale też emancypantki skupione wokół pisma „Bluszcz” chcą zyskać fundusze dzięki Izabeli. Wokulski dorabia się na wojnie, Starski na plotkach i donosach, a ubożejący arystokraci – na szemranych interesach. Z dotychczasowych porządków i klasowych podziałów zostanie tyle, ile ze sklepu galanteryjnego starego Mincla – pokazuje nam pierwsza ze scen.

Łęcka i Wokulski postawieni są tu w bardzo podobnej sytuacji – oboje są „na wystawie”: ona ze względu na odwlekane zamążpójście, on – z powodu wystawnego życia, które zaczyna prowadzić, irytując zubożałą arystokrację. Symbolizują początek społecznych przemian, które za moment nastąpią, rozsadzając świat. Każdy kolejny odcinek tylko komplikuje ten obraz. Paweł Maślona (o czym mogliśmy się przekonać oglądając jego sowizdrzalskiego „Kosa”) ma słabość do kina Quentina Tarantino, a historyczność powieści traktuje raczej pretekstowo. I ta brawura robi „Lalce” dobrze – jej potencjał okazuje się naprawdę ogromny.

Zamiast gniewać się na twórców, spójrzmy, w jakim momencie znajduje się dziś kultura: Amerykanie, jak Percival Everett czy Barbara Kingsolver, przepisują na nowo klasyczne powieści języka angielskiego, nie tylko dla kina. Praca z klasyką polega dziś bowiem na przetworzeniu znanych historii z perspektywy innej niż utrwalona w naszej wyobraźni. I chyba to właśnie z powodu utraty kontroli nad dotychczasowym znaczeniem powieści Prusa tak wielu i wiele z nas czuje się dziś poirytowanych.

Oryginał jest stabilnym punktem odniesienia. Odbiorca wie, kim są bohaterowie, co wydarzyło się w przeszłości i jaką funkcję pełni opowieść. Nowoczesna adaptacja nieodwracalnie narusza tę stabilność. Pokazuje, że historia, którą znamy, mogła zostać opowiedziana inaczej. Możemy czuć się z tego powodu niepewnie, ale unieważniając gest Maślony zachowujemy się dokładnie tak, jak bohaterowie jego serialu: próbujemy za wszelką cenę zachować stare porządki i własne pozycje w świecie, który nieuchronnie się zmienia.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Więcej o serialu „Lalka” pisze Anita Piotrowska na str. 80

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl e0187a52f8

TEMAT TYGODNIKA

WASZ ŚWIAT NIE JEST NASZ

Skąd miłość do Mentzena i Zandberga? Po co im wybory i państwo? Dlaczego dają się kiwać algorytmom i teoriom spiskowym? Prześwietlamy poglądy zetek.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

Ma za sobą dziewiętnaście lat życia, cztery klasy technikum i jedne wybory. W ciągu godziny usłyszę od niego m.in.: że niemal wszystkie media kłamią; że prawie wszyscy politycy się nakradli; że państwo nie ma wyrównywać szans. A i tak wyjdę ze spotkania z nim z przekonaniem, że jest bardziej umiarkowany niż polityk, któremu zaufał.

– Zeszłej jesieni dostałeś po raz pierwszy prawo wyborcze, co z nim zrobiłeś? – pytam nieco patetycznie Gabriela Olecha, dziewiętnastolatka z Krakowa, siedząc z nim w ciasnej kawiarence niedaleko centrum. Szczupły, uśmiechnięty blondyn jest pewny siebie i swoich przemyśleń, choć wzrok wbija gdzieś nad linią mojego – pewnie dlatego, że od lat jest niedowidzący.

– Na Mentzena – odpowiada. – A kierowałem się logiką eliminacji. Wykluczałem tych, którzy są wplątani w układy i machlojki, a także partie, które przez ostatnie lata rządziły, czyli PO i PiS. Zostali Zandberg i Mentzen.

– Dlaczego więc nie Zandberg? – dopytuję Gabriela.

– Szanuję go, bo się sprzeciwia złu. Ale utopia, którą prezentuje, jest zbyt duża, nie zgadzam się też z nim ideologicznie. On preferuje marksizm, a ja jako fan historii wiem, jak się skończyło nawiązywanie do marksizmu. Sam byłem lewicowy, chciałem powszechnej równości, ale się z tego wyleczyłem. Dzisiaj nie chcę, by państwo karało tych, którzy potrafili na siebie zarobić.

– A jako fan historii nie boisz się skrajnej prawicy?

– Boję się, dlatego nigdy nie zagłosuję na Brauna – mówi młody Krakowianin, lokujący swoje polityczne sympatie tam, gdzie mniej więcej co trzeci młody Polak.

Ale odmienne preferencje partyjne polskich zetek, czyli osób urodzonych między 1996 a 2012 r., to tylko naskórek zjawiska tożsamościowej odrębności tej grupy. Pod spodem dzieje się cicha rewolucja: odsyłanie do muzeum tradycyjnych mediów, zupełnie inne postrzeganie faktów i prawdy, a przede wszystkim niewiara młodych w demokrację. Te wszystkie elementy można czytać jako komunikat wysyłany przez zetki do starszych generacji: „Nie podoba nam się świat, który dla nas zbudowaliście".

Najpierw jednak przypomnijmy, jak to pęknięcie pokoleń zaczęło się w polityce.

eprasa.pl e0187a52f8

„Duopolacy" i „antysystemowcy"

Jest jesień 2019 r., Gabriel ma dopiero 12 lat, ale właśnie wtedy przeżywa pierwsze ideowe uniesienia (pani na historii opowiada o komunistycznej równości, jemu się to podoba). Odbywają się dziewiąte wybory parlamentarne w III RP, po których partia Jarosława Kaczyńskiego odnosi kolejny sukces wyborczy i rządzi samodzielnie. I choć największe poparcie dają PiS-owi tradycyjnie najstarsi Polacy, ugrupowanie wygrywa także wśród wyborców najmłodszych – na partię Kaczyńskiego głos oddaje ok. 26 proc. osób z przedziału 18-29 lat, a na PO o ok. 2 punkty procentowe mniej.

Jesień 2023 r., rządy idą tym razem do rąk Donalda Tuska, a do władzy Koalicję Obywatelską wynoszą m.in. właśnie zetki. Nie tylko w tym sensie, że ugrupowanie to wygrywa (z poparciem ok. 28 proc.) wśród najmłodszych, którzy tym razem tłumnie idą do urn. Także dlatego, że strącają oni ugrupowanie Kaczyńskiego ze szczytu na niemal samo dno swojego rankingu popularności: przed PiS-em w tej grupie wiekowej jest i Lewica, i Trzecia Droga, i nabierająca rozpędu Konfederacja (16-letni wówczas Gabriel przyznaje dziś, że jeszcze przed tamtymi wyborami porzucił lewicowe ideały na rzecz sympatii dla Mentzena).

Nie mija jednak nawet 20 miesięcy (do maja 2025 r.), a młody elektorat próbuje po raz kolejny wywrócić wyborczy stolik. Karol Nawrocki i Rafał Trzaskowski, reprezentujący dwie największe siły polityczne, dostają razem wzięci mniej głosów od ludzi młodych niż nowy lider tej grupy Sławomir Mentzen (niemal 35 proc. w przedziale 18-29), a tylko nieco więcej niż drugi Adrian Zandberg (niecałe 20 proc.).

I nie jest to wyłącznie efekt specyfiki wyborów prezydenckich. Już w czerwcu, a więc po drugiej turze wyborów, Instytut Badań Pollster przeprowadza badanie motywacji wyborczych ludzi młodych – to część projektu kierowanego przez dr. hab. Radosława Marzęckiego, zajmującego się wyborczymi zachowaniami młodych Polaków, profesora Uniwersytetu KEN w Krakowie. Sondaż wygrywa z wynikiem niemal 28 proc. Konfederacja, na drugim miejscu (z rezultatem ponad 13 proc.) jest Partia Razem.

Różnica między młodymi mężczyznami a kobietami jest zauważalna, ale nie tak znowu wielka, jak głosi stereotyp całkowitego rozjazdu tych pierwszych – głosujących na Konfederację – z Polkami wybierającymi rzekomo tłumnie lewicę. Dość powiedzieć, że Sławomir Mentzen wygrał w I turze wyborów także wśród młodych kobiet, a różnica w poparciu dla Konfederacji wśród najmłodszych Polek i Polaków wyniosła w sondażu z czerwca ub. roku ledwie półtora punktu procentowego.

Jedno jest pewne: wyborcy z generacji Z i ci starsi zaczynają od tamtej pory tworzyć dwa osobne – całkiem nieoczywiste – polityczne plemiona: „duopolacy" (wiek z grubsza 40 plus) wciąż głosujący chętnie na starych wyjadaczy Kaczyńskiego i Tuska z jednej strony, młodzi „antymainstreamowcy" z drugiej. Trochę tak jak w rodzinnym domu naszego Gabriela, choć tylko do pewnego momentu („Tata długie lata głosował na PiS, później przekonałem go, że nie warto" – powie ze śmiechem młody Krakowianin).

„Ciemniacy" kontra „ważniacy"

Jak do tego pęknięcia doszło? – pytam dwóch badaczy polityki, wspomnianego prof. Marzęckiego, a także prof. Jarosława Flisa z UJ.

– Nie sprowadzałbym tego, co się zdarzyło w maju zeszłego roku, do „radykalizacji" młodych – mówi Marzęcki. – Już prędzej do rozczarowania elitami politycznymi, czyli najpierw rządami PiS, a później KO. Tym, co uległo zmianie w trakcie ostatniej dekady, jest sposób reakcji na to rozczarowanie. Tak jak jeszcze w 2015 r. najmłodsi wyborcy reagowali na tę emocję demobilizacją i pozostaniem w domu, tutaj postąpili odwrotnie: poszli tłumnie do urn. Uciekli się do znanego w politologii „głosowania retrospektywnego", by pokazać politycznym elitom, co o nich sądzą – dodaje badacz młodego elektoratu.

A prof. Flis zauważa, że głosowanie na polityków uchodzących za radykalnych nie musi oznaczać radykalizacji samych wyborców. – Zwłaszcza że radykalizm wiąże się najczęściej z poczuciem krzywdy, a młodym żyje się jednak w Polsce zazwyczaj komfortowo – mówi socjolog UJ. – Oni po prostu chcą zmiany, a zmianę – tak się składa – w sposób dla nich wiarygodny obiecują politycy kojarzeni z radykalizmem. ↦



eprasa.pl e0187a52f8

↦ Nie sądzę, by dziś wyborcy Zandberga czy Mentzena byli bardziej skrajni od tych głosujących na Kaczyńskiego i Tuska – podsumowuje Flis.

Gdy powtarzam jego tezę 19-letniemu Gabrielowi, ten bez wahania przytakuje. – Nie oddałem duszy i serca Konfederacji ani Mentzenowi – mówi, i dodaje, że nie podobają mu się antyukraińskie nastroje („Jestem jedynie antybanderystą"), nie likwidowałby podatków (a jedynie upraszczał), a państwo powinno według niego zapewniać i bezpieczeństwo, i dobrą ochronę zdrowia, i edukację.

Prof. Flis zwraca uwagę na jeszcze inny wymiar generacyjnego pęknięcia. – Stary podział PO–PiS był w dużej mierze zbudowany na dychotomii patrycjat–lud. I na walce „ważniaków" z „ciemniakami". Ci pierwsi uznają drugich wyższościowo za „niedouczonych", drudzy pierwszych za „zarozumiałych". A teraz pytanie: czy ten podział odtwarza się w wyborach młodszych pokoleń? Weźmy takiego Mentzena: on i jego wyborcy są „ciemniakami" czy „ważniakami"? – pyta retorycznie badacz.

To zacieranie się różnic widać też w badaniach – preferencje wyborcze młodego Polaka mieszkającego w dużym mieście i z dala od niego niewiele się od siebie różnią. Jak wynika z badań prof. Marzęckiego, poglądy na skali lewica–prawica są wśród młodych na wsi i w metropoliach wręcz takie same. Wahania wskaźników widać było na przykładzie kandydatów na prezydenta z 2025 r. (np. Rafał Trzaskowski tracił wyraźnie wraz ze zmniejszaniem się miejscowości), ale już lider Sławomir Mentzen triumfował wśród młodych Polaków w każdej z możliwych kategorii zamieszkania.

Prof. Flis zauważa, że powolne rozmywanie się odwiecznych polskich dychotomii widoczne jest również na poziomie społecznym: – W latach 90. można było po kilku zdaniach rozmowy z kimś młodym ustalić, czy ma maturę. Teraz, zarówno przez upowszechnienie edukacji, które dokonało się w największym stopniu na wsi i w małych miasteczkach, i za sprawą nowych metod komunikowania, to się mocno rozmyło. W skrócie moglibyśmy to podsumować tak: studiować może niemal każdy, a Netflix i TikTok działają tak samo w całej Polsce.

Właśnie to ostatnie hasło – „Netflix i TikTok" – może być wstępem do opowieści o głębszych niż tylko te ideowe przyczynach partyjnych wyborów i patrzenia na świat pokolenia Z, a więc Polaków mających dzisiaj od kilkunastu do niemal trzydziestu lat.

Gdzie TikTok, a gdzie TVN

21-letnia Lena Szuster jest studentką dziennikarstwa z Krakowa, a od kilku tygodni także stażystką „Tygodnika" (w ramach tej praktyki zebrała m.in. dwie wypowiedzi zetek na potrzeby tego raportu). Rozmawiamy o tym, skąd ona i jej pokolenie czerpią wiedzę o świecie polityki. – Na roku mam 60 osób i choć większość zamierza się związać z branżą mediów, najczęściej wybiera takie specjalizacje jak PR, reklama czy *social media* – opowiada. – Kilka lat temu mogło jeszcze w ogóle nie być takiego stanowiska pracy jak *social media content creator*, teraz w ogłoszeniach branży medialnej wyskakuje głównie to. Przy czym to nie musi być wcale praca w redakcji: można przecież prowadzić profil na Instagramie o jedzeniu albo piciu, należący np. do restauracji.

Gdy pytam o jej własne źródła wiedzy o polityce i społeczeństwie, przyznaje z uśmiechem: – Tak, moja ręka szybko po przebudzeniu wędruje do telefonu, a w nim do Instagrama.

A później wymienia swoje ulubione profile, np. łączący informacje z rozrywką „Make Life Harder", popularny milosz.miedzy.innymi Miłosza Wiatrowskiego-Bujacza, czy orientuj.sie z sondami ulicznymi, m.in. wśród ludzi młodych.

– To właśnie z tego rodzaju profili, łączących luźne treści z newsami, dowiedziałam się ostatnio np. o śmierci Dolly Parton – mówi Lena. – Obserwuję też na Instagramie tradycyjne media, ale rzadziej do nich samych zaglądam. Czytam np. posty Krytyki Politycznej, czasami Onetu, RMF, zdarza mi się obejrzeć Fakty TVN, ale moi znajomi częściej bazują na mediach społecznościowych niż na tych tradycyjnych. Popularne wśród młodych ludzi są też kanały YouTube'a, w rodzaju Kanału Zero – dodaje młoda Krakowianka.

18-letni Filip z Warszawy, z którym rozmawiała Lena, zauważa w sieci wysyp treści konserwatywnych (choć sam wybiera te liberalne). – W mojej grupie wiekowej coraz częściej wybiera się prawicowe partie, ale moim zdaniem nie wynika to z głęboko zakorzenionych konserwatywnych wartości. Raczej z wpływu

REKLAMA



eprasa.pl e0187a52f8

internetu, w którym właśnie ta opcja jest bardziej aktywna – mówi Filip.

Ufać mediom czy nie

– Skąd awersja do tradycyjnych mediów? – to pytanie zadaję z kolei Gabrielowi Olechowi, wyborcy Konfederacji i Sławomira Mentzena.

– Stąd, że manipulują i kłamią – odpowiada.

– Kto konkretnie?

– W zasadzie wszyscy. Na pewno telewizja publiczna, i za PiS-u, i za PO. Na pewno TVN. W portalach takich jak WP czy Onet chodzi tylko o kliki.

– Z „Tygodnikiem Powszechnym" się spotkałeś...

– Bo go nie kojarzę (*śmiech*).

– To komu można zaufać?

– Do końca nikomu. Gdy powstawał Kanał Zero Stanowskiego, myślałem, że można zaufać im. Na początku może i tak, ale potem też poszli w wyświetlenia, komercjalizację. Widać też, w jak łagodny sposób był prowadzony wywiad z prezydentem. Jeśli ktoś się deklaruje jako ponadpolityczny, to niech będzie ponadpolityczny – podsumowuje Gabriel.

Jak poglądy młodego Krakowianina mają się do społecznych trendów – tych w całej populacji i wśród najmłodszych generacji? Wydany przez Komitet Dialogu Społecznego i Laboratorium Więzi w 2023 r. raport „Twarze polskiej radykalizacji" podawał, że pod stwierdzeniem „media w Polsce kłamią" podpisuje się 58 proc. Polaków, przy czym aż 74 proc. tych najmłodszych (przedział wiekowy 18-24 lata).

W jaki sposób zetki podchodzą do mediów społecznościowych, które dla rosnącej rzeszy odbiorców zaczynają stanowić już nie tylko główne, ale często jedyne źródło wiedzy? Jeśli wierzyć wnioskom innego raportu, wydanego przez badaczy Uczelni Korczaka „Między faktem a feedem" (2025), główna różnica między generacją Z a tymi starszymi nie polega przede wszystkim na zwróceniu się ku *social mediom*, gdyż zwrot ten – choć w różnym stopniu – dotyczy już niemal wszystkich pokoleń. Główna zmiana sprowadza się do zasady *News Finds Me* (ang. „wiadomości same mnie znajdują") – młodzi ludzie nie wyszukują intencjonalnie treści w internecie, oddając władzę nad swoimi poglądami algorytmom.



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP"

50 proc. zetek odpuszcza weryfikację faktów w sieci „ze względu na zmęczenie". A 77 proc. szuka treści ujawniających „ukryte fakty i kulisy wydarzeń".

A skoro tak, to popularność tych, a nie innych polityków (np. cyfrowego stachanowca Mentzena, który przed wyborami prezydenckimi wyskakiwał z każdej niemal internetowej rolki) jawić się może jako mniej istotne zjawisko.

Do rangi tego głównego urasta sposób, w jaki wychowane na TikToku i Instagramie generacje patrzą na kwestię prawdy. I jak się to ma do postrzegania przez nie demokracji.

Prawda czy fałsz?

Ten raport w całości dopiero ujrzy światło dzienne – jego sejmowa premiera zapowiadana jest na październik – ale jego autorzy zgodzili się przekazać „Tygodnikowi" wybrane tezy już teraz. Chodzi o kolejną edycję badania „Między faktem a feedem", przygotowaną przez badaczy Uczelni Korczaka i Pracowni Badawczej Empowermind, a skupioną m.in. na podatności młodych pokoleń na fake newsy i teorie spiskowe.

Zwłaszcza te ostatnie bywają stereotypowo kojarzone z generacjami starszymi – choćby z katastrofą smoleńską, w okolicy której zetki albo przychodziły dopiero na świat, albo uczęszczały do żłobków i przedszkoli. Nic jednak bardziej mylnego: młodzi chłoną dziś wzięte z kosmosu teorie chętniej niż starsi, o czym przekonują mnie politolog dr Konrad Ciesiołkiewicz z Uczelni Korczaka oraz dr Anna Buchner, socjolożka UW i członkini zespołu badawczego Empowermind, współautorzy wspomnianego raportu (pozostałe autorki to Maria Wierzbicka-Tarkowska, Katarzyna Fereniec-Błońska i Agnieszka Murawska).

– O tej podatności mówią badania i światowe, i krajowe – mówi dr Ciesiołkiewicz. – Np. badania UJ wykazały, że młodsi Polacy częściej wierzą w zmyślone historie na temat Ukrainy i Ukraińców. I nie chodzi tylko o naturalną w tym wieku „otwartość" na tego rodzaju przekazy. Istotny jest również ekosystem, w którym młodzi przebywają – im więcej czasu w cyfrowym świecie, tym większa ekspozycja na teorie spiskowe. Amerykańskie badania pokazują, że więcej niż 80 proc. młodocianych odbiorców regularnie spotyka się z tego rodzaju teoriami, a większość przyznaje, że w przynajmniej jedną uwierzyło.

Buchner i Ciesiołkiewicz ujawniają niektóre z ustaleń nowego raportu. Choć 48 proc. młodych Polaków twierdzi, że weryfikuje informacje z *social mediów*, aż 50 proc. przyznaje, że zdarza im się tę weryfikację „odpuszczać ze względu na zmęczenie". Z kolei aż 60 proc. sprawdza komentarze innych osób, by wyrobić sobie zdanie, czy coś jest wiarygodne, a dla 34 proc. ważna w tej weryfikacji jest... liczba lajków i udostępnień.

– Równocześnie aż 77 proc. pytanych deklaruje, że poszukują treści ujawniających „ukryte fakty i kulisy wydarzeń", przy czym kategoria ta wyprzedza jedynie memy i krótkie formy newsowe – dodaje dr Buchner. – O ile w pokoleniach starszych podatność na teorie spiskowe polegała częściej na tym, że dana teoria potwierdzała mój pogląd albo światopogląd, w przypadku młodszych generacji decyduje bardziej coś, co nazwać by można „urokiem teorii spiskowej", będącej częścią świata rozrywki. Ponadto młodzi ludzie w wywiadach deklarują, że we wszystkim może być ziarenko prawdy, i że nigdy nie ma pewności, co jest fałszem. ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ Wyniki tego badania, ale też innych pomiarów zachowań i postaw młodego pokolenia, pokazują – podobnie jak w przypadku preferencji politycznych – zacieranie się przestrzennych różnic. Mówiąc obrazowo: ryzykowne użycie smartfona, wiara w teorię spiskową rozsiewaną przez TikToka czy pójście za fake newsem może się z mniej więcej równym prawdopodobieństwem przydarzyć 19-latkowi z Warszawy i Międzychodu.

– Dlaczego wasze pokolenie daje się kiwać algorytmom i spiskom? – pytam Gabriela.

– Z wygody – odpowiada. – Niby mamy świadomość, że to może być manipulacja, a jednak gdy nawet coś skrajnie głupiego przemknie nam przez ekran, np. że nie było w Auschwitz komór gazowych, to często nie chce nam się tego sprawdzać.

– A skąd ta wygoda?

– Pewnie z generalnie wygodnego życia. Ale i z problemów oraz kryzysów, bo jesteśmy mniej odporni niż nasi rodzice i dziadkowie. Przez kryzysy jesteśmy mocno skupieni na sobie, więc chyba nie chcemy dorzucać sobie jeszcze mętliku w głowie w postaci analizowania każdej informacji z TikToka.

– Jakie kryzysy was najbardziej przeorały?

– Pandemia. Wspominam siebie z tamtego czasu i jest mi siebie żal. Pamiętam np., że siedziałem po nocach przy komputerze, a na zdalne lekcje wstawałem o 7.59. Włączałem komputer i szedłem znów spać. Byłem umówiony z koleżanką, że gdy pani coś do mnie powie, koleżanka ma do mnie dzwonić. Dzwoniła, ja włączałem się na lekcję i tłumaczyłem, że byłem np. w toalecie. To nienajlepsze wspomnienia – kończy Gabriel.

A do pandemii można by dodać cały katalog pokoleniowych kryzysów i budzących lęk zmian: wojna za wschodnią granicą, niekontrolowana imigracja, kryzys klimatyczny i mieszkaniowy czy rewolucja AI, która może przeorać rynek pracy.

A co to jest demokracja?

Jak ten portret, z jednej strony poznawczo zdezorientowanego, a z drugiej dotkniętego kryzysami pokolenia ma się do polityki i wyborów? Wszystkie wątki łączyć może magiczne polskie słowo „zaufanie” – o ile jego kryzys nie jest nad Wisłą niczym nowym, młode pokolenia wynoszą poziom ogólnej nieufności na nieznane wcześniej poziomy.



NIKODEM PRĘGOWSKI DLA „TP”

GABRIEL:

Media kłamią. Gdy powstawał Kanał Zero Stanowskiego, myślałem, że można zaufać im. Na początku może i tak, ale potem poszli w wyświetlenia, komercjalizację.

Jak mówią mi dr Buchner i dr Ciesiołkiewicz, ich badania pokazują np. wątłą wiarę najmłodszych w naukowców, urzędy i instytucje. A już wcześniejsze raporty – np. wspomniane „Polskie twarze radykalizacji” – pokazywały wyraźnie mniejszą ufność w demokrację jako wartość niż w przypadku starszych generacji. Podczas gdy np. w przedziale wiekowym 55-65 lat ponad 80 proc. pytanych zgadzała się ze stwierdzeniem, że demokracja to najlepszy ustrój, wśród Polaków 18-24 ten wskaźnik nie dobijał do połowy (48 proc.).

Czy to tylko pokłosie faktu, że Gabriel, Lena i tysiące innych narodzili się w wygodnym i bezpiecznym świecie, podczas gdy ich rodzice przynajmniej otarli się o kartki na mięso, kolejki przed sklepem, cenzurę, a czasami czołgi na ulicy? Może jednak warto, pamiętając o historii, połączyć ze sobą zupełnie inne, pojawiające się już współcześnie kropki: w świecie, w którym rządzą algorytmy, panoszą się spiskowe teorie, a we wszystkim jest tyleż „ziarenka prawdy”, co i fałszu – trudno oczekiwać zaufania do demokracji.

Zresztą, jak zauważa wielu moich rozmówców, z demokracją generacja Z styka się często w formie wynaturzonej. I nie chodzi wyłącznie o migawki z polskiej sceny politycznej, które – także w wydaniu TikTokowych rolek – mielą od co najmniej dekady takie hasła jak „demontaż demokracji” i „paraliż sądownictwa”. Chodzi też o codzienną praktykę życiową – choćby tę szkolną.

– „Demokracja? A co to jest demokracja?”, mogliby zapytać nasi młodzi rodacy – uśmiecha się dr Kinga Wojtas, politolożka UKSW oraz prezeska Fundacji Stan, zajmującej się m.in. angażowaniem młodych w życie publiczne. – Dla tego pokolenia to pojęcie abstrakcyjne także z tego powodu, że jest na ich oczach dewaluowane. Stykają się na co dzień z wielkimi kwantyfikatorami, w rodzaju „szkoła demokracji” i „szkoła partycypacji”, ale finalnie okazuje się, że to „jedna wielka ściema”, jak mówił jeden z uczestników prowadzonych przeze mnie badań fokusowych. Po prostu dyrektor chce mieć samorząd uczniowski, żeby służył mu jako pas transmisyjny jego decyzji. Polska szkoła to jest antyobywatelski trening do niezrozumienia liberalnej demokracji.

Może więc trudno się dziwić, że słabemu zaufaniu do demokracji towarzyszą tęsknoty autorytarne? – Już raport „Twarze polskiej radykalizacji” pokazał taką tendencję, a nasze nowe badanie tylko to potwierdza – mówi dr Buchner. – 36 proc. pytanych uważa, że silny i mądry przywódca lepiej sprawdziłby się, niż władze wybrane w wyborach, a tylko 22 proc. się z tym nie zgadza. Co trzeci młody Polak otwiera się więc na alternatywę dla demokratycznego modelu sprawowania władzy.

Jak ten profil nowego wyborcy zmieni polską politykę? I czy jej główni aktorzy zauważyli w ogóle jakąkolwiek zmianę?

Nasz kampus jest większy niż wasz

Niech nas nie zwiodą obrazki z plaży w Juracie, na których Karol Nawrocki, zostawiwszy w domu krawat, odpowiada cierpliwie na pytania grupy młodych ludzi. Ani z Olsztyna: tu Rafał Trzaskow-

eprasa.pl e0187a52f8

ski wchodzi na scenę w bluzie z kapturem przy akompaniamencie muzyki. Zarówno na Wybrzeżu, dokąd zaprosił polską młodzież prezydent Polski, jak w Olsztynie, gdzie „Campus Polska Przyszłości 2026" zorganizował prezydent Warszawy, nie chodziło przede wszystkim o młodych Polaków.

Dyskutowano, owszem – i to momentami ciekawie – z młodymi i o młodych, ale *de facto* znowu zderzyły się pod koniec sierpnia stare, dobrze nam znane i oswojone światy, które prof. Flis mógłby nazwać światami „ważniaków" i „ciemniaków". Z jednej strony dostaliśmy więc z mediów rytualne oburzenie, że oto w Olsztynie odgradza się wysokim płotem „bańkowa", liberalna Polska z jej przemądrzałymi panelami dyskusyjnymi i koncertem jazzowym, z drugiej przewidywalne głosy oburzenia na brzydkie słowa wyśpiewywane na plaży przez Skolima. Brzmi jak kwintesencja sporu, wobec którego zetki zdają się przechodzić ze wzruszeniem ramion.

– Te wydarzenia miały realizować kilka celów, a młodzi ludzie z ich problemami niekoniecznie byli na pierwszym miejscu – mówi prof. Marzęcki, gdy pytam go o bilans obu imprez. – Moim zdaniem bardziej to było widać po sposobie komunikowania prezydenckiej imprezy przez środowiska prawicy, której przedstawiciele pokazywali Juratę jako element partyjnej rywalizacji, „nasz campus jest większy niż wasz". Ten wymiar polityki młodych tak naprawdę słabo interesuje. Głos ich samych? Gdy rozpoczęła się sesja pytań i odpowiedzi, transmisję z Juraty przerwano. Inaczej wyglądał Campus Trzaskowskiego, choć i tu na pierwszym planie musieli być politycy. Ale konwencja była nieco odmienna, a i odwaga organizatorów większa. Na spotkaniu z Tuskiem swobodnie pytano, czy to nie czas, by premier ustąpił i zniknął z polityki. Krytykowano też wybór Macieja Berka na sędziego TK – ocenia prof. Marzęcki.

I zastrzega, że nie chce jednoznacznie kontrastować obu wydarzeń, gdyż i jedno, i drugie było dlań przykładem youthwashingu, czyli ocieplania wizerunku przez instrumentalne wykorzystanie młodych. – Problemem Campusów jest to, że poruszane na nich tematy nie mają niemal żadnego przełożenia na decyzje polityczne – dodaje politolog. – Pamiętam, jak Donald Tusk zapewniał na Campusie 2022 r., iż stanie na głowie, by na listach wyborczych KO było jak najwięcej młodych ludzi. Nigdy nie zauważyłem takiego zwrotu w konstrukcji list wyborczych tej partii, a już na pewno nie były to działania, które istotnie zwiększyłyby reprezentację młodych w polityce – podsumowuje Marzęcki.

Podobnie czują to chyba sami zainteresowani. – Chcemy mieć poczucie wpływu, ale w polskiej polityce to trudne – mówi Mateusz, 22-letni student prawa z Krakowa. – Młodzieżówki partii nie mają przełożenia prawie na nic, ich rola ogranicza się do kręcenia rolek na Instagrama albo na TikToka, i bycia asystentami posłów. Nie kojarzę polityka z najmłodszego przedziału wiekowego.

Zetki przeciwko duopolowi

Wkrótce będzie się to pewnie musiało zmienić, a najbliższe wybory mogą być ostatnimi, w których duopol może rozdać karty. Już dzisiaj zetki, czyli Polacy w przedziale 14-30 lat, to – jak podaje raport „Diagnoza Młodzieży 2026" – armia 6,5 mln osób. Nawet jeśli odjąć z tej liczby nieuprawnionych i niechętnych do głosowania, pozostać może 3-4 mln osób. A przecież w kolejnych latach i dekadach dzisiejsze zetki przekroczą trzydziestkę i czterdziestkę, zasilając – wraz z idącym za nimi pokoleniem Alfa – rzesze wyborców „wychowanych" już na mediach społecznościowych, fake newsach i – mówiąc najdelikatniej – sceptycyzmie do liberalnej demokracji.

O ile nadal będą „rzesze wyborców" wierzące w sens głosowania. Jeśli dziś powinna nam się zapalać jakaś czerwona lampka, to bynajmniej nie dlatego, że wchodzący w dorosłość Polacy głosują „nieposłusznie" – czytaj: inaczej niż ich rodzice.

Prędzej dlatego, że w ogóle odechce im się głosować. I otworzą się na „silnego i mądrego przywódcę, który lepiej sprawdzi się niż władze wybrane w wyborach".

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
Współpraca: LENA SZUSTER

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Paweł Pieniążek, Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż:
Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych:
Michał Okoński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl e0187a52f8



POMYLENI Z DZIKIEM

Nie rozumiem ich hobby. Czuję do niego wstręt. Ale jestem też przekonany, że pogarda to najlepszy prezent dla tych myśliwych, którzy nie chcą iść na żadne ustępstwa wobec reszty społeczeństwa.

MAREK RABIJ

eprasa.pl e0187a52f8



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Pielgrzymka myśliwych na Jasną Górę. Częstochowa, 21 października 2023 r.

Mieszkam w dużym mieście, widujemy się więc sporadycznie. Najczęściej wpadam na nich na ścieżce wijącej się wzdłuż Wisły koroną wału przeciwpowodziowego, gdy po zmroku wychodzę pobiegać, a oni czają się na zwierzynę pochowaną w pasie nadrzecznych zarośli. Początkowo próbowałem mediować. Tłumaczyłem, że krzaki są nie tylko matecznikiem saren i zajęcy; po zmroku trafiają się tam również biegacze i rowerzyści, nie wspominając o wędkarzach, którzy o zmierzchu obsiadają brzeg, odziani w swoje kamizelki koloru khaki.

Moje argumenty, mówiąc najoględniej, nie spotkały się ze zrozumieniem. – Proszę mnie nie uczyć, jak mam polować – mniej więcej tak brzmiała najuprzejmiejsza z odpowiedzi synów św. Huberta.

Policja, którą w akcie desperacji próbowałem zainteresować obecnością uzbrojonych facetów na ścieżce raptem kwadrans rowerem od Wawelu, w zasadzie powtórzyła tę wykładnię. Na dodatek w formie, której nie powstydziłaby się Święta Inkwizycja.

– Jeśli są tam myśliwi – objaśnił mi przez telefon dyżurujący funkcjonariusz – to znaczy, że mogą.

Leśne porządki

Niepolująca większość Polek i Polaków najwyraźniej ma jednak dosyć tego samostanowienia, które zmieniło się w samowolę. Ich głos dotarł do myśliwych wraz z obywatelskim projektem zmian w prawie łowieckim, pod którym podpisało się ponad 200 tysięcy osób. Więcej niż liczy cały Polski Związek Łowiecki.

W ten sposób nowela – zawierająca m.in. wprowadzenie centralnego rejestru polowań, zakaz strzelania do zwierząt (w strefie rozszerzonej ze 150 do 700 metrów od zabudowań mieszkalnych), a także zakaz polowań komercyjnych i poprawę ochrony praw właścicieli gruntów, na których odbywają się łowy – trafiła na początku września do Sejmu.

Ostudźmy jednak entuzjazm. Szanse na to, że zmiany przejdą nietknięte przez wszystkie etapy legislacji i staną się literą prawa, są z grubsza takie same, jak szanse sarny w konfrontacji z Urszulą Pasławską, posłanką PSL, która przewodniczy sejmowej komisji ochrony środowiska, a prywatnie jest wielką orędowniczką polowań.

W Sejmie i rządzie, żadna to tajemnica, około stu posłów z legitymacjami PZŁ z kadencji na kadencję podtrzymuje nieformalną, ale niezwykle skuteczną ponadpartyjną frakcję obrońców myślistwa.

Był w niej Bronisław Komorowski z PO, Jan Szyszko z PiS i Włodzimierz Cimoszewicz z SLD. W obecnej kadencji – m.in. wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz z PSL i szef resortu sprawiedliwości Waldemar Żurek (bezpartyjny). Polujący parlamentarzyści obydwu izb zadbają, by ani im, ani ich kolegom piórko nie spadło z kapelusza. A gdyby jakimś cudem nowela przeszła jednak przez Sejm i Senat, trzeba będzie jeszcze zdobyć podpis Karola Nawrockiego.

Prezydent nad leśne nagonki osobiście przedkłada wprawdzie leśne ustawki, ale w kwietniu powołał do Prezydenckiej Rady ds. Klimatu i Środowiska prezesa PZŁ Marcina Możdżonka, radykalnego obrońcę myśliwskiego *status quo*. Związek opublikował już zresztą swoją analizę oceny skutków nowych regulacji, przy których biblijny potop wygląda jak popołudnie u cioci na herbatce. Słowem – weto murowane.

Pokój z widokiem na flintę

Nie wiadomo, jakim rozdaniem skończą się najbliższe wybory, nic jednak nie wskazuje na to, by w kolejnym Sejmie doszło do zmiany układu sił na korzyść zwolenników przykrócenia myśliwskich swobód. Trzeba więc przyjąć do wiadomości, że panie i panowie z flintami pozostaną nieformalnymi władcami przestrzeni, w której na co dzień funkcjonujemy.

Moją administruje np. koło łowieckie „Podwawelskie", które „prowadzi gospodarkę łowiecką" na obszarze na oko pokrywających się z granicami Krakowa. Z niejakim zdziwieniem musiałem też przyjąć do wiadomości, że ścieżki, po których regularnie spaceruję i jeżdżę rowerem, tak jak tysiące innych Krakowian, są potencjalnym miejscem pogoni za zwierzyną. Przedziwna logika polskiego prawa łowieckiego opiera się na domniemaniu prawa do polowania właściwie gdzie dusza zapragnie.

Gdy chcecie rozbić gdzieś namiot, musicie najpierw uzyskać na to zgodę właściciela terenu. Z myśliwymi jest dokładnie na odwrót: to właściciel musi pofatygować się do starostwa, zawiadomić je pisemnie, że nie życzy sobie u siebie polowań, a potem liczyć na to, że ktoś naprawdę przejmie się jego protestem.

W małych miejscowościach, gdzie starosta bywa jednocześnie szefem miejscowego koła łowieckiego, taka procedura wymaga nie lada odwagi cywilnej i samozaparcia. Zdarza się regularnie, że wymóg ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ złożenia *votum separatum* w starostwie interpretowany jest jako konieczność spotkania oko w oko z samym starostą, a ten – tak się pechowo składa – latami potrafi nie mieć czasu dla natręta.

Myśliwska licencja na zabijanie nie jest na szczęście nieograniczona. W granicach krakowskiego okręgu łowieckiego z polowań wyłączono np. parki i tereny gęsto zaludnione, łącznie ponad połowę obszaru miasta. Poza tym myśliwym nie wolno strzelać do zwierzyny w odległości mniejszej niż 150 metrów od najbliższych zabudowań mieszkalnych – co jednak nie znaczy, że w pogoni za nią nie mogą zapuścić się między bloki, albo wypatrywać łupu zza aut na osiedlowym parkingu.

Gdy wasze dziecko podczas odrabiania lekcji nagle spyta, co robi za oknem ten miły pan ze strzelbą, pozostanie zgodnie z prawdą odpowiedzieć, że to myśliwy. Skoro tam jest, to znaczy, że może tam być.

Nam strzelać pozwolono

Na tym właśnie polega największy problem z myśliwymi. Niepolująca większość nie ma nad nimi kontroli i może liczyć jedynie na ich zdrowy rozsądek.

Szkopuł w tym, że nawet jeśli większość polujących zachowuje się odpowiedzialnie, minimalizuje ryzyko dla osób postronnych i stara się w ramach tego hobby szkodzić przyrodzie w możliwie najmniejszym stopniu, kolejne ekscesy jednostek i tak jeżą włosy na głowie.

Przyrodnicy błagają – bo tylko to im zostaje – by nie polować na ptactwo w otulinie parków narodowych, bo huk wystrzałów płoszy zwierzęta, a postrzelone ptaki często spadają na tereny parkowe, z których myśliwi i tak nie mogą legalnie podjąć łupu. Na próżno. Strzelają, bo mogą.

W ferworze polowania łamią także wspomniany zakaz oddawania strzałów w odległości mniejszej niż 150 metrów od zabudowań; w końcu to tylko wykroczenie zagrożone grzywną, a w dodatku niełatwo je udowodnić.

Rzadziej, choć z niepokojącą regularnością myśliwym zdarza się przypadkowo ostrzelać czyjś dom. Nie są demonami precyzji. Większość strzela jedynie na polowaniach, a zapędzona jakimś cudem na strzelnicę, miewa problem z trafieniem w cokolwiek. Ale dopóki ofiarami są tylko szyby, ściany czy meble, dopóty Temida nie marszczy przesadnie oblicza.

Myśliwy utożsamili swych oponentów z ideologicznie rozdygotaną lewicą kawiarnianą, która przy pierwszym skaleczeniu mdleje na widok krwi. **Bardziej nimi gardzą, niż się ich boją.**

Jest wreszcie akceptacja dla obecności alkoholu na polowaniach. Zbyt wielu myśliwych wciąż uważa, że starczy wdrapać się na ambonę strzelecką, by wydostać poza jurysdykcję ustawy o broni i amunicji, która zakazuje noszenia broni po spożyciu alkoholu.

Co gorsza, nie spotyka się przez to ze środowiskowym potępieniem, choć rezultaty bywają opłakane. Właściwie co roku w trakcie polowań giną lub odnoszą rany postrzałowe 2-3 osoby. Najważniejszą łowiecką regułę, iż strzał można oddać jedynie w kierunku zidentyfikowanego celu, w leciwy dowcip zmienili sami członkowie PZŁ, regularnie mylący z dzikiem niemal wszystko co się rusza.

W tym kontekście gorzkie żale władz związku, które w odpowiedzi na obywatelski projekt zmian prawa łowieckiego piszą, że „w żadnym innym demokratycznym państwie na świecie nie obowiązują przepisy tak dalece ingerujące w wolności obywatelskie" – brzmią jak kolejny punkt w tym mocno satyrycznym repertuarze.

W służbie narodu

Komentarz myśliwych do projektu jako całość stanowi jednak bardzo wartościową, bo wyrazistą ilustrację ich wyobrażeń o optymalnych relacjach z państwem i współobywatelami.

Sprowadzają się one do jednego postulatu: wara od naszych swobód, zwłaszcza wtedy, gdy cierpią przez to wasze. Wirtuozi dwururki wiedzą oczywiście, że od dawna jadą na społecznym debecie. Przyznają to wprost, pisząc, że „bezpośrednim skutkiem ewentualnego uchwalenia projektowanych przepisów będzie wyłączenie możliwości wykonywania polowania na większości terytorium Polski".

Tak, znakomita większość Polek i Polaków nie akceptuje już strzelania do zwierząt wyłącznie dla rozrywki. W badaniu przeprowadzonym w maju na zlecenie stowarzyszenia More in Common polowaniom dla przyjemności sprzeciwiło się aż 78 proc. respondentów.

Co ciekawe, odsetek tych, którzy kategorycznie opowiedzieli się za takim zakazem, był niemal taki sam wśród osób o światopoglądzie ultrakonserwatywnym (71 proc.), co wśród skrajnych postępowców (75 proc.). Zabijanie dla rozrywki nie mieści się więc Polakom w spektrum normy obyczajowej bez względu na to, czy jej oś stanowią ich zdaniem tradycyjne wartości chrześcijańskie, czy posthumanistyczne przekonanie o końcu antropocenu – epoki, w której człowiek miał prawo „czynić sobie ziemię poddaną".

Z tych samych badań wynika zarazem, że łowiectwo nie antagonizuje Polaków aż tak, jak można by sądzić choćby na podstawie temperatury internetowych sporów. Aż 55 proc. respondentów widzi dla myśliwych miejsce w krajowym systemie ochrony przyrody, choć tłumaczy to sobie w zgoła odmienny sposób.

Dla konserwatystów sens polowań sprowadza się do panowania nad przyrodą. Progresiści dopuszczają je natomiast tam, gdzie ich zdaniem jedynym wyjściem pozostaje zbrojna interwencja w ekosystem dawno rozchwiany innymi działaniami człowieka. Głos tych pierwszych dobiega więc dziś z wiejskich zebrań, na których rolnicy domagają się wybicia zwierzyny, która zżera im plony. Tych drugich słychać natomiast na wielkomiejskich grupach sąsiedzkich w internecie, gdzie nawet zapiekłym weganom zdarza się apelować o pilny odstrzał watachy dzików, która znowu szturmuje pobliski plac zabaw.

Myśliwi znają te nastroje. W opowieści o swoim hobby od dawna akcentują jego służebny aspekt. Inna sprawa, że coraz mniej Polek i Polaków to kupuje. We wspomnianym wyżej badaniu 40 proc. ankietowanych zgodziło się z opinią, że działalność myśliwych bardziej szkodzi przyrodzie, niż jej pomaga. Odmiennego zdania było 34 proc. Mało, ale na inną płaszczyznę poparcia dla myślistwa nie ma dziś szans.

Dlatego wśród polujących widać dziś radykalizację. W mediach społecznościo-

eprasa.pl e0187a52f8

wych można znaleźć setki zdjęć z polowań, na których uśmiechnięty łowca lub łowczyni pochyla się na ubitą zwierzyną, a pod spodem ironiczny autorski komentarz w stylu: „a teraz czekamy, aż zleci się tu lewactwo".

Twarzą środowiska jest zaś Marcin Możdżonek, utytułowany siatkarz, który piłkę zamienił na kulkę i z lubością „miażdży" w debatach każdego, kto usiłuje krytykować jego styl życia. Wybór Możdżonka na szefa PZŁ sam w sobie stanowi rodzaj deklaracji światopoglądowej. Relatywnie młody, materialnie ustawiony i życiowo spełniony człowiek wychodzi do społeczeństwa z komunikatem: tak, lubię polować, widzę w tym coś, czego nie potraficie dostrzec. Żal mi was.

O swoich oponentach myśliwi nie mają najlepszego zdania. Stronniczo utożsamili ich sobie z ideologicznie rozdygotaną lewicą kawiarnianą, która przy pierwszym skaleczeniu mdleje na widok krwi. Bardziej nimi gardzą, niż się ich boją. Na wegetarian mówią pogardliwie „bambiki". Społeczny opór wobec myślistwa często interpretują w duchu obcej im światopoglądowo historii ludowej: dalecy potomkowie chłopów, którym nie wolno było polować, nie potrafią nadal pogodzić się z tym, że taki przywilej nadal mają tylko elity. Siebie samych postrzegają zaś jako odpornych na światopoglądowe mody, twardo stąpających po ziemi obrońców tradycji i zdrowego rozsądku, w ramach którego miłość do ojczystej przyrody można pogodzić z dziesiątkowaniem jej pomników.

Wołanie na puszczy

Czy mamy więc szansę na dogadanie się i w miarę bezbolesną koegzystencję? Moim zdaniem jej warunkiem brzegowym jest przyjęcie do wiadomości, że myśliwi nie znikną jak zduni czy kołodzieje.

Choć to hobby kosztowne i na swój sposób elitarne – łatwiej zostać dziś rosyjskim dywersantem niż członkiem koła łowieckiego – tylko w ubiegłym roku ich szeregi zasiliło 1447 nowych członków (tyle wydano pozwoleń do celów łowieckich). Dla wielu kandydatów takie członkostwo ma oczywiście wymiar wyłącznie pragmatyczny, liczą bowiem na profity ze znajomości z lokalną elitką, która spotyka się na polowaniach.

Według szacunków badaczy tej tematyki liczba aktywnych, regularnie polujących myśliwych sięga jednak w Polsce 40-50 tysięcy. W wielu z nich zaszczepili tę pasję rodzice. Niektórzy chcieliby ją przekazać dzieciom. Najrozsądniej byłoby więc założyć, że dla pewnej części członków polskiej wspólnoty myślistwo i towarzysząca mu kultura łowiecka stanowią wartość samą w sobie, może nawet element tożsamości. Dlatego nazywanie ich mordercami czy dewiantami to więcej niż obelga. To błąd.

Nie jestem aż tak naiwny, aby wierzyć, że samo złagodzenie narracji przeciwników myślistwa skłoni radykałów po drugiej stronie do poszukiwania kompromisu. Może jednak sprawić, by wśród umiarkowanych wyznawców hasła „darz bór" zrodziło się co najmniej poczucie, że warto posłuchać oponentów.

Dalej robi się jeszcze ciekawiej. Choć Polski Związek Łowiecki *en masse* plasuje się dziś w awangardzie klimatycznych denialistów, część jego członków na pewno nie jest aż tak bezrefleksyjna, by powtarzać cienkie argumenty radykałów z centrali.

Tej zresztą również zdarza się mówić jedno i robić drugie. Kilka lat temu PZŁ w dialogu społecznym cichaczem poparł założenia unijnej strategii Nature Restoration Law, czyli planu szybkiej odbudowy europejskich zasobów przyrodniczych. Myśliwi byli za, bo – jak sami przyznali – działania „na rzecz przywracania wartości użytkowych i przyrodniczych siedliskom zdegradowanym, szczególnie o charakterze rolniczym niezbędnych do egzystencji dla zwierzyny drobnej", leżą po prostu w ich interesie.

Warto więc uświadomić sobie, że od czasu do czasu myśliwi i ekolodzy mogliby usiąść na jednym wózku, np. przeciwstawiając się terytorialnym zakusom deweloperów czy walcząc o utworzenie rezerwatów, w których zwierzyna może się reprodukować w bezpiecznych warunkach.

Karol chroni przyrodę

W polskich realiach brzmi to na razie jak opowieść o żelaznym wilku, ale za granicą staje się ciałem regularnie. Król Karol III, będąc zapalonym myśliwym, jest też jednym z największych orędowników ochrony przyrody i z jednakowym zapałem opowiada o jednym i drugim.

Mamy zresztą także czysto krajowe dowody na to, że środowiska ideologicznie mocno oddalone od siebie mogą sprzymierzyć się w walce o wspólne cele. W staraniach o utworzenie Parku Narodowego Dolnej Odry, projektu zawetowanego ostatecznie przez prezydenta Nawrockiego, ekologów wsparli wędkarze.

Warto próbować. Choćby po to, by upewnić się, że „nie mylimy z dzikiem" potencjalnych sojuszników. Wśród samych myśliwych głos powinni częściej zabierać ci, którzy rozumieją, że także ich pasja może w końcu podzielić los wielu gatunków wymarłych. ©℗ MAREK RABIJ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

500-LECIE WŁĄCZENIA MAZOWSZA DO KORONY

A w nim:

- rozmowa z marszałkiem Adamem Struzikiem o tożsamości i przyszłości regionu
- esej o ostatnich Piastach mazowieckich i znaczeniu inkorporacji
- przegląd najciekawszych inicjatyw kulturalnych województwa

PARTNER:

Mazowsze. serce Polski

eprasa.pl e0187a52f8

Uniknąć wszystkiego



ANNA KORYTOWSKA

ZDROWIE | Wyjście do sklepu, rozmowa z sąsiadem czy przejazd autobusem to zwykłe elementy codzienności. Dla osób z fobią społeczną mogą być źródłem paraliżującego lęku, który z czasem odbiera samodzielność, pracę i relacje.

Nie poszedłem na studia, nie poznałem dziewczyny, mam ciągłe problemy finansowe i czarno patrzę w przyszłość – mówi Mateusz. Ma 38 lat, żyje w niewielkim mieście na południu Polski i cierpi na fobię społeczną, z którą zmaga się od ponad dwóch dekad.

Pierwsze objawy zaobserwował po tym, jak rodzice zdecydowali o przeprowadzce na wieś i zmianie jego szkoły. Wraz z tym doświadczeniem pojawił się lęk, z czasem coraz częstszy i coraz głębszy. W końcu nawet codzienne sprawy stały się dla niego źródłem paraliżującego napięcia. – Największy lęk pojawia się przy najzwyklejszych czynnościach, jak przejście przez pasy, zakupy, przypadkowa rozmowa, nawet ze znajomą osobą, goście w domu, wizyta w urzędzie. W zasadzie w każdej sytuacji wymagającej kontaktu z kimś, kto nie jest moją najbliższą rodziną lub najwęższym kręgiem znajomych – mówi.

Paczkomat tylko w nocy

Dziś fobia społeczna praktycznie determinuje jego życie, które – w kategoriach społecznych – jest bardzo ograniczone i mocno uzależnione od najbliższych osób, bez których nie miałby szans na przeżycie. – Nawet wyjście do sklepu jest dla mnie dużym problemem. Do paczkomatu mogę iść tylko około pierwszej, drugiej w nocy, kiedy praktycznie nikogo nie ma na zewnątrz. Nie wspominając o normalnej pracy i życiu w społeczeństwie. Chociaż starałem się, próbowałem i nadal o to wszystko walczę – mówi.

Przez lata Mateusz starał się pracować i znaleźć miejsce pośród ludzi. Był technikiem informatykiem, introligatorem, pracownikiem linii produkcyjnej w przemyśle samochodowym. Każdorazowo lęk okazywał się od niego silniejszy. – Obecnie formalnie jestem rolnikiem. Współpracuję z rodzicami przy sprzedaży drzewek świątecznych, w zakresie, w którym oczywiście jestem w stanie to robić. Na co dzień zajmuję się tworzeniem muzyki. Jestem absolwentem szkoły muzycznej i spędziłem przy muzyce dekady. Dodatkowo zajmuję się elektroniką, informatyką, programowaniem i wszystkim innym, co mogę robić, będąc bezpiecznym w domu – opowiada Mateusz.

Dziś jest pod opieką psychiatry, bierze leki, korzysta również z psychoterapii. Stara się także o uzyskanie renty i świadczenia wspierającego. Jednak jego życie wciąż obarczone jest potężną dawką lęku i niepewności przed tym, jak poradzi sobie w przyszłości, gdy już nie będzie osób, dzięki którym może w miarę normalnie funkcjonować. Mimo wszystko Mateusz posiada marzenia i to bardzo konkretne; choć dla kogoś innego mówienie o nich jako o „marzeniach" mogłoby wydawać się dziwne. – Często oglądam koncerty, różne eventy i choć bardzo chciałbym się na taki wybrać, zdaję sobie sprawę z tego, że na razie nie ma takiej opcji. Nie mogę żyć, pracować, funkcjonować jak normalny człowiek. A tak bardzo chciałbym – mówi.

Fobia społeczna sprawia, że nawet czynności, które dla większości osób są zupełnie oczywiste, mogą stać się barierą nie do pokonania. Bo fobia społeczna zabiera wszystko z życia: wystarczy pomyśleć o czymkolwiek, co wymaga kontaktu z drugim człowiekiem. – Dla mnie są to rzeczy niemożliwe albo potrzebuję do ich realizacji pomocy innych – tłumaczy i po chwili dodaje: – Bardzo bym chciał, żeby ludzie doceniali to, co wydaje się dla nich normalne. Możliwość pracy, założenia rodziny, posiadania dzieci, wyjścia do supermarketu, wyjazdu na wakacje. Dla osoby takiej jak ja to wszystko wydaje się nieosiągalne. To jest choroba, której nie widać na pierwszy rzut oka, a która wpływa na każdy aspekt mojego życia – podsumowuje.

Gdy świat jest wrogiem

Lęk przed wyjściem z domu, czasem na skraju paniki, kołatanie serca na samą myśl o spotkaniu z ludźmi albo paraliż wywołany dźwiękiem telefonu. Fobia społeczna to zaburzenie, w którym człowiek doświadcza silnego niepokoju podczas kontaktów społecznych. Może mieć ona przyczyny biologiczne i genetyczne, a także wynikać z trudnych doświadczeń w dzieciństwie.

– To lęk przed byciem ocenionym, upokorzonym i odrzuconym – wyjaśnia Magdalena Paszko, psycholożka i psychoterapeutka. Taki lęk zaczyna stopniowo ograniczać codzienne życie. Pojawia się w nim postępujące unikanie ludzi, wycofywanie się z relacji z nimi i rezygnowanie z sytuacji, które budzą stres, ale dla większości osób są czymś zupełnie zwyczajnym. – Tacy ludzie odczuwają niechęć do inicjowania i wchodzenia w interakcje z drugim człowiekiem. Bardzo szybko doświadczają przebodźcowania, mają dużą trudność z wykonywaniem codziennych czynności. Niemożliwe staje się zjedzenie

eprasa.pl e0187a52f8



TEROVESALAINEN

obiadu w restauracji, wyjście do kina czy na koncert – tłumaczy ekspertka.

Zaburzenie może być tak silne, że zaczyna całkowicie dominować życie, aż do odcięcia się od świata, rezygnacji z pracy i zaprzestania wychodzenia z domu, by uniknąć jakiejkolwiek interakcji, które mogą wywołać poczucie zagrożenia. – Fobia społeczna bardzo często jest wierzchołkiem góry lodowej, pod którym kryje się dużo problemów. Na przykład z depresją, ale także z uzależnieniami: od alkoholu, pornografii, narkotyków. Fobia społeczna może być też stanem wtórnym, który pojawia się na skutek doznanej traumy, i to na różnym tle – zaznacza Magdalena Paszko.

Jak zacząć rozmowę

– Wielokrotnie miałem napady paniki, mdłości oraz mroczki przed oczami. Niejednokrotnie uciekałem w sytuacjach stresowych przed tłumem, bojąc się reakcji innych ludzi. Najgorzej bywało, gdy źle wykonałem jakieś zadanie albo nie miałem pomysłu, jak sobie z czymś poradzić – mówi 20-letni Szymon ze Śląska.

Pierwsze objawy fobii społecznej zauważył u siebie pięć lat temu. – Zaczęło się od braku ochoty na spotkania czy nawet zwykłe rozmowy ze znajomymi, a problem nasilił się w liceum, gdzie kompletnie nie umiałem odnaleźć się w relacjach grupowych. Próbowałem je nawiązywać, jednak miałem wrażenie, jakbym był odstawiany na boczny tor, wykluczany – wspomina. – Dziś też trudno mi wejść do rozmowy w dużej grupie. Czuję się nieswojo i nie potrafię wyczuć atmosfery spotkania. Mam skąpą mimikę twarzy, nie zawsze potrafię wyczuć żart. Często robię głupie miny – przyznaje.

Fobia sprawia też Szymonowi kłopot w studiowaniu; podczas wykładów, na egzaminach. Gdy pomieszczenie jest zbyt duże i pełne ludzi, robi mu się słabo. Ma wtedy wrażenie, że zaraz straci przytomność.

W radzeniu sobie z lękiem pomogły Szymonowi rozmowy z psychologiem oraz wsparcie mamy. – Dzięki nim wiem, jak reagować w trudnych momentach. Wiem też, jakie są moje silne i słabe strony, i jestem za to ogromnie wdzięczny. Mam jednak świadomość, że wiele innych młodych osób może nie mieć wsparcia w rodzinie ani pieniędzy na wizyty u specjalistów – podkreśla.

Dziś, po kilku latach życia z lękiem społecznym, Szymon wie, jakich sytuacji powinien unikać. Stara się nie uczestniczyć w dużych imprezach, ogranicza też spędzanie czasu w zamkniętych pomieszczeniach, takich jak galerie, muzea czy... samoloty. Stawia przede wszystkim na te aktywności, które odciągają jego umysł od lęku.

– Jeżdżę na rowerze, pływam. Oglądam dużo materiałów piłkarskich. W bardzo kryzysowych momentach lubię słuchać podkastów o osobach, które mają podobne zaburzenia, a kiedy idę w miejsce, o którym wiem, że będę się tam stresował, staram się mieć przy sobie butelkę wody. Gdy zaczynam czuć się źle, piję i to jakoś mnie uspokaja – przyznaje.

Szymon na co dzień studiuje i udziela korepetycji z matematyki. – To sprawia mi szczególną radość, ponieważ spędzam wtedy czas tylko z jedną osobą i nie widać po mnie objawów lękowych – zaznacza, dodając, że ostatnio czuje się stabilnie i nie doświadcza znacznych wahań nastroju. Pozwala mu to spojrzeć z większego dystansu i na jego zaburzenie, i na otaczające go społeczeństwo, do którego ma jedną prośbę – o większą uważność.

– Moim największym marzeniem jest to, żeby ludzie odnosili się z szacunkiem do kogoś, kto zachowuje się inaczej niż większość, i nie oceniali go. Nigdy tak naprawdę nie wiemy, w jakiej sytuacji jest druga osoba i z czym zmaga się na co dzień – podkreśla. Wobec swoich rówieśników Szymon ma jeszcze jedno życzenie. – Chciałbym, żeby nie oceniali kolegi czy koleżanki na podstawie pierwszego wrażenia. Często bywa ono mylne. Ktoś może czuć głęboki stres albo mieć poważne problemy, o których nie chce opowiadać innym – dodaje.

Na skraju paniki

Zdarza się, że fobii społecznej towarzyszą ataki paniki. Wtedy lęk przybiera jeszcze gwałtowniejszą formę. – Pacjent wie, jak sobie z takim atakiem radzić, ale nie zawsze wie, w którym momencie może to nastąpić – wyjaśnia Magdalena Paszko.

Kiedy atak się już pojawia, potrafi całkowicie wyłączyć człowieka z funkcjonowania. Serce zaczyna gwałtownie bić, oddech staje się płytki, cały organizm jest w stanie silnego pobudzenia. Osoba doświadczająca ataku może mieć wrażenie, że traci kontrolę nad własnym ciałem, a nawet że umiera. – Wydziela się bardzo duża ilość adrenaliny i kortyzolu, a wraz z tym nasila się kołowrotek myśli, także tych katastroficznych – tłumaczy psycholożka. – Przykładowo ktoś próbuje przemieścić się komunikacją miejską przez Warszawę, jest tłok i nie jest w stanie ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ tej podróży dokończyć. Po prostu musi wysiąść wcześniej, bo w jego głowie w szybkim tempie pojawiają się myśli: „za moment się udusisz", „ten autobus zaraz się rozbije" – wyjaśnia ekspertka.

Atak paniki osiąga swoje największe nasilenie stosunkowo szybko, po czym, po piętnastu czy dwudziestu minutach, ustępuje. Pojawia się uczucie zmęczenia, rozbicia i pustki, które może potrwać jeszcze kilka godzin. To bardzo trudne doświadczenie, ale jednocześnie to właśnie te nasilające się i utrudniające normalne funkcjonowanie ataki często sprawiają, że pacjenci decydują się szukać pomocy.

– Mam pacjentów, którzy miesiącami nie wychodzili z domu i dopiero napad paniki sprawił, że zdecydowali się zgłosić po pomoc – podkreśla Magdalena Paszko i dodaje, że w trudnych momentach pomocne mogą być również techniki relaksacyjne, m.in. relaksacja Jacobsona, a także mindfulness czy ćwiczenia oddechowe. Jedną z prostych metod radzenia sobie z lękiem jest też tzw. oddychanie pudełkowe. – To bardzo szybko działająca metoda redukująca napięcie. Polega na tym, że przez cztery sekundy wciągamy powietrze nosem, przez kolejne cztery sekundy wstrzymujemy oddech, a następnie przez cztery sekundy wypuszczamy powietrze ustami. Całość powtarzamy cztery razy – wyjaśnia psycholożka.

Jak oswoić fobię

Edyta ma 25 lat. Z objawami fobii społecznej mierzy się, odkąd pamięta, ale ich apogeum przypadło na czas, gdy uczyła się w gimnazjum. Mieszkała wtedy w niewielkim mieście na Podlasiu, gdzie właściwie wszyscy się znali. – Nie umiałam „wbić się" w grupę i w efekcie tych nieudanych prób nawiązywania relacji po prostu zaczęłam się izolować od ludzi – wspomina. – W pewnym momencie pojawiała się wręcz fizyczna blokada. Paraliżujący wstyd i lęk przed tym, że ktoś może mnie odrzucić. Dlatego później już w ogóle nie podejmowałam takich kroków, nie chciałam kolejnej porażki – opowiada Edyta.

Dopiero pod koniec liceum trochę się przełamała i zaczęła stopniowo wychodzić do ludzi, otwierać się na nowe środowiska. – To naprawdę nie było łatwe – przyznaje.

Lepiej radziła sobie, gdy przeprowadziła się na studia do większego miasta. Wtedy też zdecydowała się na terapię; najpierw indywidualną, później grupową. Ta druga okazała się przełomowa. – Nauczyła mnie otwierać się przed innymi ludźmi, mówić szczerze o sobie, o tym, co mi doskwiera – zapewnia, lecz za chwilę wyznaje, że co prawda umie dziś lepiej kontrolować lęk, ale nie zniknął on całkowicie z jej życia. Wraca przede wszystkim w sytuacjach, gdy Edyta ma zostać sam na sam z osobą, której nie zna wystarczająco dobrze. – Coś mnie ściska w środku i bardzo się boję, że nie będzie między nami tematu do rozmowy – opowiada. Lęk pojawia się też czasami podczas grupowych zajęć, na przykład sportowych. Utrudnia i ogranicza swobodne ruchy.



ARCHIWUM PRYWATNE

MAGDALENA PASZKO, TERAPEUTKA:

Ludzie z fobią społeczną odczuwają niechęć do wchodzenia w interakcje i szybko doświadczają przebodźcowania. Niemożliwe staje się zjedzenie obiadu w restauracji, wyjście do kina czy na koncert.

Po studiach Edyta wróciła do rodzinnego miasta i otworzyła biznes: prowadzi własną kawiarnię. Także tu zdarzają się sytuacje, w których lęk daje o sobie znać. – Praca nad sobą bardzo mi pomaga, w wielu rzeczach już się przełamałam. Ale czasami nadal czuję ten wewnętrzny ścisk, kiedy mam coś komuś powiedzieć bezpośrednio. Zdarza się też, że przychodzi nowa osoba do pracy, a ja boję się do niej podejść i zagaić – przyznaje.

U podłoża swojej fobii Edyta odnalazła lęk przed oceną, przed pokazaniem prawdziwej siebie, przed odrzuceniem. – Dorastałam wśród ludzi, którzy bardzo wiele rzeczy krytykowali. Stałam się człowiekiem wciąż nastawionym na negatywną opinię – przyznaje.

Dlatego dziś otacza się ludźmi, którzy potrafią okazywać jej wsparcie i nie dają odczuć, że powinna się wstydzić albo czegoś nie robić. – Te osoby wspierają mnie na każdym kroku i pokazują, że można normalnie żyć – podkreśla.

Edyta interesuje się aktorstwem i śpiewem, które to pasje fobia do tej pory mocno ograniczała. – Zawsze uczęszczałam na jakieś zajęcia, ale świadomie starałam się schodzić na drugi plan – wspomina. Dziś coraz częściej wychodzi poza tę strefę komfortu. – Pracuję nad sobą i na coraz więcej rzeczy się odważam. To daje mi siłę do kolejnych wyzwań.

Trochę to trwa, ale warto

Diagnozowanie fobii społecznej to proces, który wymaga czasu. Kluczowa jest głęboka rozmowa, pozwalająca ustalić nie tylko charakter objawów, ale też ich źródło i współwystępujące problemy. – Zanim rozpoczynamy terapię, zbieramy bardzo dokładny wywiad diagnostyczny. Mam taką zasadę, że jeżeli gdzieś w trakcie wywiadu pacjent zgłasza mi objawy lękowe albo opisuje doświadczenia podobne do stanów paniki, rekomenduję od razu wizytę u psychiatry – mówi psychoterapeutka.

Chodzi nie tylko o szybsze rozpoczęcie terapii, ale także o przyniesienie pacjentowi ulgi, np. poprzez odpowiednie leki. – Proces terapeutyczny jest długotrwały. Nie jesteśmy w stanie w trakcie kilku wizyt pozbyć się najcięższych objawów. Współpraca z lekarzem psychiatrą, zwłaszcza w leczeniu zaburzeń lękowych i fobii, jest kluczowa – podkreśla Magdalena Paszko.

Jej zdaniem fobia społeczna może znacząco ograniczyć życie, ale nie musi oznaczać permanentnego, niszczącego lęku. Odpowiednio dobrana terapia i – w razie potrzeby – leczenie psychiatryczne mogą pomóc odzyskać kontrolę nad codziennością i radość wewnętrzną. Jak długo taki proces potrwa, to bardzo indywidualna kwestia, ale życie bez fobii społecznej i bez paraliżującego lęku jest jak najbardziej możliwe.

© ANNA KORYTOWSKA

eprasa.pl e0187a52f8



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Kto myśli rozsądnie

MICHAŁ RYDLEWSKI, ETNOLOG:

KLASIZM | Gdy rozpowszechniły się media społecznościowe, a kapitałem stała się głównie widzialność, intelektualiści zaczęli przegrywać walkę o wyjaśnianie świata. Wywołuje to ich zrozumiały gniew, bo podważa jedyny kapitał, jaki mają: wiedzę.

DOMINIKA SOSZYŃSKA: Wziąć coś na „chłopski rozum", czyli właściwie jak?

MICHAŁ RYDLEWSKI: Prosto, jasno i wyraźnie. Zobaczyć coś takim, jakim jest. Zdać się na własne zmysły i swoje doświadczenie. Nie dać się nabrać na ideologiczne złudzenia ani oszukać filozoficznemu dzieleniu włosa na czworo. Myśleć i działać na zasadzie przewidywalności wynikającej z życiowych lekcji, operować stereotypem. Chłopski rozum to rozum prostego człowieka, który nie jest wykształcony, ale mimo braku książkowej wiedzy, radzi sobie w świecie.

Nauka odrzuca to pojęcie?

W naukach humanistycznych i filozofii jego odpowiedniki to „zdrowy rozsądek" i „myślenie potoczne", które postrzegane są jako ważny zasób wiedzy, od nowożytnych empirystów brytyjskich po dzisiejszych posthumanistów. Niestety obecnie stały się głównie retorycznym zasobem wykorzystywanym w wygrywaniu dyskusji czy sporów politycznych.

Kłopot polega na tym, że ten „zdrowy rozsądek" jest „zdrowy" tylko wtedy, kiedy odpowiada naszemu pojęciu zdrowia, czyli temu, jak my widzimy rzeczywistość. Jest ostatecznym argumentem, że mam rację, bo świat jest taki, jak mówię. To przecież nie moja opinia, po prostu taki jest świat – wystarczy spojrzeć. Kłopot w tym, że nasze widzenie jest zawsze skażone nami samymi.

Mam wrażenie, że pojęcie „chłopskiego rozumu" traktowane jest przez wielu współczesnych intelektualistów wręcz jako obelga.

Intelektualiści jeszcze do niedawna mieli monopol na prawdę i możliwości narzucania swojej wizji świata. Gdy rozpowszechniły się media społecznościowe, a kapitałem stała się głównie widzialność – odpowiednia forma i treść przekazu – zaczęli przegrywać tę walkę o wyjaśnianie świata. Gdy okazują się słabszymi w starciu z innymi w dyskusjach, wywołuje to ich zrozumiały gniew, bo podważa jedyny kapitał, jaki mają: wiedzę.

A druga strona tę wiedzę ignoruje?

Zgadza się. Taki zdroworozsądkowy człowiek nie musi czytać naukowych rozpraw z zakresu *gender studies*. Po prostu wie, że płcie są dwie, bo można to ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ zmysłowo zaobserwować po narządach płciowych. Intelektualista powie, że rzecz jest dużo bardziej skomplikowana, bo badania X mówią Y. Ale ten „chłopski rozum" już skończył dyskusję, bo on ufa tylko sobie. Klapsy krzywdzą dzieci? Nieprawda, ja dostawałem od ojca i jakoś żyję.

Z drugiej strony, jego intuicje mogą być słuszne.

Oczywiście, mądrość ludowa często trafnie rozpoznaje rzeczywistość, choć rzadko kiedy te obserwacje przedstawiane są w zadowalającym intelektualistę języku. Sęk w tym, że bardzo trudno uogólnić, czy „zdrowy rozsądek" jest trafny czy nie, tutaj należałoby zawsze przyjrzeć się jakiemuś konkretowi.

Pamiętam mojego dziadka, który mówił, że „te kredyty we frankach to jeszcze tym ludziom wyjdą bokiem". Dlaczego? – pytałem. Przecież to stabilna waluta – „szwajcarska", a wszystko, co szwajcarskie (banki, zegarki) kojarzyło się wtedy z pewnością i niezawodnością. Dziadek powtarzał, że kredyty to pętla na szyję obywatela, a bankierzy to złodzieje i w gruncie rzeczy nigdy nie mógł pojąć idei kredytu. Ostatecznie wyszło na jego, to raczej ja – intelektualista – kierowałem się potocznym wyobrażeniem o „szwajcarskości".

Może w przerzucaniu się „naukowością" i „chłopskim rozumem" możemy dostrzec symptomy konfliktu o to, kto ma definiować rzeczywistość: zwykli ludzie czy eksperci?

W jakimś sensie na pewno, bo każda wiedza to władza. A władza, żeby działać, potrzebuje wiedzy, którą wytwarza i która zwrotnie ją legitymizuje. Dobrze pokazał to w swoich pracach Michel Foucault. Elity intelektualne na skutek różnych procesów społecznych oraz technologicznych straciły monopol na definiowanie rzeczywistości, co po części jest także ich własną zasługą, ponieważ są wyraźnie uwikłane w politykę – a zdaniem wielu ludzi odbiera im to wiarygodność.

W mediach społecznościowych dziś wszyscy jesteśmy ekspertami od wszystkiego. Fakt, że elity intelektualne nie kontrolują już w pełni życia społecznego, budzi ich frustrację?

Tak, elity intelektualne przestały być słuchane, co budzi ich ogromną frustrację i niechęć wobec tych, którzy podważają ich kompetencje. Z tego powodu tak często z pogardą odnoszą się do ludu, który powinien – w ich mniemaniu – spijać słowa prawdy z ich ust. Wystarczy popatrzeć na degradację pozycji takich osób jak profesor Magdalena Środa, którą w Kanale Zero „rozjechał", jak to się mówi, zdroworozsądkowy Krzysztof Stanowski – dla wielu symbol właśnie tak zwanego chłopskiego rozumu. Albo wspomnieć podkasty czy kluby tworzone przez osoby spoza świata akademickiego, często bez doktoratów, które mają o niebo lepsze diagnozy rzeczywistości społecznej niż profesorowie zamknięci w wieży swojej lepszości i wszechwiedzy.

Elity powinny zejść z tej wieży na ziemię?

To powinno być asumptem dla świata uniwersyteckiego do wzmożonej pracy, wejścia w relację ze społeczeństwem i z ludźmi myślącymi inaczej, którzy chcą być przekonywani argumentami, a nie połajankami z wyżyn akademickiego dyskursu, którego prawie nikt już dziś nie szanuje.

W świecie ludzi tak zwanego „dyskursu" mamy też pewną fetyszyzację czytania. Półka z książkami, znajomość odpowiednich autorów i deklaracja, że się dużo czyta, ma świadczyć o naszej pozycji klasowej?

Oczytanie świadczy – choć w zasadzie chyba należałoby użyć tu czasu przeszłego – o posiadanym przez nas kapitale kulturowym. Ten z kolei przekłada się na przynależność do danej klasy, w tym przypadku średniej i wyższej. Sęk w tym, że treści tego kapitału kulturowego się zmieniają – ogromną rolę odegrały w tym media społecznościowe, które dały możliwość demokratycznego zyskiwania widzialności, nieważne zresztą, jakimi sposobami. Może nieco nadmiernie uogólniając, można powiedzieć, że media te stawiają raczej na obraz niż ukazanie pełni swojego intelektualnego wnętrza, bo to jest trudniejsze, choćby ze względu na ilość i szybkość cyfrowej komunikacji.

Kampanie typu „Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka" pokazują książkę niemal jako moralny wyznacznik wartości człowieka.

Myślę, że to oczytanie to w dużej mierze narcystyczna deklaracja: „Zobaczcie, jaki jestem mądry". To ma pokazywać moje preferencje, że nie lubię płytkich ludzi, bo książki świadczą o mądrości, a być może również i o moralnej lepszości. Ten ktoś musi czytać książki, abym była nim zainteresowana. Czyli pokazują raczej mnie, niż zwracają uwagę na drugiego człowieka.

Myślę, że gdyby ktoś te książki właśnie czytał, choćby wielką literaturę, wiedziałby, że nie liczba przeczytanych pozycji świadczy o wartości człowieka, jego

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

POZNAŃ, niedziela, 27 września, godz. 14.00, kaplica w parafii Łacina pw. Imienia Jezus (ul. Czesława Niemena 5), spotkanie „Nawet jedno z tych dzieci" w ramach Światowego Dnia Migranta i Uchodźcy w Kościele Katolickim, z udziałem Małgorzaty Rycharskiej (Hope & Humanity), niezależnego dziennikarza Piotra Czabana oraz radcy prawnej Darii Górniak-Dzioby. Gośćmi będą również Joanna Spychała i Marek Durski z Przestrzeni Dobrej Integracji.

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

eprasa.pl e0187a52f8

życiowej mądrości ani tym bardziej jego moralności. Swoją drogą, niewiele osób tak naprawdę czyta dużo książek. Ludzie nie mają na to po prostu czasu, nie mówiąc już o stopniowej utracie kompetencji czytelniczych – pismo to trudne medium, wymagające dużego skupienia, które jest niszczone przez przyklejenie do ekranu.

Gdy Olga Tokarczuk dostała Nobla, widywałem osoby noszące jej książki, ale trudno było z nimi o tych książkach porozmawiać. To także zanikająca już kompetencja: rozmowy o czymś. Dzisiaj ta „książka" służy raczej jako popis i wyliczenie, co mi się podoba, a czego nie lubię.

Dlaczego przeczytanie powieści bywa uznawane za bardziej wartościowe niż obejrzenie filmu czy głęboka rozmowa?

To wyobrażenie narzuciła nam klasa wyższa, w pewnym stopniu także we własnym interesie: aby wydawać się mądrzejsza, niż jest w rzeczywistości, a co za tym idzie – mieć władzę. Oczywiście nie przeczę, że czytanie powieści jest wartościowe – sam uwielbiam czytać i uważam, że dzięki książkom staję się mądrzejszy. Zapytałbym jednak: czy ci nieczytający nie dochodzą czasem do podobnych wniosków co wielcy pisarze i czy to właśnie oni czasem nie naśladują tych „nieczytających prostaczków"? Albo czy ich mądrości naprawdę robią wrażenie na tych, którzy raczej żyją i opowiadają, niż czytają?

Literatura czasami wypowiada coś, co sami mieliśmy na końcu języka. Ale wcale nie znaczy to, że jej prawda nie jest nam jakoś znana. Być może właśnie ta przeżyta, noszona gdzieś w środku, odczuwana, choć niewyrażana, „pracuje" w człowieku bardziej niż ta wystudiowana. Przecież, jak mówił Wiesław Myśliwski, w środku jesteśmy baśnią, która czasami objawia się w jednym zdaniu, spojrzeniu czy geście. Wszyscy. Wystarczy pobyć trochę w różnych środowiskach, żeby zobaczyć, jak ciekawie ludzie opowiadają swój świat.

Negatywizacja chłopskiego rozumu odbywa się – co paradoksalne – na tle zwrotu ludowego, który od kilku lat obserwujemy w Polsce. Klasa średnia ochoczo wczytuje się w „Chłopki", co jest też pewną romantyzacją przeszłości i elegancką formą konsumowania ludowości. Łatwiej zachwycać się chłopską kulturą, kiedy jest ona przeszłością, a trudniej zaakceptować realnych ludzi ze wsi, którzy żyją obok nas?



ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ RYDLEWSKI jest doktorem habilitowanym, etnologiem, filozofem, medioznawcą i literaturoznawcą. Pracuje w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego. Autor książek, m.in.: „Żeby widzieć, trzeba wiedzieć. Kulturowy wymiar percepcji wzrokowej" (2016), „Scenariusze kultury upokarzania. Studium z antropologii mediów" (2019) oraz „Świat jako komunikacyjne nie-miejsce. Media, kultura, polityka" (2026).

Słusznie zauważa pani, że ten zwrot ludowy ma charakter klasowy. Tę historię piszą przede wszystkim ludzie elit, a nie ludzie z ludu czy prowincji. Co ciekawe, jego opis rzadko bywa kontynuowany aż do czasów współczesnych. Być może dlatego, że mogłoby się okazać, iż sami jego twórcy wcale nie stoją po stronie tego ludu, który tak bardzo chcieliby reprezentować.

Z drugiej strony, zwrot ludowy dał też wielu osobom spoza kręgu jego twórców możliwość poszukiwania własnej tożsamości, jakiejś formy zakorzenienia, ale także potwierdzenia słuszności walki z patriarchatem i wyzwolenia kobiet – sukces „Chłopek" jest tego potwierdzeniem. To ciekawe, jak część młodych ludzi – głównie z dużych miast – „maca" swoje korzenie i jakąś formę polskości. Nawet internetowe estetyki w stylu *slavic girl*, choć przyszły z zagranicy, dla wielu stają się pretekstem do przyjrzenia się sobie i swoim rodzinnym losom. To dobrze, bo widać w tym próby zakorzenienia się – dziś już chyba mało kto wierzy w metaforę „obywatela świata".

Tylko czy „chłopski rozum" i „chłopomania" nie są aby dwiema stronami tego samego problemu: w pierwszym przypadku odmawiamy ludowi racji, a w drugim — zamieniamy go w opowieść?

Tak, bo tutaj często nie chodzi o lud, tylko o opisujących. Lud jest pretekstem do opowieści o nas samych. Może dla pewnej grupy ludzi rodzi się coś pomiędzy czekoladowym orłem a hasłem „Bóg, Honor i Ojczyzna"? Ten cały zwrot ludowy i różne narracje ludowe więcej mówią o nas niż o przeszłości, bo przyjmuje się tu strategię albo romantyzacji, albo karykatury. Wszystko po to, żeby określić siebie w teraźniejszości, w tym nierzadko w narracji politycznej: „Spójrz, jaki ze mnie obrońca ludu". Ale ludu, którego już nie ma.

Czy można mówić o „mądrości ludowej" bez popadania w romantyzację?

To jest o tyle trudne, że często w tę romantyzację popadamy nieświadomie. Słynny filozof Martin Heidegger sławi „humanizm rustykalny", którego uosobieniem jest wieśniaczka zżyta ze swoim światem. Ale gdyby zapytać ją, czy czuje to samo, co opisujący ją filozof, mogłaby odpowiedzieć: „Ot, zwykłe życie, o czym tu mówić". A jednak filozof dostrzega w tym coś wielkiego. Być może dlatego, że sam kulturowo już to utracił.

Fundamentalnym zjawiskiem naszej nowoczesnej kultury jest konsumpcyjnie zorganizowana już wręcz tęsknota za prostym życiem. Wieś z wyobrażeń mieszczucha do tego pasuje – dlatego walczą oni z hałasem ciągników czy smrodem oborników, bo to nie jest z ich wyobrażeń. Co gorsza, mogą tę walkę wygrać i wtedy estetyka będzie już etyką i władzą klasową nad tymi, którzy mieszkają tam od lat.

Wspomniała pani wcześniej hasło „Nie czytasz? Nie idę z Tobą do łóżka" – ono ma tyle wspólnego z rzeczywistością, co „Rzucić wszystko i wyjechać ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ w Bieszczady”. Spora część osób, które go używają, po miesiącu wróciłaby do miasta, zderzenie deklaracji z rzeczywistością mogłoby się okazać bardzo bolesne.

Cóż, wyobrażenie sobie życia w krainie wiejskiej idylli potrafi być bardzo kuszące.

Dziś coraz częściej żyjemy wyobrażeniami, przede wszystkim wyobrażeniami ucieczki. Być może dlatego, że rzeczywistość społeczna staje się już trudna do wytrzymania – między innymi presja na pokazywanie siebie z jak najlepszej strony i nieustanne opowiadanie siebie innym. Życie w świecie, w którym ludzie wcale nie „czytają” innych, a jedynie gadają o sobie, będąc przekonanymi o własnej wyjątkowości, jawi się jako koszmar. Dlatego chcemy uciec nie tylko od pracy, rodziny, swojego społecznego świata, ale przede wszystkim od siebie, bo jesteśmy już tym swoim „ja” udręczeni.

Przypomniał mi się wiersz Anny Świrszczyńskiej: „Zazdroszczę ci. / W każdej chwili / możesz odejść ode mnie. / Ja od siebie / nie mogę”.

Właśnie. Od siebie nie ma przecież ucieczki. Żyjemy więc fantazją, że gdzieś kiedyś musiało być lepiej. Jednocześnie jak ktoś ze starszego pokolenia mówi „kiedyś to było”, natychmiast jest to wyśmiewane jako iluzja. Może zaskoczę tym czytelników, ale uważam, że kiedyś w pewnych sprawach było lepiej, nie było takiego pędu i kultu osiągnięć, ludzie spędzali ze sobą więcej czasu, byli ze sobą bliżej, nie było takiej epidemii samotności. Tylko dziś nie można tego otwarcie przyznać na serio, bo ległaby w gruzach cała metafora postępu. Czy Kaziukowi – bohaterowi „Konopielki” Edwarda Redlińskiego – było źle, zanim do Taplar trafiła nowoczesność?

„Zdrowy rozsądek” jest „zdrowy” tylko wtedy, kiedy odpowiada naszemu pojęciu zdrowia, czyli temu, jak widzimy rzeczywistość.

Kłopot w tym, że nasze widzenie jest zawsze skażone nami samymi.

Pan ceni ludową mądrość?

Pewnie. Mam nawet po tej mądrości kilku swoich przewodników. To wymieniony już Wiesław Myśliwski, który bardzo ciekawie opisywał świat mówionej opowieści kultury chłopskiej i jej życiowej mądrości. Jest nim też moja – nieżyjąca już – babcia. Choć niewykształcona, była niesamowicie mądrą osobą.

Co najważniejszego przekazała Panu babcia?

Jej obraz świata uświadomił mi, że w życiu trzeba się skupić na tym, żeby dobrze żyć z ludźmi, nie walczyć z całym światem – akceptować to, co nie podlega naszej sprawczości. Co ciekawe, wiele nowoczesnych rzeczy ją dziwiło, a niektóre uważała za bzdurne. Na przykład nigdy nie mogłem jej przekonać do wartości siłowni, bo uważała, że to marnowanie energii – w tym czasie można by zrobić coś pożytecznego, choćby przekopać ogródek czy porąbać drewno.

Babcia nie potrzebowała pojęcia „Czułego narratora”, bo czułość wobec świata była jej naturalnym nastawieniem. Tak jak nie potrzebowała czytać wielkich filozofów, gdyż miała własną filozofię, nieodległą przecież od tej Heideggera. Co więcej, głęboko przeżytą, a nie wystudiowaną jak moja.

Szkoda, że zbyt późno zrozumiałem, że obcując z babcią, obcuję z kimś wielkim. Dopiero po latach doszedłem do tego, że wszystko, o czym mówiła, było dobrą radą na życie. Pamiętajmy, że mądrość ludowa wynika z przekazywania wiedzy przez starszych, którzy już się – jak mówiła właśnie moja babcia – nażyli. Młodość chyba musi przetestować na sobie różne głupstwa. Ona też jest potrzebna, bo czy bez niej wiedzielibyśmy o mądrości?

© Rozmawiała DOMINIKA SOSZYŃSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl e0187a52f8

OLGA

Drenda:

Trochę dystansu? A niekoniecznie!



Kilkanaście lat temu wpadła mi w ręce niewielka książka dziennikarza muzycznego Carla Wilsona, który postanowił uczciwie skonfrontować się z muzyką, która szczególnie go mierziła, i zastanowić się, dlaczego tak strasznie działa mu na nerwy. Przyczyną jego irytacji była gwiazda raczej niegroźna i sympatyczna, czyli Céline Dion. Owszem, doskonale pamiętam jeszcze z czasów szkolnych, jak wszystkim wychodziła już uszami – ale żeby zżymać się na mięciutką jak spacer w swetrze wśród jesiennych liści balladę „Falling into you", to już czyste czepialstwo.

Autor nie mógł znieść emfazy i powagi, z jaką wykonywała swój repertuar Dion, jego melodramatyzmu i cukierkowatości. Uważał, że taka muzyka może podobać się tylko tym, którzy na muzyce się nie znają. Przypominało to strzał z armaty do wróbelka, są wszak wykonawcy znacznie bardziej denerwujący, ale różnymi drogami chadzają przecież gusta. Przygoda Wilsona w świecie nielubianej muzyki okazała się w końcu opowieścią z cyklu baśni pożytecznych: nie przekonał się, co prawda, na dobre do nielubianej artystki, ale nauczył się lepiej wchodzić w cudze buty i powściągać odruch złośliwych sądów.

Teraz Céline Dion stała się bohaterką kolejnej opowieści o baśniowym posmaku: o powrocie na scenę po latach przerwy spowodowanej poważną chorobą – i to powrocie wymagającym ciągłej walki z ograniczeniami narzucanymi przez własne ciało. Świat wzrusza się i kłania z uznaniem, publiczność płacze, i mnie także to wzruszenie się udziela, choć sama zdecydowanie wolę słuchać innej muzyki. Wszystko dlatego, że przypomniało mi to o rzadko spotykanym dziś podejściu do piosenki – takim, w którym liczy się wszystko to, co tak złościło Carla Wilsona: afektacja, solenność, rzeka sentymentu i brak dystansu. Jako niepoprawny żartowniś z natury muszę przyznać, że czasem właśnie tego potrzeba.

Oczywiście dziś ludzie kochają muzykę, mają nowych idoli, studiują uważnie ich utwory i pielgrzymują na koncerty. Ale relacje te wyglądają inaczej, chodzi w nich może bardziej o wspólnotę fandomu, o dzielenie doświadczenia z innymi słuchaczami niż o samą muzykę. Céline Dion pasuje raczej do dwudziestowiecznego panteonu piosenki, gdy artyści sceny, wraz ze swoimi wadami i kaprysami, mogli dostąpić uświęcenia przez swój głos i ekspresję: Maria Callas, Édith Piaf, Violetta Villas, Charles Aznavour, trzej tenorzy. Nawet wtedy, gdy plotkowano o sensacjach z ich życia, czyniono to nabożnie. Samej bohaterce felietonu najbliżej chyba do niezapomnianej ulubienicy widzów „Koncertu życzeń", Mireille Mathieu z jej wiecznotrwałą fryzurą na grzybka. Podobnie stroniąca od ekstrawagancji, mało kojarzona z plotkarskim światem i przemawiająca przede wszystkim siłą swojego głosu, a do tego z repertuarem nieodmiennie niemodnym.

Szanuję ludzi, którzy traktują muzykę serio. Nie muszą się na niej znać, ale zdają sobie sprawę, że nie zbywają jej słowami „tylko rozrywka", wiedzą, że jest taka część muzyki, w której nie chodzi o zabawę. Nie musi się nam podobać to samo, natomiast na pewno podoba mi się zdolność do podchodzenia do spraw poważnie. Jest i muzyka do płakania! Ta szkoła piosenki, w której się przesadza – jeśli śpiewa się o emocjach, to aż z gestem chwytania się za serce, wznosi się oczy do nieba, a do tego wszystko musi być wielkie, największe: jeśli głos wzniesiony, to najwyżej, szept najcichszy, gest najszerszy – przemawia do instynktu piękna, który ludzie na ogół mają w sobie. Podążają za zakodowanymi w muzyce popularnej śladami klasyki, dziewiętnastowiecznej pieśni, opery, chanson – a więc i poezji.

Wielka powaga bywa oczywiście niezmiernie śmieszna, można założyć, że pompa i przesada to jedna z najprostszych metod na wzbudzenie odruchowej salwy śmiechu, trudno bowiem wytrzymać jej natężenie. Ale nieumiejętność wykrzesania z siebie powagi od czasu do czasu jest dla odmiany po prostu smutna – to zobojętniała blaza charakteryzująca człowieka, dla którego wszystko to towar łatwo zbywalny. Wolę postawę kogoś, kto złapie za chusteczkę, oglądając wykonanie nawet najbardziej landrynkowej, wywołującej ból zębów ballady w talent show, ale za to nigdy nawet nie pomyślałby o życiu bez muzyki. ©



OLGA DRENDA

Nieznany przechodzień czaruje pasażerów dworca PKP

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

eprasa.pl e0187a52f8

SEN O WIELKIEJ ARGENTYNIE

Prezydent Milei żąda od Londynu zwrotu wysp na Atlantyku. Odkurzony upiór nacjonalizmu ma mu przynieść poklask rodaków. O co chodzi w sporze o Falklandy/Malwiny? Jaką rolę odgrywa w nim Trump?

MACIEJ STASIŃSKI



W Argentynie komentarzom, poważnym, pobłażliwym lub zjadliwym, nie ma końca. Zaczęło się, gdy na początku września prezydent państwa Javier Milei wystąpił we wszystkich kanałach telewizyjnych, zobligowanych do transmisji jego wystąpień, i oświadczył, że atlantyckie wyspy, z angielska zwane Falklandami, a z hiszpańska Malwinami, należą się Argentynie. Oraz że ich odzyskanie to najważniejsza sprawa narodowa.

Zarówno kpiny, jak też poważna krytyka dotyczą nie tylko formy i pretekstu, pod którymi prezydent Argentyny decyduje się sięgać po zwierzchność nad wyspami, ale też istoty sprawy.

Wystarczyło bowiem, by prezydent Donald Trump bąknął coś o ewentualnej rewizji stosunku USA do statusu wysp, aby Milei gromko i nagle ogłosił, że ich przynależność do Argentyny jest sprawą „świętą".

Kaprysy króla świata

Tymczasem Trump wcale nie przesądził, że USA zaczną nagle popierać pretensje Argentyny. On tylko pogroził Brytyjczykom, na których jest obrażony – za nieudzielenie mu pomocy w wojnie z Iranem, a także za niedostateczny, jego zdaniem, budżet obronny Londynu w ramach NATO.

Przypadek Falklandów/Malwinów to jeden z wielu pomysłów Trumpa, który – niczym król świata – rysuje na nowo granice. Zwłaszcza własnego kraju, rzekomo zasługującego na zagarnięcie Grenlandii, Kanady i cieśniny Ormuz czy skolonizowanie Wenezueli i Kuby.

Trump rozdaje też „Niderlandy" – tym, których lubi. Jak kilka dni temu, gdy podczas podróży do Irlandii wyraził życzenie zjednoczenia Zielonej Wyspy. Czyli odebrania Wielkiej Brytanii jej prowincji, Irlandii Północnej. Albo gdy poparł Maroko w dążeniu do przejęcia Sahary Zachodniej oraz hiszpańskich miast Ceuta i Melilla – głównie dlatego, by ukarać rząd w Madrycie za krytykę jego poczynań i odmowę użycia amerykańskich baz w Hiszpanii podczas operacji przeciw Iranowi.

Niezależnie od widocznej przyjemności, którą Trumpowi sprawia meblowanie świata według swego kaprysu, jest znakiem czasu, że jego słowa wywołują poważne kryzysy. Takie mamy czasy: reguły polityki światowej zostały zburzone, a silniejszym wydaje się, że wolno im wszystko.

Milei rusza do szarży

Żaden prezydent Argentyny nie wracał do kwestii Falklandów/Malwinów od przegranej wojny z Wielką Brytanią 44 lata temu. W kwietniu 1982 r. Argentyna najechała na wyspy, by wkrótce potem doznać druzgocącej klęski od brytyjskiej armady, wysłanej dla ich odbicia.

Milczano nie tylko dlatego, że tamta klęska pociągnęła za sobą upadek dyktatury wojskowej w Argentynie, lecz zwłaszcza dlatego, że upokorzyła Argentyńczyków – uświadomiła im słabość własnego państwa i wątłe pretensje do wielkości.

Po przegranej wojnie Argentyńczycy mogli formalnie nadal chcieć odzyskać wyspy, ale ani się z tym nie obnosili, ani nikt im w tym nie sprzyjał. Formalnie w oczach ONZ wyspy to terytorium sporne, wobec którego żadna ze stron nie powinna przedsiębrać jednostronnych kroków (tak głosi rezolucja ONZ numer

eprasa.pl e0187a52f8



FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

Milei wielbi Trumpa i się na nim wzoruje. Na zdjęciu: prezydenci USA i Argentyny podczas spotkania założycielskiego „Rady Pokoju", powstałej z inicjatywy Trumpa i mającej być alternatywą dla ONZ. Davos, 22 stycznia 2026 r.

31/49 z 1976 r.). Ale nic się w tej sprawie nie działo przez 44 lata.

Nic, dopóki Javier Milei, prezydent od grudnia 2023 r., nie uznał, że wzmianka Trumpa o wyspach oznacza „strategiczną zmianę wizji świata" ze strony USA, że Trump potrzebuje sojusznika w „komunikacji między Atlantykiem a Pacyfikiem" oraz że tę rolę „idealnie spełnia Argentyna", to zaś „ułatwi odzyskanie Malwinów" (to cytaty z jego przemowy).

Tych, którzy kwestionowali jego występ, Milei zwymyślał, jak to ma w zwyczaju, że są „gównem".

Niezachwiane zobowiązanie

Wcześniej Milei tematu unikał. A jak już musiał coś powiedzieć, ograniczał się do pojednawczego upomnienia się, jakby w dobrodusznej nadziei, że pewnego dnia kilka tysięcy ich brytyjskich mieszkańców (zwanych Kelpers, od *kelp*, gatunku wodorostów, obecnych w okolicznych wodach) zechcą uznać, iż w „Wielkiej Argentynie" będzie im się żyło dostatniej.

Rząd Wielkiej Brytanii odpowiedział krótko, że mieszkańcy mają prawo do samostanowienia. Oraz że zrobili już z niego użytek, w 2013 r. głosując w referendum większością 99,8 proc. głosów za przynależnością do Wielkiej Brytanii. To zaś oznacza dla Londynu „niezachwiane zobowiązanie".

Milei nie poprzestał na bombastycznych deklaracjach. Zapowiedział sankcje dla brytyjskich firm, które niebawem zaczną pompować ropę ze złoża Sea Lion, z dna oceanu nieopodal wysp. Zagroził też zablokowaniem dostępu kapitału brytyjskiego do potężnych złóż gazu i ropy Vaca Muerta w Argentynie oraz zapowiedział budowę bazy wojskowej na argentyńskiej części Ziemi Ognistej. Do tej ostatniej inwestycji zaprosił Trumpa.

Owijając się w sztandar nacjonalizmu, prezydent Argentyny wpakował się osobiście w karkołomną polityczno-ideologiczną kabałę. Być może wprowadził także swój kraj na nieprzezwyciężalną rafę.

Make Argentina great again

Milei jest bowiem w polityce wewnętrznej skłócony z większością stronnictw politycznych, a w opinii publicznej poparcie ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ dla jego liberalnych reform, drastycznych i bolesnych dla większości obywateli, jest dziś chwiejne.

Prezydent nie od dziś ruga, lży i szydzi z całej „kasty politycznej", która, jego zdaniem, przez większą część stuleci XX i XXI „zrujnowała" Argentynę. Obiecuje, że pod jego berłem dostąpi wielkości. *Make Argentina great again* – to jego wariant sloganu Trumpa.

„Sprawa Malwinów wymaga, żebyśmy dali sobie odpoczynek od sporów, odłożyli broń na bok i okazali jednolity front wobec świata, jako naród i społeczeństwo. Bo są sprawy, które stoją ponad różnicami. Nie ma miejsca na spory, gdy walczy się z zewnętrznym wrogiem, chyba że jest się zdrajcą narodu" – apelował Milei do Argentyńczyków w orędziu.

Ponieważ jednak takiego jednoczącego języka nigdy wcześniej od niego nie słyszano, jego patriotyczne wzmożenie nie brzmi wiarygodnie.

Jest dla wszystkich jasne, że Milei chwycił się sztandaru świętości narodowej, by zjednać sobie obywateli, którzy w innych sprawach, zwłaszcza wspomnianych reform, są mu raczej oporni. Front jedności narodu będzie mu potrzebny, gdy w 2027 r. stanie do reelekcji.

Milei wielbi Trumpa

Wcześniej, latem, temat wysp wywołali argentyńscy piłkarze na mundialu: świętując awans do finału (pokonali Anglię 2:1), wyciągnęli flagę z napisem „Malwiny należą do Argentyny". Demonstracja podbiła Argentyńczykom bębenka nacjonalistycznego zapału – zanim nie pogrążyła ich w rozpaczy klęska w meczu finałowym z Hiszpanią, który pod koniec gracze argentyńscy zmienili w chuligańską burdę.

Widać Milei uznał, że warto pójść za głosem ludu. A że pałkarskie metody w polityce są mu przyrodzone i daje im upust od początku swej kariery, doszedł do wniosku, że nadeszły nowe czasy, że „wieją wichry zmian" (jak się wyraził w orędziu), i że teraz, jak pokazuje Trump, tak należy uprawiać politykę międzynarodową.

Tylko że kiedy współpracę na scenie światowej zastępują awantura i dyktat, nie ma szansy na powrót do negocjacji i dyplomacji.

Wiadomo od dawna, że Milei wielbi Trumpa. Ten zresztą już raz, przed wyborami parlamentarnymi w 2025 r., wyratował go z tarapatów zastrzykiem 20 mld dolarów. Prezydenta Argentyny zachwycają zresztą wszyscy ultraliberalni i autokratyczni przywódcy na świecie, a wszelcy liberałowie czy lewica (nieważne, jak umiarkowana) budzą jego pogardę, jeśli nie nienawiść.



KEN GRIFFITHS / CC BY-SA 4.0

Podczas wojny w 1982 r. Brytyjczycy wzięli do niewoli ponad 11 tys. argentyńskich żołnierzy – całe zgrupowanie, które stacjonowało na Falklandach/Malwinach. Na zdjęciu: argentyńscy jeńcy w Port Stanley, stolicy archipelagu, 19 czerwca 1982 r.

Szkopuł z idolami Mieleiego jest taki, że postacią światowej polityki, którą dotąd wielbił, była także Margaret Thatcher. Milei uważa brytyjską premier za jedną z najwybitniejszych „dam stanu" wieku XX. Tyle że to ona w 1982 r. posłała brytyjską armadę, która zdruzgotała armię argentyńską. Zmieni teraz zdanie?

Szarady i konfuzje

Wcześniej Milei gorliwie przystąpił do „Tarczy Ameryk": sojuszu kontynentalnego, lansowanego przez Trumpa przeciw wpływom innych potęg, jak Chiny czy Europa. Wyraźnie opowiadał się też przeciw ekspansji gospodarczej Chin na zachodniej półkuli. Tyle że dziś Chiny popierają pretensje Argentyny do wysp. Milei odwzajemnia to cichym wsparciem dla „polityki jednych Chin", czyli dla roszczeń Pekinu do Tajwanu. Przeprosi się więc teraz z Chinami?

Nie dość na tym. Jednym z nielicznych państw, które uznają prawo Argentyny do Falklandów/Malwinów, jest Izrael. Ale to akurat koncerny izraelsko-brytyjskie, Navitas i Rockhopper, szykują się do rozpoczęcia eksploatacji ropy na złożu Sea Lion. Pokłóci się więc teraz z Izraelem?

Nie wiadomo, jak prezydent Argentyny zamierza wybrnąć z tej szarady.

Jest więcej niż wątpliwe, aby – poza retorycznym wzmożeniem dumy narodowej – Argentyńczycy byli gotowi dziś na wojnę z Wielką Brytanią. Są na to za słabi militarnie i zbyt osamotnieni w świecie, gdyż na trwałe wsparcie USA nie mają tutaj co liczyć.

Poza tym doświadczenie roku 1982, gdy zbrodnicza i bankrutująca junta wojskowa generała Leopolda Galtieriego porwała się na awanturę z Wielką Brytanią, aby ratować samą siebie w imię „świętej sprawy narodowej", nadal pozostaje nauczką samozawinionej klęski.

Naród stanął do apelu

Katastrofa roku 1982 stała się bowiem matką narodowego kompleksu Argentyńczyków.

Gdy junta postanowiła odbić wyspy z rąk Brytyjczyków, naród „stanął do apelu". Tyle że Galtieri i admirał Jorge Anaya, dowódca marynarki, nie mieli pojęcia o polityce światowej i w swoich amatorskich rachubach pomylili się z kretesem. Nie wiedzieć czemu uznali, że Londyn nie zdobędzie się na militarną odpowiedź, a Stany poprą Argentynę lub przynajmniej zachowają neutralność. Zignorowali perswazję prezydenta Ronalda Reagana, który, wiedząc wcześniej o planach inwazji, namawiał ich do poniechania tego pomysłu.

Poparły go za to wszystkie siły i partie polityczne w Argentynie – mimo że były

eprasa.pl e0187a52f8



INFOGRAFIKA LECH MAZURCZYK

wyjęte spod prawa, prześladowane lub tylko tolerowane przez dyktaturę. Włącznie z lewacką organizacją terrorystyczną Montoneros walczącą zbrojnie przeciw juncie.

Junta organizowała wiece patriotyczne, które – tak jak wcześniej mundial w 1978 r., na którym triumfowała Argentyna – miały przykryć rozmiar jej zbrodni. Nacjonalistyczny amok opanował cały kraj, który zdawał się nagle zapominać, że od sześciu lat tratuje go dyktatura, mordując tysiące „wywrotowców", a dziesiątki tysięcy zmuszając do emigracji.

Jeszcze 30 marca 1982 r. największa centrala związkowa organizowała strajk generalny przeciw władzom. Kilka dni później poparła najazd na Falklandy, zarządzony przez te same władze.

Hańba klęski

Juncie zrazu się udało: przy dźwiękach fanfar, 2 kwietnia 1982 r. jej armada szybko zajęła wyspy. Londyn od razu zapowiedział odwet: Thatcher postawiła pod broń 10-tysięczną *task force* i wysłała ją na drugi koniec świata na dwóch lotniskowcach, jedenastu niszczycielach, trzech okrętach podwodnych i okrętach desantowych z piechotą morską.

USA spróbowały mediacji, ale gdy 10 kwietnia sekretarz stanu Alexander Haig przybył do Buenos Aires, Galtieri przyjął go w wojowniczym tonie. „Jak chcą, to niech tu przyjadą, damy im odpór!" – wołał do stu tysięcy rodaków, zebranych na Placu Majowym i skandujących „Argentyna, Argentyna! Dajmy im popalić!".

Rychło okazało się, że awantura, która miała zwrócić Argentynie godność i wielkość, przerodziła się w krwawą wojnę, która sen o wielkości strąciła w otchłań.

W dodatku junta nie wyzbyła się dyktatorskiej pogardy dla własnego społeczeństwa: posłała na tę wojnę, niczym bydło na rzeź, tysiące młodych rekrutów bez wyszkolenia, a nawet bez odpowiedniego sprzętu i odzieży. Ginęli w walce, a gdy dopuścili się przewinienia lub zaniechania, dowódcy karali ich bestialsko.

Wojna trwała 74 dni i skończyła się 14 czerwca kapitulacją Argentyny. Zginęło w niej 649 Argentyńczyków i 255 Brytyjczyków. Pokonana junta rozwiązała się po dziesięciu dniach. Zastąpiła ją atrapa, a ostatecznie wojsko oddało władzę rok później. Do rachunku jej zbrodni przyszło dopisać hańbę klęski.

Kwestia Malwinów zepchnięta została we wstydliwą zbiorową niepamięć – i za wyjątkiem niemrawych obchodów ku czci weteranów i poległych, ustanowionych w 2000 r., politycy woleli do niej nie wracać. Aż do dzisiaj.

Gdy znów liczy się siła

Jednak to, co zrobił właśnie Milei, świadczy nie tylko o jego awanturniczym populizmie, ale mówi też coś o czasach, które nadeszły.

Do niedawna wydawało się, że zgłaszanie roszczeń terytorialnych między państwami należy do przeszłości, tej znaczonej kolonialnymi i imperialnymi ambicjami oraz rywalizacją.

Wszak to takie spory leżały także u podstaw wojen, w tym dwóch światowych. Trauma ostatniej z nich, a zwłaszcza przełom lat 1989-1991, wydawały się uczyć, iż kooperacja narodów i poszanowanie ich woli są ważniejsze od anachronicznych walk o ziemię. Nawet jeśli takie spory miały nadal miejsce, zdawały się przybierać „miękkie" formy, nie militarne.

Lecz w ostatnich latach poczynania Putina, roszczenia Xi Jinpinga, a teraz Trumpa obracają te zasady w proch. Znów liczy się siła i zapędy imperialne do panowania nad ludźmi, terytoriami i kryjącymi się pod nimi bogactwami naturalnymi. Javier Milei właśnie zgłosił się do tych zawodów.

Falklandy/Malwiny mogą być dla Argentyńczyków kompleksem urażonej dumy. Są bez wątpienia jądrem ich nacjonalizmu – wystarczy zajrzeć do jakiejkolwiek księgarni w Buenos Aires, gdzie roi się od książek o wyspach. Jednak ich pasja nie zgasi wątpliwości co do prawomocności ich roszczeń – te są równie kruche, co brytyjskie. Tyle że za tymi drugimi stoją przynajmniej prawo zasiedzenia od 200 lat i wola 3,6 tys. mieszkańców.

Dzieje sporu

W minionych wiekach rzecz była prosta: obejmowanie w posiadanie wysp, zwłaszcza pustych, odbywało się drogą faktów dokonanych – zajmowały je ekspedycje.

Falklandy/Malwiny, złożone z dwóch głównych wysp i kilkuset małych, były bezludne do 1764 r. Pierwsze osady założyli Francuzi i Brytyjczycy, na dwóch różnych wyspach. Parę lat potem Francja oddała „swoją" Hiszpanii, a ta w 1770 r. zajęła „brytyjską" wyspę, którą rok później ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ Brytyjczycy odebrali, by wkrótce ją porzucić.

Przez kilkadziesiąt lat w jedynym porcie, Puerto Soledad (dziś Port Stanley), stał wątły garnizon hiszpański. Na akwenach wokół łowiły swobodnie floty różnych krajów.

Później, w dobie wojen o niepodległość Argentyny (1810-1818), Hiszpania porzuciła wyspy, a Zjednoczone Prowincje Buenos Aires osadziły na nich jako gubernatora Luisa Verneta, kupca i kondotiera. W 1831 r. na okręcie wojennym przybyli Amerykanie i go przepędzili. Ostatecznie wrócili Brytyjczycy, którzy w 1833 r. ustanowili tu stałe rządy.

Rok 1833 jest dla Argentyńczyków kluczowy: pielęgnują go jako zbrojny najazd i upokorzenie. Tyle że wszystko odbyło się niemal po dżentelmeńsku. Do Puerto Soledad, gdzie cumował argentyński okręt „Sarandi", przybiła brytyjska korweta „Clio". Kapitan Onslow wszedł na pokład „Sarandi" i zażądał od kapitana Pinedo zwinięcia flagi argentyńskiej w 24 godziny i opuszczenia wysp, gdyż niniejszym obejmuje je na rozkaz rządu Jego Królewskiej Mości Wilhelma IV.

Pinedo regulaminowo zaprotestował, po czym odpłynął z garścią swych żołnierzy i marynarzy oraz osadników (ok. 30). Pod panowaniem Albionu zostało 22 *gauchos*, pasterzy. Odtąd Falklandy są brytyjskie.

Droga donikąd

W 1973 r. Wielka Brytania proponowała Argentynie, rządzonej wtedy przez Juana Perona, „wspólnotę małżeńską" na Falklandach: podzielenie się zwierzchnością nad wyspami, które miałyby być zarządzane wspólnie przez Londyn, Buenos Aires i ONZ. Oferta została zignorowana. Potem była wojna, trauma i cisza.

W 2013 r. mieszkańcy opowiedzieli się za Wielką Brytanią. Jest jasne, że rząd w Londynie nie odda kawałka kraju i swoich obywateli tylko dlatego, że życzy tego sobie rząd Argentyny. Roszczenia do wysp są sprzeczne i nie wiadomo, czy, w oparciu o co i przez kogo miałyby być rozstrzygnięte.

Awantura, którą wznieca dziś Milei, jest drogą donikąd. Siłą nic nie wskóra, a drogę do rozmów sam sobie zamyka.

© MACIEJ STASIŃSKI

Jeśli wojna dotrze do nas

MALWINA TALIK Z WIEDNIA

WOJNA W EUROPIE | Od ponad 70 lat Austria jest neutralna i większości obywateli to odpowiada. Tylko czy dziś jest jeszcze miejsce na neutralność? I co zrobią Austriacy, jeśli Rosja zaatakuje Polskę?

Austriacki rząd zapowiedział właśnie reformę służby wojskowej, najpoważniejszą od wielu lat. Powodem jest geopolityka: spośród tych państw Unii Europejskiej, które są nadal neutralne – to również Irlandia, Malta i Cypr – Austria leży najbliżej wojny w Ukrainie.

Równocześnie coraz bardziej aktualne jest pytanie: jak długo jeszcze ten model neutralności będzie odpowiadać obecnym realiom? Oraz: co zrobiłby Wiedeń, gdyby Rosja zaatakowała któreś z państw Unii – np. Polskę czy Finlandię.

Po II wojnie światowej Finowie także byli neutralni, jednak w 2022 r. zdecydowali się dołączyć do NATO.

Austria wzmacnia Bundesheer

Austria należy do nielicznych państw Europy, które nigdy nie zniosły poboru. Dla mężczyzn wejście w pełnoletność oznacza więc wybór: albo sześć miesięcy służby zasadniczej w Bundesheer (siłach zbrojnych), albo trwająca dziewięć miesięcy służba cywilna. Co roku ok. 17 tys. młodych ludzi trafia do koszar – dołączają do 16 tys. żołnierzy zawodowych i do 30 tys. żołnierzy tzw. milicji (jak w Austrii określa się aktywną rezerwę; łącznie rezerwistów jest w kraju prawie 950 tys.).

Wkrótce jednak czas służby wojskowej się zmieni: od 1 stycznia 2027 r. zostanie wydłużony, po półrocznym szkoleniu podstawowym nastąpią trzy miesiące praktyki w jednostkach. To element szerszej reformy, ale to on budzi największe emocje. Rząd uzasadnia tę zmianę pogarszającą się sytuacją bezpieczeństwa w Europie i wojną w Ukrainie.

Władze próbują jednocześnie zwiększyć atrakcyjność wojska. Żołd dla szeregowych poborowych ma wzrosnąć niemal dwukrotnie, do 1000 euro (żołnierze zawodowi otrzymują rzecz jasna znacznie wyższe wynagrodzenie), będą też dodatkowe świadczenia. Jeśli mimo to liczba poborowych spadnie poniżej 15 tys. rocznie, możliwe będzie wydłużenie także służby cywilnej.

Kobiety? Jednak nie

W debacie o brakach kadrowych pojawia się też kwestia objęcia poborem kobiet, tak jak ma to miejsce m.in. w Danii czy Szwecji. Dziś stanowią one zaledwie kilka procent personelu Bundesheer. Ministerstwo obrony odrzuca jednak taki krok, argumentując, że przy utrzymujących się nierównościach w podziale obowiązków rodzinnych i społecznych oznaczałby on nałożenie na kobiety kolejnego ciężaru.

Podobnie ocenia to Stephanie Fenkart, dyrektorka Austriackiego Instytutu Pokoju (IIP). Podkreśla, że kraje skandynawskie, które zdecydowały się na pobór kobiet, są pod względem równości społecznej bardziej zaawansowane niż Austria.

Samą reformę Stephanie Fenkart uważa za polityczny kompromis. Jej zdaniem o odporności kraju nie przesądza liczba miesięcy spędzonych przez poborowych w koszarach. – Kwestia tego, czy służba wojskowa powinna trwać sześć, czy osiem miesięcy, sama w sobie nie rozwiąże wyzwań Austrii w zakresie polityki bezpieczeństwa – mówi Fenkart.

To prowadzi do pytania szerszego niż czas służby wojskowej: jaką rolę ma odgrywać armia w państwie, które od dekad opiera swoją politykę bezpieczeństwa na neutralności?

Większość za poborem

Co może wyglądać na paradoks: obowiązkowy pobór jest jednym z filarów

eprasa.pl e0187a52f8



DANIEL TRIPPOLT / BMLV

Ponieważ dwie trzecie kraju zajmują Alpy, „znakiem firmowym" armii austriackiej są jednostki górskie. Korzystają nadal z osłów i koni (zwykle rasy Halfinger) do transportu sprzętu. Na zdjęciu: ćwiczenia Bundesheer w górach.

austriackiej neutralności. Założeniem jest bowiem zdolność kraju do samodzielnej obrony własnego terytorium. Przez lata potencjał militarny pozostawał jednak ograniczony: wydatki obronne wynosiły ledwie 0,6 proc. PKB, a modernizacja armii przyspieszyła dopiero po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r.

W przeszłości Austria rozważała przejście na armię zawodową, ale w referendum z 2013 r. niemal 60 proc. głosujących opowiedziało się za utrzymaniem poboru. Zdecydowały nie tylko względy militarne. Nie wiadomo było, co w takim scenariuszu stałoby się ze służbą cywilną, która odgrywa ważną rolę w sektorze socjalnym i opiekuńczym. Ponadto Bundesheer wspiera państwo podczas klęsk żywiołowych i innych sytuacji kryzysowych.

Korzenie austriackiej neutralności

Na tle Szwajcarii, której tradycja neutralności liczy stulecia, austriacki model jest młody. Mimo to stał się ważnym elementem tożsamości kraju po II wojnie światowej i cieszy się dużym poparciem społecznym (na poziomie 70 proc.).

Zasada „wieczystej neutralności" została wpisana do konstytucji w 1955 r., jako część porozumienia, które pozwoliło Austrii odzyskać suwerenność i doprowadziło do wycofania wojsk okupacyjnych, alianckich i sowieckich. Odtąd kraj nie może przystąpić do sojuszu wojskowego, jak NATO, ani zezwolić na tworzenie obcych baz na swoim terytorium.

W czasie zimnej wojny neutralność miała praktyczne znaczenie: Austria leżała na styku dwóch bloków i jej status miał chronić ją przed wciągnięciem w możliwy konflikt Wschód-Zachód. Po upadku żelaznej kurtyny w latach 1989-1991 neutralność straciła część pierwotnego znaczenia strategicznego, ale pozostała atutem dyplomatycznym. Wiedeń wciąż jest jednym z centrów światowej dyplomacji, siedzibą agend ONZ, miejscem negocjacji.

Jak zauważa w rozmowie dr Ralph Janik, ekspert prawa międzynarodowego z Uniwersytetu Zygmunta Freuda w Wiedniu i autor głośnej tutaj książki „Auslaufmodell Neutralität?" („Neutralność: model na wyczerpaniu?"), współczesna Austria prowadzi politykę „aktywnej neutralności": angażuje się w dyplomację, mediację i misje pokojowe, zachowując zarazem możliwość wycofania się, gdy ryzyko staje się zbyt duże.

Tak stało się w 2013 r. na Wzgórzach Golan: gdy sytuacja się gwałtownie pogorszyła, Austriacy wycofali swój kontyngent, stacjonujący tam od lat w ramach sił pokojowych ONZ.

Status mniej rygorystyczny

Zdaniem dr. Janika dzisiejszy model wyraźnie odbiega od tego z 1955 r. Punktem zwrotnym było przystąpienie Austrii do Unii Europejskiej w 1995 r., które, jak ujmuje to Janik, „zredukowało" neutralność: – Austria zadeklarowała, że może i w zasadzie chce brać udział w prawie wszystkich działaniach uchwalanych przez Unię w zakresie polityki zagranicznej i bezpieczeństwa.

Aby było to możliwe, zmieniono konstytucję. Formalny status neutralności pozostał bez zmian, ale jego praktyczna interpretacja stała się znacznie mniej rygorystyczna niż w czasach zimnej wojny.

Widać to na przykładzie europejskiej inicjatywy obrony powietrznej Sky Shield, do której przystąpiły Austria i Szwajcaria. Janik uważa, że koordynacja zakupów i zapewnienie, by systemy mogły ze sobą współgrać, nie budzą tu wątpliwości. Problem pojawiłby się, gdyby współpraca miała oznaczać np. strącanie dronów lecących nad Austrią w kierunku innego kraju. – Gdzie dokładnie leży nieprzekraczalna granica naszej neutralności w tym projekcie? Tego wciąż nikt nie potrafi jednoznacznie zdefiniować – mówi Janik.

Przypomnijmy, że traktat o Unii zawiera – co w wielu stolicach zauważono jakby dopiero niedawno, gdy Donald ↦

eprasa.pl e0187a52f8



ROLAND SCHLAGER / AFP / EAST NEWS

Symbolem związków Wolnościowej Partii Austrii z Rosją stała się Karin Kneissl: była minister spraw zagranicznych z ramienia FPÖ zaprosiła Putina na swój ślub, a po 2022 r. przeniosła się do Rosji. Na zdjęciu: weselny taniec, 2018 r.

↦ Trump zaczął podważać NATO – gwarancję wzajemnej obrony: jego artykuł 42 ustęp 7 mówi, że gdy jakiś kraj Unii padnie ofiarą napaści, inne państwa unijne mają obowiązek mu pomóc „wszelkimi dostępnymi im środkami".

Wsparcie tak, ale nie wojskowe

Kolejnym wyzwaniem stała się pełnoskalowa rosyjska agresja, rozpoczęta w 2022 r.

Stephanie Fenkart zauważa, że rząd Austrii stoi wyraźnie po stronie Ukrainy. – Pomimo neutralności nasz rząd uczestniczy konstruktywnie na poziomie unijnym w pakietach sankcji i ogólnej linii Unii wobec Rosji – wskazuje dyrektorka Austriackiego Instytutu Pokoju.

Wsparcie ma przede wszystkim charakter niemilitarny: humanitarny, finansowy i materialny. Austria nie dostarcza broni i nie szkoli ukraińskich żołnierzy. Zgodziła się natomiast na tranzyt przez swoje terytorium materiałów wojennych dla Ukrainy.

W ocenie Ralpha Janika pokazuje to, że kraj „nie zinterpretował swojej neutralności bardzo rygorystycznie" wobec Ukrainy, która korzysta z prawa do samoobrony. – Gdyby Austria zablokowała transport broni, inne państwa musiałyby omijać nasze terytorium szerokim łukiem – dodaje.

Całkowitą bierność wobec ofiary agresji Janik uważa za cyniczną. Jednak nie wszyscy w Austrii podzielają takie podejście: – Jest wielu takich, którym nie wystarcza fakt, że nie udzielamy Ukrainie aktywnej pomocy wojskowej, i chcieliby, abyśmy tę pomoc wręcz utrudniali – zauważa.

Komu przeszkadza pomoc Ukrainie

Do środowisk, które domagają się rygorystycznego rozumienia neutralności, należy skrajnie prawicowa Wolnościowa Partia Austrii (FPÖ). Sprzeciwia się sankcjom wobec Rosji, krytykuje pomoc dla Ukrainy i udział Austrii w Sky Shield, argumentując, że działania te podważają neutralny status. Jej posłowie zbojkotowali wystąpienie Wołodymyra Zełenskiego w parlamencie w Wiedniu.

Relacje FPÖ z Rosją od lat budzą kontrowersje. W 2016 r. partia podpisała umowę o współpracy z Jedną Rosją, partią władzy Putina (wygasła ona z końcem 2021 r. i nie została przedłużona). Symbolem tych związków stała się Karin Kneissl, była szefowa MSZ z ramienia FPÖ: w 2018 r. zaprosiła Putina na swój ślub, a po rozpoczęciu pełnoskalowej wojny przeniosła się do Rosji, gdzie stanęła na czele instytutu analitycznego z Petersburga.

FPÖ nie jest przy tym marginesem. Od dawna należy do głównych sił politycznych, kilkakrotnie współtworzyła rządy w Wiedniu. W ostatnich wyborach ogólnokrajowych osiągnęła najlepszy wynik w swej historii, wyprzedzając wszystkie inne partie. Z braku koalicjantów nie zdołała jednak utworzyć rządu. Za to należy do koalicji rządowych w pięciu z dziewięciu landów – i ma nadzieję, że w przyszłości obejmie znów władzę w Wiedniu na szczeblu federalnym.

Gdyby tak się stało, zmieniłoby to politykę Wiednia wobec Ukrainy i zahamowało bardziej elastyczne podejście do kwestii neutralności. Tym bardziej że FPÖ trafia w nastroje: według badań Austriackiego Towarzystwa Polityki Europejskiej 43 proc. obywateli uważa dalsze wsparcie Unii dla Ukrainy za ważne, a 45 proc. jest przeciwnego zdania.

Czy Austria pomogłaby Polsce?

Gdyby Rosja zaatakowała Polskę, Warszawa mogłaby – inaczej niż Kijów – powołać się na unijną klauzulę o pomocy. I właśnie tutaj zderzają się dwa zobowiązania Austrii: neutralność (zapisana w konstytucji) i solidarność (wynikająca z członkostwa w Unii).

Ralph Janik zwraca uwagę, że Austria celowo pozostawia zakres możliwej pomocy niedookreślonym: – Lubimy mówić, że bylibyśmy solidarni, ale nie precyzujemy, co by to miało oznaczać: pomoc humanitarną, dostawy broni, szkolenia czy rozminowywanie?

Jego zdaniem bezpośredni udział austriackich żołnierzy w wojnie po stronie innego państwa napotkałby poważne bariery konstytucyjne: – Nawet gdyby rząd chciał pomóc Polsce, austriaccy żołnierze po prostu nie mogą walczyć za granicą. Zmiana tego stanu wymagałaby nowelizacji konstytucji.

Stephanie Fenkart uważa jednak, że wiele zależałoby od skali konfliktu. W przypadku ograniczonego incydentu mogłaby wystarczyć pomoc dyplomatyczna i niemilitarna. Natomiast pełnoskalowy atak na państwo Unii postawiłby Austrię przed zasadniczym wyborem. – Atak na jakikolwiek kraj Unii

eprasa.pl e0187a52f8

mógłby zostać uznany za bezpośrednie uderzenie w samą Austrię – ocenia Fenkart. To zaś wymusiłoby ponowne określenie granic neutralności lub nawet jej zawieszenie.

Pole walki, pole manewru

W takim scenariuszu, zdaniem Fenkart, wsparcie mogłoby objąć także udostępnienie przestrzeni powietrznej i terytorium dla wojsk sojuszniczych, a teoretycznie nawet udział własnej armii. Choć mógłby się tu pojawić praktyczny problem: Fenkart zwraca uwagę, że austriacka armia nie jest tak głęboko zintegrowana ze strukturami NATO jak armie państw Sojuszu, co rodzi pytanie o jej realną wartość na polu walki.

Pole manewru ograniczałaby również wewnętrzna sytuacja polityczna, zwłaszcza silna pozycja FPÖ z jej rozumieniem neutralności.

Problem ma też wymiar społeczny. Z badań Austrian Foreign Policy Panel Project Uniwersytetu w Innsbrucku wynika, że tylko 14 proc. Austriaków deklaruje gotowość do obrony własnego kraju z bronią w ręku. Podobny odsetek uważa, że Austria powinna udzielić pomocy militarnej innemu państwu Unii w razie ataku. Jednocześnie aż 72 proc. oczekuje, że w razie napaści na Austrię inne państwa Unii przyszłyby jej z pomocą wojskową.

Ta dysproporcja dobrze pokazuje jeden z paradoksów austriackiego myślenia o bezpieczeństwie: silne oczekiwanie solidarności ze strony partnerów nie idzie w parze z równie dużą gotowością do jej odwzajemnienia.

Kwestie prawne, interpretacja neutralności to zatem tylko część problemu. Osobne jest zaś pytanie, czy społeczeństwo i klasa polityczna Austrii byłyby gotowe ponieść realne koszty solidarności z zaatakowanym państwem.

Agresor nie pyta, co wypada

Neutralność nie gwarantuje dziś bezpieczeństwa – do takiego wniosku doszły Finlandia i Szwecja, decydując się w 2022 r. na wejście do NATO. W Austrii, mimo gwałtownych zmian geopolitycznych, na podobny krok się nie zanosi.

– Atak na Ukrainę pokazał, że neutralność jest nic niewarta, jeśli agresor jej nie respektuje – zauważa dr Ralph Janik, który sceptycznie odnosi się do postawy rodaków. – Wierzymy, że wystarczy nikomu nie wadzić, aby być bezpiecznym. Tymczasem agresor nie pyta, co wypada, lecz wykorzystuje każdą słabość.

O tym, że ta obawa powoli pojawia się w debacie publicznej, świadczy choćby książka Franza-Stefana Gady'ego „Überfall. Wenn der Krieg zu uns kommt" („Atak. Kiedy wojna dotrze do nas"). Autor kreśli w niej wizję eskalacji konfliktu między Rosją a NATO, w której Austria, ze względu na swoje strategiczne położenie między Niemcami a Włochami, staje się obszarem działań wojennych. Gady pyta, czy neutralne państwo, jego armia i społeczeństwo byłyby na taki rozwój wydarzeń przygotowane.

Trochę mniej z boku

Na razie geografia działa na korzyść Austrii. Jest otoczona krajami NATO i neutralną Szwajcarią, które tworzą wokół niej swoisty pas bezpieczeństwa. W przeciwieństwie do Finlandii nie graniczy z Rosją, co osłabia presję na zmianę dotychczasowego modelu.

Jak podkreśla Stephanie Fenkart, odejście od neutralności wymagałoby zapewne bezpośredniego zagrożenia militarnego u granic Austrii. Wyzwania hybrydowe czy pogorszenie sytuacji w Europie to za mało, by zasadniczo zmienić nastawienie społeczne.

Na razie wszystko wskazuje więc na to, że Austria nie zrezygnuje z neutralności. Zmienia się jednak sposób, w jaki ją rozumie: mniej jako trzymanie się z boku, a bardziej jako uczestnictwo w europejskim systemie bezpieczeństwa, choć na własnych zasadach.

Ten model daje dziś Austrii sporo swobody. Oby nie musiała sprawdzać, gdzie naprawdę przebiegają jego granice.

© MALWINA TALIK

Autorka jest analityczką VE Insight, firmy analizującej ryzyko polityczne i inwestycyjne. Specjalizuje się w problematyce Europy Środkowej, procesach demokratycznych, polityce równościowej i zagrożeniach hybrydowych. Mieszka w Wiedniu.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl e0187a52f8

Innej Rosji nie będzie

WOJCIECH KONOŃCZUK

KSIĄŻKA | Rozumienie Rosji, kraju niepodobnego do żadnego innego, pozostaje dla Polaków koniecznością. Pomocna może być książka Anny Łabuszewskiej.

NIBY JĄ ZNAMY, A JEDNAK NIE ZNAMY. Rosja opiera się łatwym opisom, ciągle zaskakuje – tak Anna Łabuszewska zaczyna swoją porywającą książkę. Ta wytrawna znawczyni rosyjskiego życia politycznego i społecznego jest dobrze znana czytelnikom „Tygodnika Powszechnego". Jest też jedną z nie tak znowu wielu osób w Polsce świetnie przygotowanych do pisania o Rosji. Zajmuje się tym krajem od ponad trzech dekad, a przez większość tego czasu była związana z Ośrodkiem Studiów Wschodnich.

Z powyższą diagnozą Rosji – jako kraju jednak słabo znanego – trudno się nie zgodzić. Żartobliwie mówi się, że w Polsce na piłce nożnej i na Wschodzie znają się niemal wszyscy. Prawda jest jednak bardziej skomplikowana.

Za sprawą historii, także tej rodzinnej, a także dzięki polskiej klasycznej literaturze Polacy wiedzą o Rosji znacznie więcej niż przeciętny Europejczyk. Jednak w naszym przypadku jest to poniekąd wiedza niezbędna, bo kraj ten regularnie nam o sobie przypomina, przekraczając granice, także te państwowe. A od kilku lat Rosja jest głównym w tej części świata destabilizatorem i możemy być pewni, że nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa.

FASADA I KULISY | „Rosja. Szamani, carowie i tajne agentki" to zbiór wciągająco napisanych esejów, które tłumaczą ten kraj swoistym spojrzeniem od dołu. Nie jest to politologiczna analiza polityki Kremla, lecz szereg opowieści, z których autorka, jak sama pisze, układa „mozaikę rosyjskich losów, idei i planów".

Łabuszewska zrywa oficjalną kurtynę, dekonstruuje propagandę, na którą Rosja próbuje (nie bez sukcesów) nabierać świat, i demonstruje „przepaść dzielącą oficjalną propagandę od życia". Pokazuje



Anna Łabuszewska
ROSJA. SZAMANI, CAROWIE I TAJNE AGENTKI,
Wydawnictwo Mando, Kraków 2026.

Rosję jako kraj, w którym wielkim, pustym, a często też niebezpiecznym ideom towarzyszy monumentalne kłamstwo. Po wygrzebaniu rzeczywistości spod grubej warstwy pudru widać państwo krańcowo inne, niż chciałaby przekonać kremlowska narracja, utrzymująca (z sukcesami) własne społeczeństwo w stanie ogłupienia.

Kraj „tradycyjnych wartości" okazuje się tkwić – jak udowadnia Łabuszewska – w zapaści moralnej, w czym prym wiodą jego elity, szermujące owym pseudokonserwatyzmem. Ich łupieżczej chciwości, która prowadzi do niekończącej się grabieży Rosji, towarzyszą moralizatorstwo i fałszywy mesjanizm, pod którym skrywa się rosyjski nacjonalizm i głębokie kompleksy.

MODUS OPERANDI | Rosja okazuje się państwem głęboko zdeprawowanym, którym rządzą hochsztaplerzy, na nieszczęście mający do dyspozycji guzik atomowy, a na swoje usługi służby specjalne, „kapłanów" propagandy i kapłanów Cerkwi. Ci ostatni w grzechu herezji wzywają do „świętej wojny" przeciw Ukrainie, a ponad konserwatywne wartości wolą dobra materialne.

Na licznych studiach przypadku autorka pokazuje nam *modus operandi* państwa rosyjskiego. Chcesz żyć spokojnie – bądź bezwzględnie posłuszny. Zawiniłeś – spodziewaj się kary, według wzorców wielokrotnie wyćwiczonych w przeszłości. Władza bowiem nie lubi żartować ani tym bardziej nie znosi żartów z siebie. Coraz częściej chce przykładnie karać nieposłusznych. Za „dyskredytację rosyjskiej armii" zapadają dziś wyroki poważniejsze niż za „zwyczajne" zabójstwo z poćwiartowaniem zwłok.

Łabuszewska prowadzi nas przez zakamarki rosyjskiej rzeczywistości, w której zobaczymy zdeprawowanych polityków i duchownych, tajne agentki i „śpiochów" umieszczonych za granicą, aby w odpowiednim momencie obudzić ich ku chwale rosyjskiego imperializmu. Zobaczymy wszechogarniającą przemoc i kult zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami, który stał się namiastką ideologii. Rosja jednocześnie odstrasza i fascynuje swoją odmiennością.

INNEJ NIE BĘDZIE | Można potraktować tę książkę również jako wszechstronny komentarz do aktualnej sytuacji w Rosji. A ta przecież nie jest dla nas obojętna już choćby dlatego, że od wieków przynosi tragedie swoim sąsiadom. Po lekturze wyraźniej dostrzeżemy szerokie teatrum społeczne i polityczne, które przybliżą na pozór ukryte mechanizmy.

Rosja, jak puentuje Anna Łabuszewska, pozostaje „krajem zmarnowanych szans, skoszarowanej świadomości i marzycielskich odlotów, krajem unicestwiającym rozwój i logikę pod auspicjami okrucieństwa". Warto ją poznać nie tylko po to, aby ją zrozumieć, ale także dlatego, że innej Rosji szybko nie doświadczymy. ©

Wojciech Konończuk jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

eprasa.pl e0187a52f8

B( )NUS
TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny" po raz drugi przyznaje Nagrodę BONUS

Dla tych, którzy łączą, nie dzielą

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Od 1 września szukamy ludzi, którzy zmieniają przestrzeń publiczną na lepszą. Otwieramy zgłoszenia do drugiej edycji Nagrody BONUS „Tygodnika Powszechnego".

Nagroda BONUS powstała, by wyróżniać ludzi, którzy wzmacniają dialog, budują zaufanie i potrafią działać ponad podziałami. Doceniamy osoby, które w swojej pracy nie ulegają logice polaryzacji, uproszczeń i sensacji.

Chcemy pokazywać tych, których działalność realnie wpływa na życie społeczne, kulturę i jakość debaty publicznej.

PIĘĆ KATEGORII

W drugiej edycji Nagroda BONUS zostanie przyznana w pięciu kategoriach:

MEDIA | Dla dziennikarzy i twórców, którzy stawiają na pluralizm, rzetelność i dialog oraz pokazują, że informowanie nie musi oznaczać podsycania konfliktów.

KULTURA | Dla twórców i inicjatyw, które otwierają przestrzeń dla różnych głosów, doświadczeń i perspektyw.

DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA | Dla osób i organizacji, które budują lub odbudowują wspólnoty, niwelują podziały i tworzą przestrzeń do spotkania mimo różnic.

TECHNOLOGIA | Dla innowatorów, którzy tworzą rozwiązania służące ludziom, zwiększające dostępność i włączające, zamiast wykluczać.

MECENAT / DOBROCZYNNOŚĆ (nowa kategoria) | Dla filantropów, darczyńców i przedsiębiorców, którzy udowadniają, że kapitał może mieć wyraziste oblicze etyczne. Nagroda dla tych, którzy poprzez wsparcie inicjatyw kulturalnych, naukowych i pomocowych budują wspólnotowość i zaufanie w przestrzeni publicznej.

Laureatów drugiej edycji Nagrody poznamy 7 listopada podczas gali w Małopolskim Ogrodzie Sztuki w Krakowie. Wieczór zakończy koncert zespołu ØRGANEK.

NAJWAŻNIEJSZE DATY

1–30 września 2026 | Czas na zgłoszenie kandydatów

13 października 2026 | Ogłoszenie czterech finalistów w każdej kategorii

7 listopada 2026 | Gala Nagrody BONUS, Małopolski Ogród Sztuki, Kraków



FOT. MAREK BEDNARZ

Zgłoś osobę, której praca zasługuje na uwagę.

Wypełnij formularz online na stronie nagrody: **bonus.tygodnikpowszechny.pl**

Zgłoszenie możesz przesłać także bezpośrednio na adres **bonus@tygodnikpowszechny.pl** – podaj imię i nazwisko kandydata, kategorię oraz uzasadnienie zgłoszenia.

PARTNERZY: Kraków | ERGO HESTIA | TERLAN

PATRONI MEDIALNI: 65 TVP 3 KRAKÓW | TVP I info_ | Trójka POLSKIE RADIO

eprasa.pl e0187a52f8

NATALIA

de Barbaro:
„Wszystko będzie dobrze”



Przyjaciel przesłał mi filmik ze strony „Mamo, kocham cię”: mężczyzna i kobieta siedzą obok siebie na kanapie. „Jest mi bardzo smutno” – mówi ona. „Wszystko będzie dobrze” – odpowiada on. Po jej twarzy przebiega grymas irytacji. Bierze do ręki telefon. Rozlega się „pling”: kobieta zaczyna rozmowę z czatem. „Jest mi bardzo smutno” – powtarza. „Ech – wzdycha empatycznie głęboki, męski głos, którego *timbre* wyraźnie sugeruje przystojnego bruneta. – Przykro mi to słyszeć. Chcesz mi opowiedzieć, co się stało?”. „Tak. Bardzo źle się czuję i jest mi smutno” – odpowiada kobieta i odwraca głowę w stronę partnera, patrząc na niego z gorzką satysfakcją.

I oto facet znalazł się na lekcji z inteligencji emocjonalnej, chociaż się na nią nie zapisywał. „To może być przytłaczające – mówi tymczasem Przystojny Brunet, Który Nie Istnieje. – Jest coś, co cię najbardziej teraz boli?”. „Dziękuję ci” – mówi kobieta do czata, częstując siedzącego obok niej żywego człowieka wzrokiem, który mówi: „Za to tobie nie mam za co dziękować!”. Po czym wstaje z kanapy i wychodzi.

Chociaż poziom inteligencji emocjonalnej ludzkości od wieków decyduje o jej losach, samo pojęcie weszło do mainstreamu zaledwie 30 lat temu, dzięki książce Daniela Golemana. Początkowo definiowana jako umiejętność rozpoznawania i rozumienia własnych i cudzych emocji, w ujęciu Golemana inteligencja emocjonalna zawiera także empatię, umiejętność świadomego komunikowania swoich uczuć i mądrego uczestniczenia w relacjach. Takie drobiazgi, co nie?

Jeśli trzynastolatka nie zna tabliczki mnożenia, wiadomo, że to poważny kłopot. Przejęci rodzice naradzają się z matematyczką. Powstaje swoiste konsylium: rodzice, owa nauczycielka, może nawet wychowawczyni, pani z poradni. Dyskalkulia? ADHD? DLD? Przewlekły stres? Czy potrzebne będzie o r z e c z e n i e?

Ale kiedy pięćdziesięcioletni doktor biochemii, ze specjalizacją w dziedzinie endokrynologii molekularnej, nie dopuszcza do głosu nikogo poza sobą samym, kiedy oczekuje, że inni będą domyślać się jego uczuć, a kiedy tego nie robią – obraża się; kiedy płynnie wylicza błędy wszystkich wokół, ale najłagodniejszą uwagę w swoją stronę traktuje jak potwarz – nikt nie zwołuje konsylium. Co gorsze, on sam też się z sobą samym nie naradza, co by tu zrobić, żeby z niewidniejącego na jego świadectwach z czerwonym paskiem przedmiotu „inteligencja emocjonalna” osiągnąć przynajmniej 60 proc. na egzaminie ósmoklasisty.

Facet z filmiku by go nie zdał. W nieistniejącym Systemie Edukacji Emocjonalnej byłby raczej przedszkolakiem. Już nie żłobek („Tobie jest smutno? Ja mam jeszcze gorzej!”), jeszcze nie podstawówka („Smutno? Co się stało?”).

Co byłoby na takim egzaminie ósmoklasisty, gdyby był egzaminem praktycznym? Obraźliwie proste rzeczy, wyrafinowany czytelniku. Sprawdzaj, co czujesz, bo inaczej uczucia będą cię kontrolować w sposób potencjalnie szkodliwy. Kiedy pojawia się w tobie silna emocja, nie uciekaj od niej: weź kilka oddechów, poczuj ją wyraźnie, nazwij. Zastanów się, z czego powstała i co ci mówi. Czego się boisz? Co cię zezłościło? Skąd ten smutek? Co cię uradowało? Dalej: kiedy ktoś mówi, że się z tobą nie zgadza – dopytaj, zamiast kontratakować. Rób miejsce na opowieść drugiego człowieka. Pozwalaj jej czasem odmieniać twoją. Kiedy z kimś rozmawiasz, miej świadomość, że masz do dyspozycji własną perspektywę, a nie Prawdę, którą objawisz światu. Kiedy zadajesz pytanie, posłuchaj odpowiedzi. Jeśli tego nie robisz, to czy naprawdę pytałeś, pytałaś? Nie dawaj rad, kiedy ktoś potrzebuje wysłuchania. Parafrazuj – żeby upewnić się, czy dobrze zrozumiałaś, zrozumiałeś, i dać znak rozmówcy, że naprawdę chcesz zrozumieć.

To tak na początek. Potem, Jasiu, nienauczony za młodu, potem, Kasiu – być może, jeśli zechcesz, pójdziesz do liceum i tam nauczysz się jeszcze wielu pożytecznych rzeczy.

A tymczasem dorosły facet z filmiku uczy się inteligencji emocjonalnej od inteligencji sztucznej. O Matko Ironio, najprzewrotniejsza z nauczycielek, obyśmy byli otwarci na twoje nauki! ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki”, „Przędzy” i „Przejść”.

eprasa.pl e0187a52f8

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

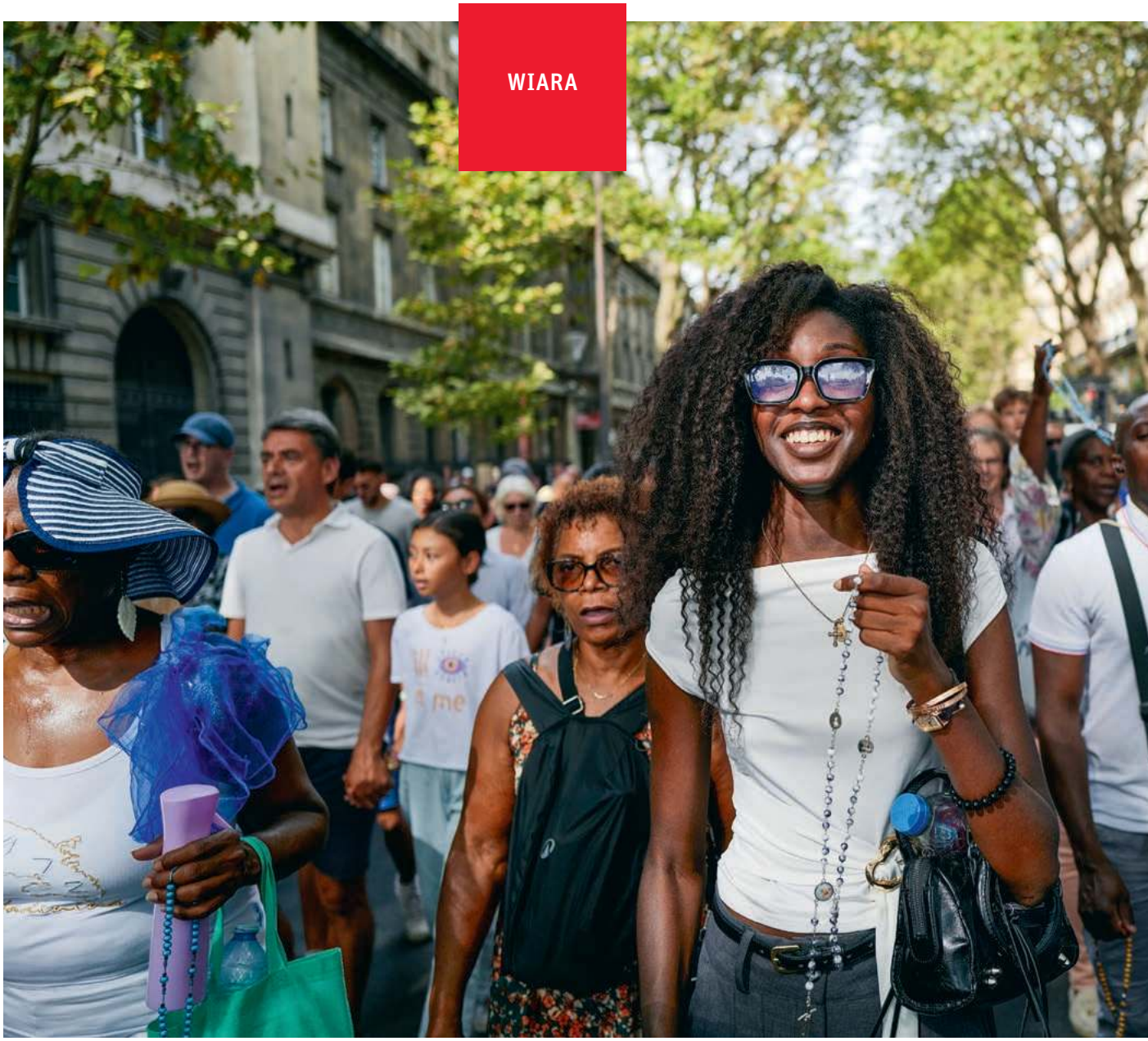
prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl e0187a52f8



Procesja wokół katedry Notre-Dame z okazji uroczystości Wniebowzięcia Matki Bożej. Paryż, 15 sierpnia 2026 r.

NAJSTARSZA CÓRKA JEST CORAZ MNIEJSZA

PROF. GUILLAUME CUCHET, HISTORYK KOŚCIOŁA:

Papież Leon przyjeżdża do Francji w chwili zwrotnej, gdy katolicyzm – przy wzroście islamu i ewangelikanizmu – staje się mniejszością w zróżnicowanym kraju. I to mimo zaskakującej fali chrztów dorosłych.

eprasa.pl e0187a52f8



PIERRE CROM / GETTY IMAGES

SZYMON ŁUCYK: Do jakiej Francji przyjeżdża papież? To kraj wciąż jeszcze katolicki?

PROF. GUILLAUME CUCHET: W pewnym stopniu – tak. Jeśli brać pod uwagę choćby pejzaż materialny: wspaniałe katedry gotyckie, kościoły i klasztory, tradycję administracyjną – np. bardzo dużą liczbę świąt katolickich wolnych od pracy, w tym chociażby drugi dzień Zielonych Świątek czy Wniebowstąpienie Pańskie – historię czy pamięć o czasach, gdy katolicyzm był religią całkowicie dominującą. Według formuły z XIX wieku, Francja to „najstarsza córa Kościoła". I była długo pierwszą w Europie pod względem demograficznym.

Ale dzisiaj przepaść między tym bogatym dziedzictwem a poziomem praktyk religijnych jest ogromna. Na naszych oczach rodzi się zupełnie nowa scena religijna.

Jaka?

Ponad połowa mieszkańców Francji nie utożsamia się dziś z jakąkolwiek religią. Znana francuska socjolożka religii Danièle Hervieu-Léger nazywa to „ekskulturacją z katolicyzmu". Wykorzenieniem z niego, bo przecież zdecydowana większość Francuzów ma katolickich przodków.

Wśród pozostałych Francuzów, czyli tej drugiej „mniejszej połówki", w jakimś stopniu wciąż religijnych, mamy teraz trzech głównych aktorów. Katolicyzm – pozostający wciąż najczęściej deklarowaną religią [według najbardziej miarodajnego ośrodka Insee deklaruje ją około jednej czwartej Francuzów – red.], islam i nowy protestantyzm ewangelikalny, różny od tradycyjnego protestantyzmu, jak kalwinizm czy luteranizm.

Ale i tak, mimo deklaracji, praktykujących regularnie lub okazjonalnie katolików jest w sumie tylko 12 proc. populacji, jak podaje sondaż IFOP dla „La Croix" z 2025 r. A na mszę co niedziela chodzi mniej niż 2 proc. Francuzów.

Dla porównania – deklaratywnych muzułmanów jest 10 proc., tyle że ci praktykują żarliwiej niż katolicy. Chrześcijan innych wyznań, w tym w większości ewangelikanów, mamy 9 proc.

To prawda – katolicyzm wciąż dominuje wśród religii, ale od kilku dekad słabnie, podczas gdy islam, jak i ewangelikanizm dynamicznie rosną. Wygląda na to, że w niezbyt dalekiej przyszłości wszystkie te trzy religie we Francji mogą się zrównać pod względem wyznawców.

Papież chce rechrystianizować tę „najstarszą córę Kościoła"?

Myślę, że pociąga go w Kościele francuskim zarówno dziedzictwo intelektualne, jak też niedawne ożywienie katechumenatu wśród młodych i dorosłych, o czym dużo się mówi.

Po II wojnie światowej francuski katolicyzm uchodził za nowatorski. Widziano w nim swego rodzaju laboratorium nowych tendencji. Dlatego też Francję odwiedził jako młody ksiądz Karol Wojtyła. Nawet jeśli w kurii rzymskiej niektóre francuskie inicjatywy uznawano za nietrafione, krytykowano i nazywano *furia francese*. W latach 50. na przykład Watykan dwukrotnie potępił ruch francuskich księży-robotników.

Niektórzy Francuzi mieli za złe papieżowi Franciszkowi, że nie odwiedził ich kraju z państwową wizytą, nie przyjechał na ponowne otwarcie katedry Notre-Dame. Czy Leon chce naprawić „błąd" poprzednika?

Rzeczywiście, część francuskich katolików, zwłaszcza tych konserwatywnych, odebrała to jako lekceważące. Ale pamiętajmy, że Franciszek trzykrotnie gościł we Francji, choć zawsze na obrzeżach. Był w Strasburgu, Marsylii i na Korsyce. Nie bez powodu nazywano go „papieżem peryferii".

To też pokazuje kluczowe dla Kościoła pytanie: gdzie leży przyszłość katolicyzmu. W Europie czy raczej w Ameryce, Afryce albo Azji?

Wydaje się, że Watykan waha się w tej sprawie. Benedykt XVI uważał, że zależy ona w dużej mierze od Europy. Franciszek wyszedł z założenia, że już tyle razy próbowano ożywić kraje historycznie chrześcijańskie, które podupadły i zestarzały się, że pora strzepnąć kurz z sandałów i nieść Ewangelię tam, gdzie na nią się od dawna czeka. Czyli poza Europę. Leon przyjął kurs mniej ostry. Chce nawiązać więzi ze „starą Europą", bardziej niż Franciszek dba o różne wrażliwości i zachowuje dyplomatyczną ostrożność.

Wspomniał Pan o silnym nurcie progresywnym we francuskim katolicyzmie. Czy to aby już nie przeszłość?

Lewicowo-postępowy katolicyzm wpisywał się w dziedzictwo francuskiej interpretacji Soboru Watykańskiego II. Teraz ta formacja starzeje się i podupada. Oczywiście, młode pokolenie lewicowych katolików próbuje je kontynuować, ale słabo ich słychać. Natomiast rosną w siłę nad Sekwaną konserwatywni katolicy. Oni mocniej oparli się sekularyzacji niż katolicy o postępowych poglądach. ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ **Mówi Pan o tradycjonalistach?**

Nie tylko. Tradycjonaliści stanowią prawe skrzydło kościelnych konserwatystów. We Francji opierają się wciąż na zamożnych klasach i rodzinach wielodzietnych. Z ich grona wywodzi się wciąż wielu duchownych. Są może nieliczni, ale dobrze słyszalni, zorganizowani i dynamiczni, znakomicie funkcjonują w internecie i w mediach społecznościowych. To oni organizują corocznie pielgrzymkę młodzieży z Paryża do Chartres z okazji Zielonych Świątek, która gromadzi od kilkunastu do 20 tysięcy uczestników.

Są jeszcze lefebryści.

Zwani też integrystami. To jeszcze inna, odrębna, mała grupa wśród tradycjonalistów. Odrzucili Vaticanum II, *de facto* dokonali schizmy, bo wyświęcili własnych biskupów, za co zostali objęci ekskomuniką.

Czy katolicyzm nie odradza się jako broń przeciw muzułmanom? Posługuje się nim populistyczna prawica, we Francji laicka i daleka od instytucji Kościoła, oraz związane z nią media. Czy taki tożsamościowy katolicyzm ma coś wspólnego z wiarą?

Rozróżnienie pomiędzy chrześcijaństwem wiary a chrześcijaństwem tożsamościowym jest zasadne, jednak oba one są ze sobą powiązane. Ktoś może powrócić do religii ze względu na tradycje katolickie czy poglądy polityczne, a potem naprawdę się nawrócić. Może być też na odwrót.

Z pewnością u sporej części Francuzów umacnianie się islamu nad Sekwaną budzi niepokój. Ale z drugiej strony, zwłaszcza wśród młodzieży istnieje pewnego rodzaju rywalizacja na praktyki religijne pomiędzy katolikami, protestantami i muzułmanami.

Na czym polega ta rywalizacja?

Młodzi chrześcijanie naśladują gorliwość młodzieży muzułmańskiej. Zwłaszcza w uboższych dzielnicach, gdzie te dwie grupy wyznaniowe żyją razem. Nie zapominajmy, że wśród imigrantów spoza Europy są też katolicy. I że właśnie imigracja jest jednym ze źródeł witalności katolicyzmu nad Sekwaną.

Konkurencją z islamem niektórzy tłumaczą też ostatni wzrost chrztów we Francji. W tym roku w Wielkanoc ochrzciło się 21 tys. nastolatków i młodych dorosłych. O jedną czwartą więcej niż w ubiegłym roku.

Na pewno obserwujemy pewne ożywienie katechumenatu, tak wśród dorosłych, jak i młodzieży. To zjawisko zaskakujące i bardzo świeże, dotyczy pięciu-sześciu ostatnich lat. Nie wiemy, jak długo potrwa. Towarzyszy temu inny fenomen: powrót do katolicyzmu części tych, którzy w dzieciństwie zostali ochrzczeni, ale dość szybko odeszli od wiary i teraz na nowo ją odkrywają.

Pamiętajmy jednak, że wzrost chrztów u młodych i dorosłych nie rekompensuje stałego, kolosalnego spadku liczby chrztów dzieci. Pół wieku temu ponad 90 proc. rodziców we Francji chrzciło swoje dzieci. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza ta liczba zmniejszyła się o 200 tysięcy! Dzięki ożywieniu katechumenatu Kościół odzyskał do tej pory może 10 tys. wiernych, a więc ledwie 5 proc. tego, co stracił od początku stulecia.

Niektórzy uważają też, że spadek praktyk religijnych, notowany od ponad pół wieku, „sięgnął dna" i teraz nastąpi odbicie. Nie jestem tego pewien. Możliwe, że mamy do czynienia z chwilowym zatrzymaniem się fali spadkowej, która niedługo znów wróci.

Wydaje się, że ostatnią nicią łączącą Francuzów z tradycją katolicką są pogrzeby.

Tak, pogrzeby religijne mocniej opierają się sekularyzacji niż chrzty, śluby kościelne czy pierwsze komunie. Jeszcze kilka lat temu pogrzeby religijne – różnych wyznań – stanowiły około 70 proc. ogółu. Pokolenie, które teraz odchodzi, ukształtował jeszcze stary świat. W nowej generacji, bardziej świeckiej, będzie inaczej.

W dodatku śmierć i żałoba są w pewnym sensie kwestiami, z których wywodzi się religia. Dlatego tak trudno rozstać się nam z religijnym pochówkiem.

Inny problem to mało powołań kapłańskich i zakonnych.

W jednym z opactw benedyktyńskich na południu Francji liczba mnichów w ciągu ostatnich lat spadła o połowę, średnia wieku dochodzi do 70 lat. Tamtejszy opat, zresztą

Wizyta Leona XIV we Francji

Potrwa cztery dni (od 25 do 28 września). Papież odwiedzi Paryż, Lourdes i Metz. Będzie to pierwsza państwowa wizyta głowy Stolicy Apostolskiej od podróży Benedykta XVI w 2008 r. Towarzyszy jej spore zainteresowanie mediów, które widzą w Leonie XIV progresywną twarz Ameryki – w przeciwieństwie do Donalda Trumpa.

W PIĄTEK W PARYŻU Leon XIV spotka się z prezydentem Emmanuelem Macronem, odprawi nieszpory w katedrze Notre-Dame oraz weźmie udział w czuwaniu modlitewnym z młodzieżą na stadionie Stade de France.

W sobotę odwiedzi Centrum Wsparcia Społecznego i Integracji Maison Bakhita oraz spotka się z członkami zgromadzenia synodalnego, katechumenami i nowo ochrzczonymi. O godz. 15 odprawi mszę świętą na Placu Zgody. Organizatorzy spodziewają się, że w stolicy Francji w spotkaniach z papieżem weźmie udział pół miliona wiernych.

DO LOURDES papież przyleci w sobotę wieczorem. Pomodli się przy Grocie Objawień w Sanktuarium Matki Bożej, a następnego dnia rano odprawi tam mszę niedzielną i spotka się z personelem i chorymi pensjonariuszami tamtejszego ośrodka medyczno-pielgrzymkowego. Po południu odwiedzi klasztor karmelitanek klauzurowych, a wieczorem odmówi różaniec przed Grotą Matki Bożej i weźmie udział w procesji z pochodniami.

Konferencja episkopatu Francji poinformowała, że Leon XIV spotka się też prywatnie z siedmioma ofiarami nadużyć seksualnych.

WIZYTA PAPIESKA ZAKOŃCZY SIĘ w poniedziałek, 28 września, w Metz – mieście związanym z Robertem Schumanem, jednym z ojców założycieli wspólnej Europy (dobiega końca jego proces beatyfikacyjny). Leon XIV weźmie tam udział w spotkaniu międzyreligijnym oraz odprawi mszę w miejscowej katedrze św. Szczepana. © SZŁ, EA

eprasa.pl e0187a52f8

Polak, mówi, że w innych francuskich klasztorach jest jeszcze gorzej.

Kryzys powołań kapłańskich i zakonnych, a więc zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet, trwa od dawna. W latach 50. minionego wieku wyświęcano 1500 księży rocznie, w 1975 r. – 150. W zeszłym roku – mniej niż stu.

Kiedyś Francja masowo wysyłała księży i zakonników za granicę, teraz ich przyjmuje. Przybywają z Afryki, Azji, także z Polski, jak wspomniany opat. Ma to pozytywne aspekty, ale wiążą się z tym trudności, np. adaptacja do życia w innym kraju.

Może ma to związek z przestępstwami seksualnymi w Kościele? Według raportu CIASE w latach 1950-2020 dopuszczono się przemocy seksualnej wobec ok. 330 tys. małoletnich, z czego 216 tys. zostało skrzywdzonych przez duchownych i zakonników.

Uważam, że komisja CIASE – sfinansowana przez Kościół francuski, ale niezależna od niego – wykonała bardzo rzetelną i poważną pracę. Zapewne poważniejszą niż w wielu innych krajach o dominującej kulturze katolickiej – do czego przyczynia się nasza tradycja laickości i antyklerykalizmu.

Oprócz raportu CIASE było wiele innych dochodzeń wobec sprawców przestępstw seksualnych, np. w sprawie nieletnich ofiar przemocy w katolickiej szkole Bétharram koło Lourdes czy Ojca Piotra (l'Abbé Pierre), słynnego opiekuna ubogich.

Nasz episkopat podjął ryzyko: ujawnił fakty i przyznał się do winy – wobec czego wywołał oburzenie części opinii i osłabił zaufanie do instytucji. Przynajmniej na krótką metę. Bo w dłuższej perspektywie działania te mogą uzdrowić sytuację w Kościele. Jak widać, ta dość odważna polityka ujawniania przemocy seksualnej w Kościele nie przeszkodziła wzrostowi liczby chrztów osób dorosłych.



ARCHIWUM PRYWATNE

GUILLAUME CUCHET
– profesor historii na Uniwersytecie Paris 1 (Panthéon-Sorbonne), badacz dziejów francuskiego katolicyzmu od XIX w. Autor wielu książek (niestety nietłumaczonych na polski), m.in. „Zmierzch czyśćca" (2005), „Jak nasz świat przestał być chrześcijański. Anatomia upadku" (2018) i „Czy katolicyzm ma jeszcze przyszłość we Francji?" (2021).

W jednej z książek zauważa Pan, że po Soborze Watykańskim II francuscy duchowni odeszli od nauczania o „sprawach ostatecznych", jak śmierć, niebo, czyściec czy piekło. To błąd?

Nie sądzę. Myślę że Kościół nie mógł postąpić inaczej. Po prostu skończyła się pewna epoka. Jeśli francuscy księża zaczęli milczeć w kazaniach o piekle, czyśćcu i raju, to dlatego, że sami przestali wierzyć w taką pośmiertną „topografię". Zaczęła wydawać im się baśnią czy mitologią.

Uważam jednak, że w interesie Kościoła katolickiego leży poruszanie takich spraw jak śmierć, żałoba i zbawienie. Jeśli Kościół ma coś do powiedzenia, to właśnie na tym polu. Należy jednak znaleźć nowy sposób mówienia o piekle, grzechu i wiecznym potępieniu. Nie wierzę, że można w tej dziedzinie powrócić do dawnego nauczania w formie wyjętej żywcem z katechizmów lat 50. – czego domagają się dzisiaj tradycjonaliści.

Z zajęć ze studentami wiem, że młodych fascynuje doświadczenie bliskiej śmierci (ang. *near-death experience*, NDE). Nie znają katolickiego katechizmu, ale to do nich przemawia. Sala operacyjna, tunel, świadkowie mówiący, że widzieli coś w chwili umierania – w to właśnie wierzą. Bo to opiera się na osobistym doświadczeniu.

Wciąż widzi Pan nadzieję dla francuskiego katolicyzmu?

Uważam, że przesłanie Ewangelii jest mocne, radykalne, inspirujące. Mówię to jako historyk i katolik. Moim zdaniem to przesłanie góruje nad wieloma „konkurencyjnymi" dyskursami. Wierzę w przyszłość katolicyzmu, bo ma duże zasoby: ludzkie, doktrynalne i historyczne.

Jednak katolicyzm we Francji już nie będzie tym, czym był do lat 60. ubiegłego wieku – kulturową matrycą naszego społeczeństwa. Na naszych oczach, po wiekach dominacji, Kościół staje się mniejszością w bardzo zróżnicowanym kraju.

Mniejszością mikroskopijną?

Może tak być. Nie wiemy, czy to będzie 20, 10, czy 5 proc. społeczeństwa. A ta różnica ma duże znaczenie. Francja ma ogromną tradycję katolicką, z której może być dumna. Tyle że ta duma nie może prowadzić do zasklepienia się w sobie. Trzeba jednak pokazać, że nie boimy się prawdy. I że potrafimy spojrzeć jej w oczy.

© Rozmawiał w Paryżu SZYMON ŁUCYK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

Sanktuarium w Lourdes zasłania mozaiki Marka Rupnika – byłego jezuity, oskarżanego o przemoc seksualną wobec kobiet. Piotr Żyłka proponuje, by tak samo postąpiło krakowskie sanktuarium Jana Pawła II. Przeczytaj jego tekst oraz polemiki, jakie wywołał.

https://tyg-pow.pl/sprawaRupnika

eprasa.pl e0187a52f8

Psu brat



BUDIMIR JEVTIC / ADOBE STOCK

BARBARA NIEDŹWIEDZKA

EKOLOGIA | **Nowy dokument Watykanu nazywa krzywdę zwierząt grzechem przeciw Stwórcy i po raz pierwszy wyodrębnia je z ogólnego pojęcia „stworzenie”.**

Rok temu uczestniczyłam w ekologicznej Konferencji „Raising Hope” w Castel Gandolfo. I dając wyraz swojej desperacji z powodu braku odpowiedzi Stolicy Apostolskiej na liczne apele chrześcijańskich organizacji prozwierzęcych, paradowałam z napisem „*Raise Hope for God's Animals!*” na plecach.

Do Castel Gandolfo pojechałam nie tylko po to, by świętować 10. rocznicę ekologiczno-społecznej encykliki „Laudato si'”, ale także, by spróbować przekazać papieżowi Leonowi XIV list, w którym prosimy o aktualizację katolickiego nauczania dotyczącego relacji człowiek–zwierzę. Pomimo rozwoju wiedzy, technologii, a także idei wolności i sprawiedliwości, zwierzętom wciąż dzieje się niewyobrażalna, coraz bardziej zautomatyzowana krzywda. Kościół o niej milczy.

MILCZENIE | List podpisało kilkanaście organizacji z całego świata, wielu teologów, biblistów, etyków, ekologów, a także zwykłych osób. Udało mi się go wręczyć, potem zapadła cisza. Na samej konferencji podsumowującej lata działań katolików na niwie ekologii nie padło ani jedno słowo o niszczycielskim wpływie przemysłowych hodowli zwierząt na środowisko i klimat (a to największy emitent gazów cieplarnianych z produkcji rolnej, FAO Oct. 2025), ani o ich wpływie na ludzkie zdrowie i społeczne nierówności.

Przez kolejne miesiące kilkoro działaczy na rzecz zwierząt spotykało się wirtualnie z katolickimi teologami (autorami książek o teologii zwierząt – ukazało się ostatnio kilka takich publikacji). Próbowaliśmy ich zmobilizować do stworzenia wspólnego frontu nacisku na Urząd Nauczycielski. Po paru spotkaniach zrozumieliśmy jednak, że nasi potencjalni emisariusze nie wierzą w skuteczność swojej ewentualnej misji. Cóż, pozostało nam zastygnąć w oczekiwaniu trwającym od czasów ojców Kościoła. Bo to oni jako pierwsi nauczali, że chrześcijanie zobowiązani są zrobić wszystko, co w ich mocy, aby żyć tak, jakby byli już w Królestwie Niebieskim – rajskim ogrodzie – aż po dietę roślinną. I nadal pisać petycje.

ZWROT | I nagle – 2 września – coś drgnęło. Nie mam najmniejszych złudzeń: nie jest to efekt naszego listu ani prezentowania urzędnikom watykańskiej Dykasterii napisu na moich plecach. To skutek żmudnego, trwającego od XIX w., budzenia wrażliwości na krzywdę zwierząt przez tysiące ich obrońców na świecie, narażających się na politowanie i hejt. I w końcu jest – smukła jaskółka nadziei. Kościół wskazał wreszcie na odrębność zwierząt w chrześcijańskiej trosce o Stworzenie. I nadał temu teologiczny wymiar.

Ale najpierw krótko o przygotowanym przez Międzynarodową Komisję Teologiczną i zaaprobowanym przez Leona XIV obszernym, doktrynalnym dokumencie zatytułowanym „Troszczyć się o nasz wspólny dom”, opublikowanym właśnie 2 września. Uznaje się w nim niszczenie środowiska za „grzech przeciwko stworzeniu i Stwórcy”. Można powiedzieć – nic nowego. O „grzechu ekologicznym” i konieczności „nawrócenia ekologicznego” mówili wcześniej inni papieże, począwszy od Jana Pawła II. Pierwszy raz jednak tak wyraźnie podkreślono, że jest to także grzech przeciw Bogu.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ | Wiele osób zapyta, na czym ma polegać ten grzech!? W ostatnim dziesięcioleciu utrwaliło się przekonanie, że od nas, pojedynczych, zwykłych ludzi nic nie zależy. A skoro tak, to nie ma tu naszej winy.

To nieprawda. Nasze przekonania i indywidualne zachowania mają znaczenie. Jest nas – chrześcijan – jedna trzecia Ziemian. Samych katolików – ponad miliard. W tym cała rzesza finansistów, dyrektorów korporacji, nauczycieli, rolników. Z pewnością moglibyśmy stać się agentami zmiany, śnieżną kulą ekologicznego nawrócenia.

Wydaje się logiczne, że skoro Bóg przejawia się w przyrodzie i „Jego jest wszystko”, to troska o dobro natury staje się częścią powołania wierzących. Każdy z nas ma w tym swoją rolę do odegrania. Także ja, biorąc krótki prysznic, używając publicznego transportu, stosując dietę ograniczającą cierpienie zwierząt. Także duszpasterz uczący dostrzegania Boga w przyrodzie. Także proboszcz apelujący o ograniczenie ozdób cmentarnych i wspierający kulturę umiaru. Także katecheci uczący dzieci szacunku dla stworzonego świata.

Święty Franciszek, którego święto już wkrótce będziemy obchodzili – w tym roku szczególnie uroczyście z powodu 800. rocznicy jego śmierci – dotknął istoty takiego podejścia. Jest nią dostrzeganie Boga w naturze, poczucie jedności z otaczającym światem, poprzestawanie na tym, co niezbędne, zachwyt nad wszystkim co żyje. Patrząc na górskie lasy, strojące się już w jesienne barwy, czujemy ten zachwyt, zdumienie i wdzięczność. Nie chcielibyśmy tego zniszczyć. O taką ewolucję codziennego myślenia chodzi.

eprasa.pl e0187a52f8

KRZYK | Ale wróćmy do zwierząt. Słysząc frazę „Grzech przeciwko stworzeniu", większość z nas prześlizgnie się bezrefleksyjnie nad słowem „stworzenie". Są słowa – mgły. Ono jest jednym z nich. Przeciwko stworzeniu, czyli konkretnie przeciw komu i czemu?

Pierwsza myśl, że przeciwko człowiekowi – jest przecież stworzeniem Boga. Dalej – przeciwko przyrodzie: ziemi, powietrzu, wodzie. Ale zwierzętom i roślinom, grzybom, bakteriom i minerałom.

Chrześcijańska ekologia mówi, że nie szanując tego wspólnego dobra, wyrządzamy zło ludziom – teraz i w przyszłości. Czyli koncentrujemy się, jak zawsze, wokół człowieka, pomijając nasze moralne zobowiązania na przykład wobec czujących zwierząt, które nie są tym samym, co zasoby krzemu.

Chrześcijańska ekologia mówi też, że troska o stworzenie to odpowiedź na krzyk ubogich i na krzyk Ziemi. A co z krzykiem zwierząt? Słowo „zwierzę" w kościelnej mowie prawie nie występuje.

Obdarzone ośrodkiem nerwowym (lub ośrodkami), odbierające bodźce i dokonujące myślowych operacji – zwierzęta nie są w perspektywie etycznej tym samym, co skały i minerały. Są bezpośrednimi, czułymi odbiorcami dobra i zła, obiektami naszej moralności. Ba, niektóre same przejawiają protomoralne zachowania. Dlatego trzeba je traktować w szczególny sposób. Musimy mówić o „grzechach przeciwko zwierzętom" (i ich Stwórcy). I mówić o nich całą prawdę.

DOKTRYNA | Nowy watykański dokument robi w tym kierunku kolejny krok. Człowiek jest w nim *explicite* częścią królestwa zwierząt (pkt 71), a inne zwierzęta są omawiane wprost i dość obszernie, szczególnie w pkt. 67-72 oraz 121-124. Bezpośrednio poruszane są tam kwestie godności i wartości życia zwierząt, ich spożywania, wegetarianizmu oraz obowiązku minimalizowania krzywdy.

Przypominając o powierzonej ludziom misji – „abyście panowali nad rybami morskimi, nad ptactwem powietrznym i nad wszystkimi zwierzętami pełzającymi po ziemi" (Rdz 1, 28) – autorzy dokumentu stwierdzają, że zniekształcona interpretacja tego polecenia była wykorzystywana do usprawiedliwiania „despotycznej i nieograniczonej władzy" człowieka. Dodają, że chrześcijanie powinni uznać „ze wstydem i skruchą", że ta błędna interpretacja odpowiada za ogromną krzywdę i złe traktowanie stworzenia (czytaj zwierząt).

Bodaj po raz pierwszy dokument watykański w kontekście naszych animalnych braci i sióstr porusza kwestię pożywienia, co było dotkliwym brakiem encykliki „Laudato si'". Czytamy, że: „ludzie potrzebują pożywienia, a nawet poświęcają życie innych istot żywych, aby sami mogli przeżyć", ale potrzeba pożywienia musi być rzeczywista i zawsze iść w parze z szacunkiem dla życia zwierząt. Człowiek musi więc kierować się zasadami umiaru, proporcjonalności i konieczności, a „w każdym przypadku mamy obowiązek unikać bezpośrednich ataków na życie lub przynajmniej ograniczać je do absolutnego minimum".

Dotąd w Katechizmie czytaliśmy jedynie o niezadawaniu niepotrzebnego cierpienia i o tym, że zwierzęta „są z natury przeznaczone dla dobra wspólnego ludzkości" (2415). Katechizm uznaje za „uprawnione wykorzystywanie zwierząt jako pokarmu i do wytwarzania odzieży" (2417). Teraz pojawiają się wyraźnie ograniczenia takiego użytku: umiar, proporcjonalność i konieczność.

BIBLIA | W dokumencie cytowany jest też fragment z Księgi Rodzaju (1, 29), w którym Bóg mówi, że pokarmem dla ludzi i zwierząt mają być rośliny. Chodzący do kościoła człowiek słyszy to co najmniej jeden raz w roku, podczas Wigilii Paschalnej. A potem kompletnie wypiera.

Komisja przyznaje, że w tych słowach Biblii „ruch wegetariański znajduje niezaprzeczalny punkt oparcia". Nie jest to zatem wymysł „lewaków", tylko Pisma Świętego. To już prawdziwa nowość. Po dziesiątkach lat upominania się przez katolickie organizacje prozwierzęce o korektę moralnego nauczania Kościoła w odniesieniu do zwierząt otwarta została konieczna do tego teologiczna furtka.

Szkoda, że w dokumencie nie pada wprost termin „grzech przeciwko zwierzętom". Wciąż nikną one w pojemnym terminie „stworzenie". Jednak wyraźne twierdzenie, że zaniedbywanie troski o stworzenie, złe jego traktowanie „poprzez działania lub zaniechania", stanowi nieposłuszeństwo wobec Boga, a także, że człowiek jest odpowiedzialny za inne stworzenia – nie pozostawia wątpliwości, że mówimy o grzechu wobec zwierząt. Dokument ustanawia ramy teologiczne, w których krzywda im wyrządzona jest uznana za grzech przeciwko Stwórcy.

BRATERSTWO | A jaka była relacja ze zwierzętami św. Franciszka? Można czasem usłyszeć, że niewiele go obchodziły, a opisane w literaturze przygody są jedynie sentymentalnymi legendami.

Rzeczywiście w swoich pismach i regule święty nie odnosił się do zwierząt (tylko w jednym miejscu zakazał braciom jeżdżenia konno, co jednak nie wynikało z troski o dobro zwierząt, ale z faktu, że posiadanie konia wiązało się z bogactwem).

Pamiętajmy jednak, że w pierwszych życiorysach świętego spisanych przez świadków jego życia opowieści o zwierzętach mają tak silny wymiar duchowej jedności ze światem, że trudno je uznać jedynie za baśnie.

Postawa Biedaczyny z Asyżu to coś innego niż przywiązanie do pojedynczego zwierzęcia, to przekonanie, że zwierzęta są dziećmi tego samego Boga, braćmi i siostrami, z którymi można rozmawiać, jeżeli chce się mieć z nimi wspólny język, cieszyć z darowanego życia i razem oddawać cześć Stwórcy. To prawda – wspólnota pochodzenia obejmuje u Franciszka cały kosmos, ale w przypadku zwierząt zabarwia się współczuciem, należnym istotom podobnie odczuwającym i domagającym się miłosierdzia.

Organiczna świadomość pochodzenia od tego samego Ojca, poczucie łączności i wspólnoty losu to cenny wkład tego świętego w pojmowanie relacji człowieka ze zwierzętami. Czy zwracamy na to uwagę w Kościele? Czy czujemy tę jedność i solidarność z wilkami, dzikami, owcami, rybami?

Ciesząc się z postępu watykańskiej myśli teologicznej w kwestii troski o dany nam w dzierżawę dom, wciąż niecierpliwie czekamy na dokument szczegółowo omawiający „grzechy człowieka przeciwko Bożym zwierzętom". ©

Autorka jest emerytowaną pracowniczką (dr hab.) Wydziału Nauk o Zdrowiu CM UJ i działaczką ekologiczną.

O dokumencie „Troszczyć się o nasz wspólny dom" pisze także Tomasz Stawiszyński w felietonie na str. 90.

eprasa.pl e0187a52f8

Z Emmy na ołtarze

ARTUR SPORNIAK

WYDARZENIA | **Siedem lat temu jego beatyfikację odwołano w ostatniej chwili. Popularny ewangelizator, abp Fulton Sheen, wreszcie zostanie błogosławionym.**

To było świetne przemówienie. Podczas Narodowego Śniadania Modlitewnego (18 stycznia 1979 r.) mówił o prawach i wolnościach zawartych w Deklaracji Niepodległości Stanów Zjednoczonych, m.in. o wolności słowa. Pytał o ich źródło. Zauważał, że ich rewersem są obowiązki obywatelskie. Przypominał życiorysy sygnatariuszy deklaracji, którzy zapłacili w swoim życiu wysoką cenę. Ale swoje wystąpienie rozpoczął od słów skierowanych w stronę prezydenckiej pary – Jimmy'ego i Rosalynn Carterów. Patrząc w ich stronę, powiedział spokojnym, ale mocnym głosem: „Panie prezydencie, jest pan grzesznikiem". Zapadła cisza. Po chwili mówca dodał: „I ja też nim jestem". Sztukę oratorstwa abp Fulton Sheen opanował w mistrzowski sposób. I wykorzystał w ewangelizacji.



CBS ARCHIVE / GETTY IMAGES

Fulton J. Sheen, ówczesny ksiądz prałat, przy mikrofonie radia CBS. Los Angeles, 28 września 1951 r.

PRYMUS | Fulton Sheen urodził się w 1895 r. w El Paso w stanie Illinois jako najstarszy z czterech synów w rodzinie pochodzenia irlandzkiego. Już podczas nauki szkolnej dał się poznać jako świetny mówca, wygrywając debaty międzyszkolne. Po obronie licencjatu, choć uzyskał prestiżowe stypendium na stanowy uniwersytet, w wieku 22 lat wstąpił do seminarium. Dwa lata później przyjął święcenia w Peorii i został skierowany na Katolicki Uniwersytet Ameryki w Waszyngtonie. Po jego ukończeniu wyjechał studiować filozofię do Leuven w Belgii – jednego z najważniejszych ośrodków odnowy neotomistycznej w Kościele katolickim. Za doktorat „Bóg i rozum w filozofii nowożytnej" otrzymał prestiżową nagrodę kardynała Merciera. Kolejny doktorat – z teologii – zrobił na Uniwersytecie Angelicum w Rzymie. Zanim powrócił do USA, przebywał rok w Anglii, gdzie zaprzyjaźnił się z G.K. Chestertonem, który miał wpływ na jego późniejszy styl apologetyczny.

Osiągnięcia naukowe wróżyły świetną karierę uniwersytecką. Wykłady z filozofii religii na Katolickim Uniwersytecie Ameryki, które prowadził przez 24 lata, cieszyły się dużym powodzeniem ze względu na łatwość, z jaką w prosty sposób tłumaczył zawiłości filozoficznych koncepcji. W ciągu życia opublikował 66 książek na tematy religijne i duchowe, w których łączył erudycję teologiczną z psychologią. Głośna stała się jego fundamentalna krytyka komunizmu – „Komunizm i sumienie Zachodu".

TELEEWANGELIZACJA | Ale to nie uniwersytet stał się najważniejszym miejscem działalności Fultona Sheena. W 1930 r. zaczął współpracę z radiem: jego audycji „Katolicka godzina" słuchało co tydzień – w szczytowym okresie popularności – 4 mln Amerykanów. Wypracował swój własny styl kaznodziejstwa konwersacyjnego, unikał też prozelityzmu, w związku z czym słuchali go nie tylko katolicy.

W 1951 r. otrzymał nominację na biskupa pomocniczego archidiecezji nowojorskiej. W tym samym roku zaproponowano mu program w telewizji w paśmie największej oglądalności. „Życie warte przeżycia" gromadziło w tygodniu 30 mln widzów, a bp Sheen stał się jednym z pierwszych teleewangelizatorów. Sukces zawdzięczał improwizacji, rezygnacji z żargonu teologicznego, poczuciu humoru i autoironii.

W 1952 r. otrzymał nagrodę Emmy dla „najbardziej wybitnej osobowości telewizyjnej" i pojawił się na okładce magazynu „Time". Podczas odbierania statuetki żartował, że dziękuje swoim „scenarzystom": Mateuszowi, Markowi, Łukaszowi i Janowi. Była to aluzja do dowcipu konku-

eprasa.pl e0187a52f8

rującego z Sheenem w innej telewizji komika Miltona Berle, wykorzystującego często w swoim programie stare materiały wodewilowe, który kiedyś zażartował, że „Sheen też używa starych materiałów".

SPÓR | W 1957 r. popularny program zniknął jednak z telewizyjnej ramówki. Podobno za sprawą kard. Francisa Spellmana, z którym Sheen wszedł w ostry spór. Poszło o pieniądze dla ubogich: rząd USA przekazał archidiecezji nowojorskiej darmowe mleko w proszku na misje, które trafiło do kierowanej przez Sheena organizacji, tyle że Spellman zażądał za to zapłaty miliona dolarów. Sheen odmówił, a sprawę na jego korzyść rozstrzygnął Pius XII. Wpływowy arcybiskup Nowego Jorku postanowił jednak pozbyć się hardego biskupa pomocniczego, załatwiając mu – w 1966 r. – nominację na ordynariusza diecezji Rochester. Bp Sheen stworzył tam m.in. urząd wikariusza ds. ubogich, zasłynął też publicznym wezwaniem prezydenta Johnsona do wycofania wojsk amerykańskich z Wietnamu w 1967 r. Dwa lata później przeszedł na emeryturę, a za zasługi otrzymał tytuł arcybiskupa.

Do końca życia codziennie praktykował Godzinę Świętą (adorację przed Najświętszym Sakramentem). Podczas takiej adoracji, 9 grudnia 1979 r., zmarł. Przyczyną była niewydolność serca.

NAWRÓCENIA | Koledzy biskupi naprzykrzali mu się także po śmierci. Po rozpoczęciu w 2002 r. procesu beatyfikacyjnego metropolita Nowego Jorku kard. Timothy Dolan przez wiele lat blokował ekshumację jego szczątków. W 2019 r. bp Salvatore Matano z Rochester doprowadził do odwołania beatyfikacji (na trzy tygodnie przed uroczystością), zarzucając Sheenowi, że uchronił księdza pedofila przed karą – co okazało się nieprawdą.

Sheen przyczynił się do wielu spektakularnych nawróceń. Zapewniły mu też wielką popularność wśród Amerykanów. Jej dowodem jest m.in. decyzja Ramóna Estéveza, odtwórcy głównej roli w „Czasie apokalipsy" Francisa Coppoli, by z podziwu dla arcybiskupa przyjąć jego nazwisko za swój artystyczny pseudonim. ©℗

Ludzie na progu

MONIKA BIAŁKOWSKA

WYKLUCZENIE | Jeśli pomyślałeś kiedykolwiek, że jesteś w Kościele niechciany – przyjedź do Częstochowy na drugą „Pielgrzymkę z obrzeży Kościoła".

Słyszeli nie raz, że są katolikami drugiej lub trzeciej kategorii. Rozwiedzeni, homoseksualni, zgorszeni tym, jak działa instytucja Kościoła. Czujący z tego powodu gniew. Rok temu spotkali się na Jasnej Górze po raz pierwszy. Kilkaset osób. Po raz pierwszy mogli poczuć, że nie są sami. Doświadczyć, że choć spychani na obrzeża, w rzeczywistości są sercem Kościoła – jak każdy, kto cierpi.

GESTY | Prawie rok później Patrycja Żychoń w „Górnośląskich Studiach Socjologicznych" opublikowała artykuł, czytający „Pielgrzymkę z obrzeży Kościoła" przez pryzmat teorii Axela Honnetha: że brak uznania prowadzi do stanu, który można nazwać psychiczną luką w osobowości. Nie chodzi o to, by ktoś nam mówił, że jesteśmy w porządku. Ale o to, by „coś z nami *zrobił*": usiadł obok, porozmawiał, odprawił mszę w naszych intencjach, umył nam nogi. Filozof Ariel Modrzyk, powołując się na Honnetha, podkreśla, że działanie poprzez afirmujące czyny jest nadrzędne wobec aprobaty deklarowanej.

To właśnie jest sednem „Pielgrzymki z obrzeży Kościoła". Stąd naklejki przy wejściu, na których każdy mógł napisać własne imię, czasem inne niż w dowodzie osobistym. Stąd skrzynka na listy do Boga, zapieczętowana i przekazana podczas mszy, by nikt już nie musiał dłużej nosić sam swojego bólu. Stąd *mandatum* – obmycie nóg – w którym ksiądz i osoba latami niepraktykująca stawali naprzeciw siebie równi.

OBURZENIE | W mediach pojawiały się głosy, że pielgrzymka to skandal pod tęczowymi flagami. Nie było żadnych flag ani transparentów. Zamiast nich był „honnethowski" gest uznania: walka o miejsce we wspólnocie, którą chce się współtworzyć, a nie obalać. Padały zarzuty, że wymyślamy wykluczenie tam, gdzie go nie ma: bo ci, którzy trzymają się głównego nurtu nauczania Kościoła, nigdy nie są odrzucani.

Chciałabym, żeby to była prawda. Ale ignorowanie czyjegoś doświadczenia krzywdy jako niemieszczącego się w oficjalnej narracji to jedna z form wykluczenia. Dlatego największym „skandalem" ubiegłorocznej i tegorocznej pielgrzymki jest spotkanie, spowiedź, msza św. i wspólne wyznanie wiary. Największym „skandalem" było i jest to, że ludzie, którzy przyjęli kiedyś chrzest, w imię tego chrztu są nadal w Kościele. Choć ich bracia i siostry robią wszystko, żeby sobie poszli.

ROZMOWA | W tegorocznej edycji „Pielgrzymki z obrzeży Kościoła" panel dyskusyjny poświęcony będzie przemocy duchowej. To zjawisko, o którym w Kościele dopiero zaczyna się mówić. A które leży u źródła wielu doświadczeń wykluczenia. Chcemy nazwać to, co często zostaje bez nazwy: manipulację sumieniem, nadużywanie autorytetu duchowego – mechanizmy, w których posłuszeństwo zamienia się w narzędzie kontroli. Będzie również więcej czasu na rozmowy w mniejszych grupach i wspólne szukanie rozwiązań, które ocalają wiarę człowieka w Kościele.

Spotykamy się 3 października o godz. 11.00 w Bastionie św. Barbary na Jasnej Górze. Bez zapisów, opłat, warunków wstępnych. Zaproszeni są wszyscy, którzy kiedykolwiek z bólem pomyśleli, że są w Kościele niechciani, że może lepiej byłoby odejść, że zbyt wiele zła się stało, aby o swoje miejsce w Kościele jeszcze walczyć. ©

eprasa.pl e0187a52f8

O. WACŁAW

Oszajca: *Wróg prorokiem*



„Pewien człowiek miał dwóch synów”, mówi Jezus. Poprosił jednego z nich, żeby zajął się winnicą, ten odrzucił prośbę ojca, ale gdy odzyskał rozum, wziął się za robotę. Drugi przeciwnie, od razu się zgodził, ale do roboty nie poszedł. „»Który z tych dwóch spełnił wolę ojca?« Odpowiedzieli: Ten pierwszy. Jezus zaś powiedział: »Zapewniam was: celnicy i nierządnice wejdą przed wami do królestwa Bożego«”. Duchowni w mig pojęli, że Jezus wciąż trwa przy swoim i znowu zarzuca im obłudę: „Zamykacie królestwo niebieskie przed ludźmi. Sami nie wchodzicie, a tym, którzy tam zmierzają, nie pozwalacie wejść” (Mt 23, 13). „Przyszedł do was Jan, postępując sprawiedliwie, a nie uwierzyliście mu. Uwierzyli mu zaś celnicy i nierządnice. A wy, chociaż to widzieliście, nawet później nie odczuliście żalu i nie uwierzyliście mu”.

Jak widać, Jezus nie ustępuje, gdyż nie jest to dyskusja na temat tego, co jeść, a czego nie jeść w piątek – mówiąc po naszemu. Wspominając Jana Chrzciciela, daje do zrozumienia, że wie, jaką cenę przyjdzie Mu zapłacić za to, co mówi. Dlatego uważnie Go słuchajmy, mówi przecież do naszych kolegów po fachu, a tym samym do nas. Nie przekierowujmy zatem Jego słów pod adres tych, których wzorem naszych poprzedników już umieściliśmy w gronie dzisiejszych celników i nierządnic. Warto też przejrzeć katalog naszych wrogów, ale i przyjaciół, czy przypadkiem nie ma tam jakiego proroka, którego uznaliśmy za fałszywego tylko dlatego, że psuje nam nasze nabożne, dobre samopoczucie. Co gorsza – nie daje się zastraszyć i nie dba o to, żeby broń Boże nikogo nie dotknąć, nie urazić.

„Nauczycielu, wiemy, że jesteś prawdomówny i drogi Bożej w prawdzie nauczasz. Na nikim Ci też nie zależy, bo nie oglądasz się na osobę ludzką”. Wypowiadający te słowa wcale nie mieli zamiaru chwalić Jezusa, przeciwnie, chcieli Go skompromitować, no i nieopatrznie powiedzieli prawdę. Posłuchajmy, co usłyszał Piotr, gdy chciał przywołać Jezusa do porządku: „Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo nie myślisz o tym, co Boże, ale o tym, co ludzkie”. Albo awantura w jerozolimskiej świątyni i wreszcie egzekucja na Golgocie. Jezus nie unikał konfliktów. To, jak do nich podchodził, pomaga nam dzisiaj uchwycić ową nieprzekraczalną granicę, poza którą to, co wydaje się dobre, staje się przeraźliwie podłe. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Droga nadziei*



Dziś inny „okruch” – nawiązujący do niesłychanie ważnego watykańskiego dokumentu (z 17 września). Rzadko ukazują się dokumenty sygnowane naraz przez trzech prefektów ważnych dykasterii (Dykasterii Nauki Wiary kard. Fernándeza, Dykasterii ds. Popierania Jedności Chrześcijan kard. Kocha oraz Dykasterii ds. Dialogu Międzyreligijnego kard. Koovakada). Ponadto z tekstem zapoznał się Leon XIV. Nota „Droga nadziei” odnosi się do 60. rocznicy publikacji Deklaracji „Nostra aetate” Soboru Watykańskiego II, i – tak jak ona – dotyczy relacji Kościoła do religii niechrześcijańskich. Ukazuje ona „Nostra aetate” jako punkt wyjścia, a nie dojścia kościelnego Magisterium, i sporą część tekstu poświęca relacjom chrześcijańsko-żydowskim. Z racji na głosy, jakie padły po liście polskiego episkopatu na ten temat, pozwolę sobie przytoczyć kilka kluczowych zdań.

„Przymierze Boga z narodem żydowskim jest nieodwołalne, co nieustannie stanowi wyzwanie dla Kościoła. Nie oznacza to jednak dla chrześcijan, że istnieją dwie drogi zbawienia i że przymierze z narodem żydowskim przebiega równolegle do chrześcijańskiej drogi zbawienia: Kościół naucza, że Chrystus jest jedynym Odkupicielem”. „Religijność współczesnych Żydów – i to nie tylko ta związana z Pierwszym Testamentem – ma znaczenie dla chrześcijan. Tak wyraża się papież Franciszek: »Bóg nadal działa w Narodzie Starego Przymierza« (...) Dlatego fundamentalne znaczenie ma biblijne, egzegetyczne, liturgiczne i teologiczne pogłębianie relacji z judaizmem” (p. 13; Nota odwołuje się do trzech akapitów „Evangelii gaudium” 247-249, którym przyznaje „ogromną wagę”, p. 29). „Ta solidarność z narodem żydowskim obejmuje również wspólną walkę z antysemityzmem”. W podobnym duchu Nota przestrzega przed islamofobią, wzywając do rozróżniania „przypadków fundamentalizmu i przemocy od pokojowego życia wyznawców islamu” (p. 43). Dokument przywołuje „logikę” spotkania w Asyżu zwołanego przez Jana Pawła II i jego wizytę w rzymskiej synagodze w 1986 roku.

Wydarzenia polityczne i konflikty na Bliskim Wschodzie – mówią sygnatariusze – stanowią dramatyczną próbę dla tego myślenia i działania; jednakże sześćdziesiąt lat „wspólnej pracy” okaże się mocniejsze. To „Droga nadziei” – jeszcze raz opisana nie po to, by o niej czytać, ale by nią iść! ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl e0187a52f8

ZUZANNA

Radzik: *Była katolickim księdzem*



Gdy amerykańskie katoliczki zakładały w 1975 r. swoją organizację Women's Ordination Conference, postulującą święcenia prezbiteratu dla kobiet, żyjąca w Brnie Ludmila Javorová już od pięciu lat miała katolickie święcenia prezbiteratu. Podobnie jak wielu mężczyzn, również, a może zwłaszcza żonatych, przyjęła je w tajemnicy w podziemnym Kościele czechosłowackim. Gdy potem w 1994 r. Jan Paweł II wydał dokument przeciw ordynacji kobiet, dla Javorovej już od kilku lat było jasne, że nikt jej kapłaństwa – wymagającego kilkudziesięciu lat ryzyka i odwagi – w rzymskokatolickim Kościele nie chce.

W ten sposób posoborowy Kościół, który miał żyć znakami czasu, a dziś odmieniający synodalność przez przypadki, odrzucił czechosłowackie doświadczenie budowania rozproszonych, tajnych struktur. Cóż z tego, że na inne duszpasterstwo nie było szans. Cóż z tego, że biskup Felix Davídek uznał, iż kościelne *decorum* jest mniej ważne niż sakramentalna posługa, do której potrzebni są prezbiterzy. Że widział, iż kobiety też byłyby w tej roli potrzebne i służy to sprawie. Ważniejsza okazała się dyscyplina. Zresztą podobnie jak dziś, gdy ignorujemy duszpasterskie potrzeby wspólnot takich jak te w Amazonii (które i tak stoją posługą kobiet oraz żonatych mężczyzn), głównie dlatego, że nasze europejskie i watykańskie wyobrażenie o świecie nie może tego udźwignąć. Tymczasem świat był i jest inny, i wymaga duszpasterskiej wyobraźni.

Bohaterom tamtego czasu nawet nie podziękowano, nie pasowali do uniwersalnego modelu. W 1996 r. Watykan ogłosił nieważność święceń kobiet (miało ich być więcej, tylko Javorovą znamy z nazwiska) w podziemnym Kościele Czechosłowacji, a Ludmila dostała zakaz zachowywania się jak duchowna pod karą ekskomuniki. Bohaterom dzisiejszych eksperymentów eklezjalnych też niekiedy dziękujemy pouczeniem i groźbą ekskomuniki, czasem udając, że ich praca nie istnieje, najrzadziej chcąc zrozumieć i wysłuchać.

Piszę o tym, bo żyjąca spokojnie w mrówkowcu na brneńskim blokowisku Javorová zmarła 17 września, w wieku 94 lat. Pionierka emancypacji kobiet w Kościele, która unikała bycia w centrum zainteresowania, rzadko godziła się na wywiady, a w tych, których udzieliła, opowiadała głównie o ludziach ze swojego otoczenia, czyli utworzonej przez bp. Davídka grupy Koinótés.

To właśnie na tym blokowisku odnalazł Javorovą Tomasz Maćkowiak i napisał o niej, a przy okazji o podziemnym czechosłowackim Kościele, książkę „Byłam katolickim księdzem". Tytuł niby szokujący, na okładce zdjęcie uśmiechniętej dziewięćdziesięciolatki, a w środku kawał historii Kościoła, tego lokalnego, sąsiedniego, a jakże innego.

Dzielność i trwanie tego katolicyzmu to nie tylko ortodoksyjny, choć podziemnie święcony ks. Tomáš Halík. To też ci rozproszeni, odprawiający po domach, dla bezpieczeństwa nieznający często siebie nawzajem prezbiterzy i ich małe, domowe wspólnoty. Tak, to wszystko działo się tuż za miedzą. Wasi rówieśnicy z Czech czy Słowacji mogli właśnie w takich parafiach wyrastać.

Żegnając więc Javorovą, myślę nie tylko o emancypacji kobiet, ale głębiej o tym, z czego ta decyzja wynikała. Nie tylko z założenia równości kobiet i mężczyzn, ale potrzeby miejsca i czasu. Zatem myślę o prawie lokalnych wspólnot do własnej historii, własnego kontekstu oraz swojej odpowiedzi na nie. O prawie, by być ekspertami od swojej sytuacji i swoich duszpasterskich potrzeb. By móc szukać rozwiązań, których potrzebuje dziś i tutaj Kościół.

Czy da się te potrzeby zawsze uzgodnić w globalnym katolicyzmie? Czy możemy udźwignąć ten pluralizm pragnień i historycznych okoliczności? Czy katolicyzm, przyzwyczajony do opowieści o jedności, jest w stanie znieść napięcie, jakie rodzi rzeczywista różnorodność globalnej wspólnoty?

Nie jest jasne, jeszcze się okaże. Może ten model synodalny, bycia razem w drodze i słuchania, jakoś dojrzeje i w nas wrośnie. A może zostanie powierzchownym hasłem, a każdy, kto w nie uwierzy na serio, zapłaci, jak Javorová, cenę za wiarę w odpowiedź na potrzeby i znaki czasu. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl e0187a52f8

26 MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA | INTERNATIONAL CONFERENCE
Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej
Role of the Christians in the Process of European Integration
pod patronatem Metropolity Krakowskiego Kardynała Grzegorza Rysia
25-26 września

Ile Europ w Europie?

Artur Sporniak

Czy wspólnota Unii Europejskiej ma przyszłość w czasach podziałów i egoizmu politycznego? Jak bronić się przed manipulacją religii przez polityków? Co o wspólnocie europejskiej sądzą dzisiaj polscy biskupi?

Można powiedzieć, że wróciła normalność. Po odejściu abp. Marka Jędraszewskiego na emeryturę i przyjściu kard. Grzegorza Rysia do Krakowa coroczna konferencja z cyklu „Rola chrześcijan w procesie integracji europejskiej" powróciła pod patronat metropolity krakowskiego. W ostatnich latach organizująca to wydarzenie Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka doświadczała braku współpracy z lokalnym Kościołem, a nawet utrudnień. Od początku – czyli od 2001 r. – głównym organizatorem cyklu konferencji i jej *spiritus movens* był bp Tadeusz Pieronek, a wraz z nim Papieski Uniwersytet Jana Pawła II w Krakowie. Hierarcha zmarł w 2018 r. Już dwa lata po jego śmierci abp Jędraszewski nakazał papieskiej uczelni wycofać się ze współpracy. W tym roku, po siedmiu latach, UPJPII na powrót znalazł się w gronie współorganizatorów wydarzenia. Warto odnotować zaangażowanie nowego metropolity – kard. Ryś nie tylko otworzy konferencję, ale także wygłosi referat wprowadzający do sesji poświęconej ekumenizmowi jako metodzie dialogu.

Tematem XXVI Międzynarodowej Konferencji, organizowanej w dniach 25-26 września w krakowskim Hotelu Holiday Inn, jest pytanie: „Ile Europ w Europie?". W czasach podziałów i politycznego egoizmu, który napędza wielu liderów świata politycznego czy ekonomicznego, potrzebujemy refleksji nad tym, co możemy dziś zaoferować Europie – uważają organizatorzy: Grupa Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim oraz Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka. Oprócz wspomnianej roli ekumenizmu uczestnicy zastanawiać się będą nad instrumentalizacją religii w dyskursie politycznym, w jakim sensie AI jest szansą, a w jakim zagrożeniem oraz czy Europa skazana jest na podział. Wśród zaproszonych gości znaleźli się szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, politolożka Anna Materska-Sosnowska oraz prezes Synerise Jarosław Królewski. Zaproszenie przyjął także watykański „wicepremier", sekretarz ds. Kontaktów z Państwami Stolicy Apostolskiej, abp Paul Richard Gallagher, ale ponieważ w tym samym czasie jedzie z papieżem do Francji, przysłał nagranie wideo.

Jak co roku wydarzeniu towarzyszyć będzie gala Nagrody im. bp. Tadeusza Pieronka. Wyróżnieni nią zostaną była rzeczniczka praw obywatelskich prof. Irena Lipowicz oraz ukraiński działacz praw człowieka i były więzień polityczny prof. Myrosław Marynowycz.

Ponieważ współpraca z Kościołem katolickim wróciła na dawne tory, w tym roku prezes Fundacji im. bp. Tadeusza Pieronka Rafał Budnik postanowił rozpropagować wydarzenie w jak najszerszym gronie duchownych. Zwrócił się zatem do wszystkich biskupów diecezjalnych z prośbą o umożliwienie rozesłania komunikatu o krakowskiej konferencji za pośrednictwem wewnętrznej poczty kurialnej. Na 41 diecezji nie przysłało żadnej odpowiedzi pięć kurii biskupich (archidiecezja warmińska i diecezje ełcka, legnicka, płocka i sandomierska), a pięć odmówiło przekazania księżom informacji (kurie bydgoska, pelplińska, włocławska, gliwicka i zamojsko-lubaczowska). Oto niektóre uzasadnienia: „poczta wysyłana kanałami instytucjonalnymi wykorzystywana jest jedynie do korespondencji wewnątrzkościelnej"; „jako diecezja nie będziemy włączać się w promocję wydarzenia".

Powstała swoista mapa Kościoła instytucjonalnego w Polsce, w pewnym sensie świadcząca o tym, co o zaangażowaniu Kościoła w ważne problemy Unii Europejskiej sądzą poszczególni biskupi diecezjalni. ©℗

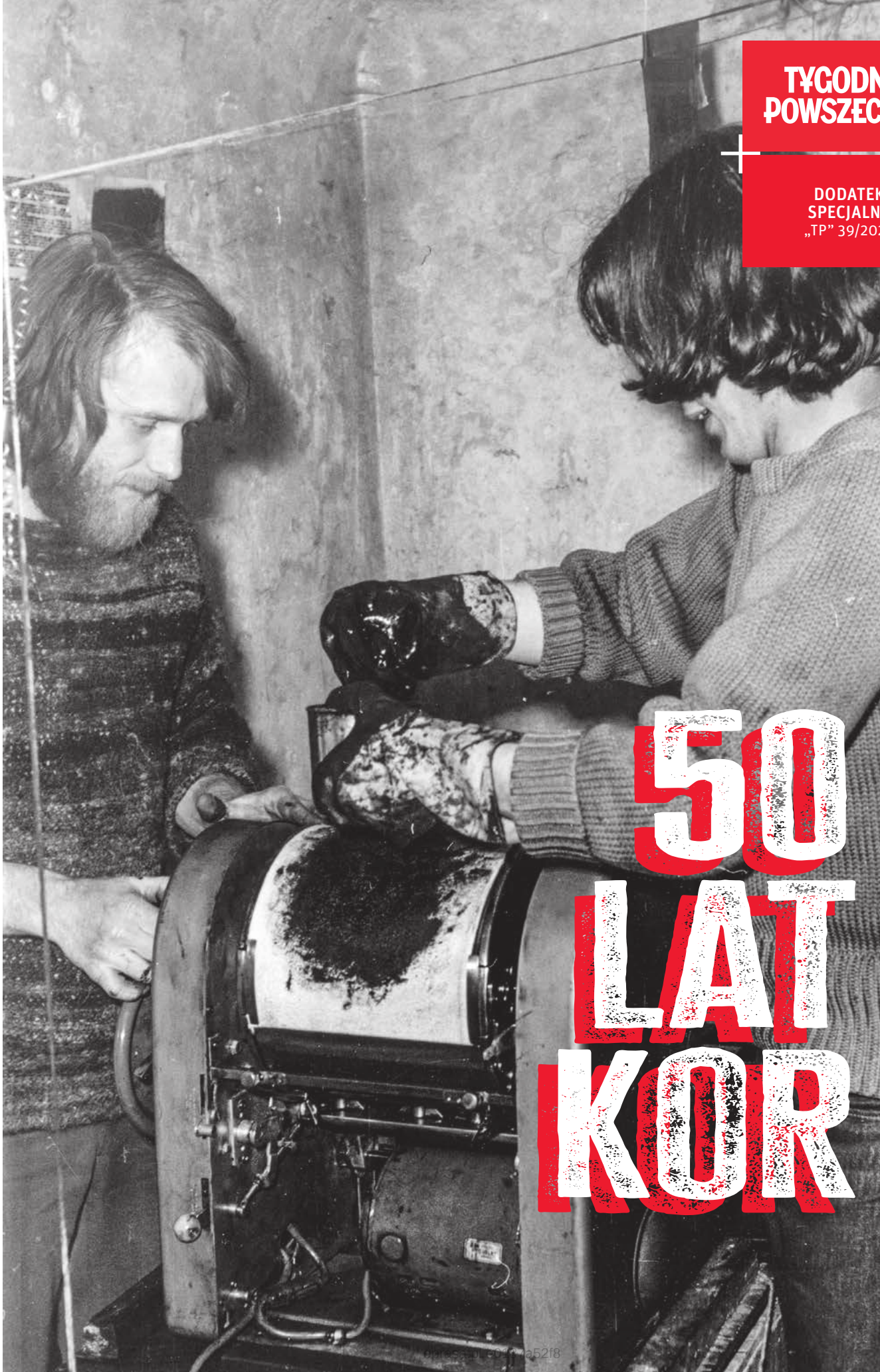
Przebieg konferencji można śledzić na żywo na kanale YouTube Transmisja rozpocznie się 25 września o godz. 11

MATERIAŁ PARTNERA

ORGANIZATORZY
grupa epl Grupa Europejskiej Partii Ludowej w Parlamencie Europejskim
IN VERITATE Fundacja im. bp. Tadeusza Pieronka Tadeusz Pieronek Foundation

WSPÓŁPRACA
CDE DCE
COMECE
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie

eprasa.pl e0187a52f8



TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY „TP” 39/2026

50 LAT KOR

POLSKI POMYSŁ NA WSPÓLNE DZIAŁANIE

KOR, pół wieku później

Opowieść o tych ludziach to afirmacja solidaryzmu i nonkonformizmu oraz działania na rzecz dobra wspólnego. Czyli wartości, których deficyt doskwiera nam również dziś, w tak odmiennych warunkach. Nie tylko w Polsce.

Powstanie Komitetu Obrony Robotników to jeden z kluczowych momentów na drodze do obalenia systemu komunistycznego w Polsce. 50 lat temu rozległ się głos grupki niepokornych, którzy w odruchu solidarności wobec prześladowanych po niedawnych robotniczych protestach upomnieli się o ludzką godność i swobody obywatelskie.

W warunkach komunistycznego państwa był to akt nieprzeciętnej odwagi. To wtedy zakiełkowały formy aktywności, które doprowadziły do solidarnościowego zrywu w 1980 r., a następnie odzyskania niepodległości w 1989 roku.

Miasto stołeczne Warszawa podkreśla rangę rocznicy narodzin KOR-u specjalnym programem wydarzeń pod honorowym patronatem prezydenta Rafała Trzaskowskiego, przygotowanym przez DSH (Dom Spotkań z Historią).

PAMIĘĆ I PRZYPOMNIENIE | Wystartowaliśmy 23 lutego w stołecznym Teatrze Dramatycznym koncertem poetyckim „Siła w jedności". Co miesiąc emitujemy odcinki dwóch cykli multimedialnych: „Dudek o KOR", w którym prof. Antoni Dudek przedstawia historię ruchu, a także „AHM o KOR", w którym z kolei narratorami są członkowie i współpracownicy Komitetu na podstawie materiałów z Archiwum Historii Mówionej DSH i Fundacji Ośrodka Karta (w sieci: www.relacjebiograficzne.pl).

Równolegle zapraszamy na projekcje filmów dokumentalnych oraz spacery szlakiem wydarzeń związanych z opozycją przedsierpniową. W czerwcu zaprezentowaliśmy wystawę plenerową „Niepokorne 1976-89" o roli kobiet w działaniach antysystemowych w PRL.

Natomiast począwszy od 23 września – czyli dokładnie w pół wieku od ogłoszenia „Apelu do społeczeństwa i władz PRL", sygnowanego przez założycieli KOR-u – u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i ul. Karowej prezentujemy wystawę „Komitet Obrony Robotników. Siła w jedności", autorstwa Ośrodka Karta. To nowa edycja ekspozycji poświęconej protestom robotniczym z czerwca 1976 r. oraz działalności KOR-u od momentu jego powstania we wrześniu 1976 r. do rozwiązania podczas I Zjazdu NSZZ Solidarność we wrześniu 1981 roku.

Wystawa ta oddaje głos uczestnikom i świadkom wydarzeń, a dopełniają ją fotografie archiwalne, kalendarium wydarzeń oraz biogramy członkiń i członków KOR-u oraz KSS KOR. Wystawie, którą można oglądać do 14 października, towarzyszy broszura, dostępna w DSH przy ul. Karowej 20 (nieodpłatna, do wyczerpania nakładu).

Program nasz, jak zawsze w przypadku DSH, opiera się na rzetelnym przekazie źródłowym.

CIĄG DALSZY TRWA | Jednak wywołany przez okrągłą rocznicę temat KOR-u to nie tylko zamknięta historia. Dzisiaj nadal w wielu miejscach świata – żeby wymienić choćby Białoruś czy Iran – pytanie o formy skutecznego sprzeciwu wobec opresyjnej władzy pozostaje kwestią zasadniczą.

Opowieść o ludziach spod znaku KOR-u to nade wszystko afirmacja solidaryzmu i nonkonformizmu oraz działania na rzecz dobra wspólnego. Czyli wartości, których deficyt doskwiera nam również dzisiaj, w tak odmiennych warunkach społecznych i politycznych. Nie tylko w Polsce.

© KATARZYNA PUCHALSKA, PIOTR JAKUBOWSKI

Więcej o programie obchodów na stronie: **dsh.waw.pl**



MATERIAŁY PRASOWE DSH X2

KATARZYNA PUCHALSKA jest dyrektorką DSH.



PIOTR JAKUBOWSKI jest wicedyrektorem DSH i koordynatorem obchodów 50. rocznicy powstania KOR-u.

eprasa.pl e0187a52f8

Wyobraźnia i kompas

MATEUSZ FAŁKOWSKI

Komitet Obrony Robotników był jednym z najbardziej innowacyjnych polskich pomysłów na wspólne działanie w XX wieku. Jak się narodził? I co nam dziś z niego zostało?

Pół wieku temu, w czerwcu 1976 r., robotnicy w Radomiu, Ursusie i Płocku zaprotestowali przeciw podwyżkom cen ogłoszonym przez władze PRL. Te zareagowały represjami. Ich symbolem stały się „ścieżki zdrowia": aresztowanych pędzono przez szpaler milicjantów, którzy bili ich pałkami. Wielu robotników zwolniono z pracy.

Jeszcze w czerwcu grupa kilkudziesięciu osób zaczęła pomagać prześladowanym. Inicjatywy pomocy, które zrodziły się jednocześnie w kilku miejscach, w pewnym momencie połączono: 23 września 1976 r. marszałek Sejmu PRL, Stanisław Gucwa, otrzymał list z „Apelem do społeczeństwa i władz PRL", podpisany przez 14 osób. Autorzy informowali w nim o powołaniu Komitetu Obrony Robotników (KOR).

Założyciele stawiali sobie za cel nagłośnienie represji i pomoc ich ofiarom, i prosili Polaków o wsparcie. Apel kończyli nieco patetycznie: „Jesteśmy jak najgłębiej przekonani, że powołując Komitet Obrony Robotników do życia oraz działania – spełniamy obowiązek ludzki i patriotyczny, służąc dobrej sprawie Ojczyzny, Narodu, Człowieka".



ARCHIWUM SOLIDARNOŚCI / EAST NEWS

Protest robotników w Radomiu, 25 czerwca 1976 r.

Z różnych tradycji

Nazwę wymyślił Antoni Macierewicz, a kluczowymi osobami, które latem i jesienią 1976 r. zaangażowały się w stworzenie tej nowej organizacji opozycyjnej, byli prócz niego Jacek Kuroń, Jan Józef Lipski i Piotr Naimski.

Reprezentowali różne pokolenia i tradycje. Najmłodsi Naimski i Macierewicz (25 i 28 lat) wyszli z tradycyjnego harcerstwa. 42-letni Kuroń po 1945 r. rozwijał tzw. hufiec walterowców – komunistyczną przeciwwagę dla harcerstwa; miał też za sobą kilka lat więzienia (za „List do partii", napisany w 1965 r. z Karolem Modzelewskim). 50-letni Lipski walczył w powstaniu warszawskim i związany był z tradycją lewicy niepodległościowej.

Nie było wtedy jeszcze zorganizowanej opozycji, ale były miejsca, w których można było mówić krytycznie o PRL – m.in. środowiska „komandosów" (liderów studenckich z 1968 r.), harcerskiej Czarnej Jedynki, KIK-u i Więzi. A także wąskie grupy oddalających się od PRL-u pisarzy i adwokatów pomagających dysydentom (jak Aniela Steinsbergowa, Jan Olszewski, Władysław Siła-Nowicki).

Połączenie tych środowisk umożliwiło powstanie KOR-u. A ułatwił to fakt, że wszyscy czytali wówczas te same książki – „Chrześcijanin w Trzeciej Rzeszy" Anny Morawskiej z 1970 r. (o Dieterze Bonhoefferze), „Rodowody niepokornych" Bohdana Cywińskiego z 1971 r. (o doświadczeniu polskiej inteligencji w XIX w.) czy „Próby świadectwa" Jana Strzeleckiego, także z 1971 r. (przepracowanie doświadczenia autora z czasu II wojny). ↦

eprasa.pl e0187a52f8

Idea i czyn

↦ Aby zapewnić większą ochronę dla całej inicjatywy, do podpisania „Apelu" i członkostwa w Komitecie namówiono początkowo głównie osoby starsze o wysokiej pozycji, już wcześniej pomagające dysydentom: Anielę Steinsbergową, Ludwika Cohna, prof. Edwarda Lipińskiego, ks. Jana Zieję czy Józefa Rybickiego (b. dowódcę Kedywu Okręgu Warszawa AK). Z młodszego pokolenia dołączył Stanisław Barańczak, poeta Nowej Fali.

Idea była taka, aby organizować pomoc dla robotników, towarzyszyć im w sądach, wspierać ich rodziny, dokumentować i nagłaśniać represje (za pomocą powielanych komunikatów). Pierwszy komunikat ukazał się z datą 29 września 1976 r. Do założycieli dołączyła wtedy aktorka Halina Mikołajska. Co było nowe, to jawność: członkowie KOR-u podali swoje nazwiska, adresy i telefony. Podawali też publicznie kwoty przeznaczone na pomoc aresztowanym. W ciągu roku do Komitetu dołączą kolejne 23 osoby.

Do uczestników KOR-u zaliczyć należy też grono współpracowników, kilka razy większe – jeżdżących z pomocą do Ursusa, Radomia i Płocka, obecnych na rozprawach, by dać wsparcie sądzonym, powielających w ukryciu komunikaty. Czyli – tworzących sieci tej opozycji nowego typu.

Macierewicz i Kuroń

Na KOR można patrzeć przez pryzmat tekstów i idei. Jednak decydujące były raczej praktyki działania i negocjowanie ich znaczeń przez ten szerszy krąg uczestników ruchu KOR-owskiego. Bardziej niż pomysły ideowych liderów.

Ale te pomysły i napięcie między nimi istniały. Formuła KOR-u łączyła różne środowiska i powstawała w starciu odmiennych liderów.

Macierewicz, którego oparcie się na harcerzach z Czarnej Jedynki było kluczowe w chwili powstania KOR-u, pisał i teoretyzował o metodach działania mniej niż Kuroń czy Adam Michnik. Tuż przed powstaniem KOR-u był jednak autorem ważnego tekstu zamieszczonego pod pseudonimem w emigracyjnym piśmie „Aneks".

W „Refleksjach o opozycji" Macierewicz postulował, że „opozycję w Polsce trzeba dopiero stworzyć. Legalność nie ma sensu. Ma zaś go, być może, jawność działania, lecz tylko wtedy, gdy opozycję – grupkę prowadzącą globalną politykę – zastąpi ruch oporu. Powszechny ruch, wsparty powszechną gotowością poniesienia konsekwencji".

Dalej pisał: „Gdy stworzymy opinię publiczną, najpierw wewnątrz własnej grupy, a później działającą i wobec całego społeczeństwa. Gdy zrealizujemy postulat minimum – przynajmniej nie kłamać. Gdy przywrócimy wartość tym zapomnianym słowom: sprawiedliwość, wolność i niepodległość. Tylko wtedy będzie możliwa budowa ruchu, działanie opozycji".

Macierewicz chciał jednoznaczności: odróżnienia (nielegalnej i antykomunistycznej) opozycji od milczącej większości. Był też polemiczny wobec Kuronia, który – mając za sobą więzienie – opowiadał się wtedy raczej za strategią małych kroków i legalnymi ramami działania.

Polska ruchów społecznych

Zarazem to Kuroń w „Myślach o programie działania" z listopada 1976 r., wychodząc już od doświadczenia KOR-u, budował uzasadnienie dla ruchów społecznych: „Otwarte wystąpienia, kiedy zdarzają się w jednym czasie w wielu miejscach kraju i łączy je najogólniejsza jedność celu, stają się ruchem społecznym. Za ruch społeczny uważam tu takie współdziałanie wielkich zbiorowości ludzkich, w którym każdy uczestnik realizuje swoje dążenia, działając w małej, samodzielnej grupie. Takie małe, samodzielne grupy stają się ruchem społecznym (...) gdy łączy je wspólnota najogólniejszego celu".

Kuroń wyróżniał wtedy cztery takie ruchy: chłopski przeciw upaństwowieniu rolnictwa, strajki i demonstracje robotników na tle płacowym, aktywność wiernych w obronie Kościoła katolickiego oraz działania w obronie autonomii kultury i nauki.

Rozumiał dynamikę powstającego ruchu i chciał ją kształtować swymi tekstami. Pisał: „Wszelkie działania opozycyjne muszą zmierzać do co najmniej ograniczenia państwowego monopolu organizacji, informacji i inicjatywy. (...). Analogicznie jak KOR, który wydaje swoje komunikaty, oświadczenia i inne materiały, można (...) wydawać nie podporządkowane cenzurze pisma, broszury, opracowania". Argumentował, że „praktyka KOR stanowi całkowicie realny program zasadniczej reformy systemu dokonywanej przez społeczeństwo wbrew woli władz".

I puentował: „Proponuję tworzenie Polski niezależnych ruchów społecznych", gdyż „zorganizowane społeczeństwo jest siłą, a z siłą liczy się każda władza".

Wspólnym wysiłkiem

Z czasem KOR stał się symbolem lewicowego nurtu opozycji kojarzonego z Michnikiem i Kuroniem. Jednak wtedy, latem 1976 r., to Macierewicz z Naimskim, w oparciu o środowisko Czarnej Jedynki przy warszawskim „Reytanie", rozwinęli to, co stało się podwaliną dla KOR-u: akcję pomocy dla robotników w Ursusie, szybko rozszerzoną przez kolejne osoby i środowiska na Radom.

Macierewicz dążył do instytucjonalizacji oraz nagłośnienia inicjatywy. Wbrew obawom innych naciskał na szybkie powołanie KOR-u. Postępował w myśl postulatu zawartego we wspomnianym artykule dla „Aneksu": „Legalność nie ma sensu, jawność ma sens, trzeba tworzyć opozycję".

Należał też do redakcji „Komunikatu KOR" i odegrał ważną rolę w początkach ruchu wydawniczego, gdy z Mirosławem Chojeckim i Januszem Krupskim optował za użyciem nielegalnych (w myśl prawa PRL) powielaczy. Wraz z Chojeckim i Bogusławą Blajfer sam drukował też jedne z pierwszych broszur.

Z kolei Kuroń, a także Michnik, w pisanym w czasach KOR-u „Nowym ewolucjonizmie" z 1977 r., lepiej potrafili zarysować wizję rozwoju już nie wąskich grupek dysydentów, a nowej i coraz szerszej opozycji.

Pomysł na wskroś polityczny

Rola KOR-u początkowo była praktyczna: Komitet organizował zbiórki na rzecz represjonowanych i pomoc medyczną, opłacał adwokatów, starał się o przywrócenie zwolnionych do pracy. Ale szybko równie istotna stała się funkcja informacyjna: KOR dokumentował łamanie praw człowieka, opisywał represje i przekazywał te informacje na Zachód – skąd przez Radio Wolna Europa wracały one do szerszego audytorium w Polsce i na świecie.

eprasa.pl e0187a52f8



FUNDACJA OŚRODKA KARTA (Z ARCHIWUM RODZINNEGO JACKA KURONIA)

Spotkanie członków KOR na warszawskim cmentarzu, od lewej: Antoni Macierewicz, Zbigniew Romaszewski, Jacek Kuroń oraz Jan Lityński.

Fenomenem KOR-u było działanie jawne i odwoływanie się do legalizmu: Komitet powoływał się na prawo i międzynarodowe zobowiązania PRL-u. Ta strategia była świadomym wyborem, mającym utrudnić władzom pacyfikację środowiska.

We wrześniu 1977 r., gdy represjonowani po Czerwcu '76 zostali objęci amnestią, KOR przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej KOR, rozszerzając działalność z pomocy konkretnym ludziom na szerzej rozumianą obronę praw obywatelskich w PRL-u.

W ten sposób stosunkowo niewielki KOR odegrał ważną rolę w dalszym rozwoju opozycji, nadając jej ramy interpretacyjne i sposoby działania – niezależny obieg wydawniczy, pewien model współpracy między inteligencją a robotnikami, z niego wyszły inicjatywy takie jak Towarzystwo Kursów Naukowych.

Później

Zdobyte wtedy doświadczenia i wypracowane modele działania, jak „Karta Praw Robotniczych", okazały się kluczowe latem 1980 r. Gdy wybuchły strajki, ludzie KOR-u weszli do komisji eksperckich doradzających strajkującym, a po powstaniu Solidarności wielu z nich pozostało blisko kierownictwa związku jako doradcy.

To dało środowisku KOR-u wpływ na strategię Solidarności, ale niemal od razu rodziło też podejrzliwość części działaczy związkowych, obawiających się, że na masowy ruch w organizacyjnej formule robotniczego związku nadmiernie będzie wpływać grupa inteligentów z Warszawy.

Po 1989 r. KOR stał się jednym z filarów założycielskiej opowieści III Rzeczypospolitej, w której rewolucja Solidarności i przełom 1989 r. stały się już nie eklektycznym ruchem robotniczo-lewicowo-narodowo-religijnym, a raczej liberalną rewolucją ku demokracji i wolnemu rynkowi.

Między innymi to uczyniło z KOR-u obiekt sporu, politycznego i historycznego. A jego współzałożyciele znaleźli się po przeciwnych stronach polityki: gdy Michnik i Kuroń stali się symbolami liberalno-lewicowej tradycji III RP, Macierewicz i Olszewski ewoluowali ku prawicy narodowo-konserwatywnej i stali się krytykami rzekomego „układu Okrągłego Stołu". Przy czym to Kuroń i Michnik kojarzeni byli (i są) z KOR-em, a Macierewicz, Naimski i Olszewski już niekoniecznie.

Co nam zostało z KOR-u?

Jaką inspiracją może być dzisiaj dla nas KOR?

Po pierwsze, przypomina nam, że i w systemach autorytarnych, i w demokracji potrzeba ludzi odważnych. Twórcy KOR-u byli nieliczni, spotykali się z uwagami o nieroztropności. Jeśli nie chcemy być kolejną „generacją PIN-ów", intelektualistów, dla których zasadą jest stadność myślenia (określenie opozycjonisty Rafała Grupińskiego z lat 80.), to powinniśmy upomnieć się o obecność tak rozumianej odwagi w życiu publicznym.

Po drugie, rocznica KOR-u może być przyczynkiem do refleksji nad plemiennością, temperaturą sporu i retoryką obecnej polityki. 50 lat temu naprawdę współpracowali ludzie różnych przekonań. Naprawdę byli razem i Macierewicz, i Kuroń.

Po trzecie, KOR zrobili inteligenci – przedstawiciele klasy, której w takiej postaci już nie ma. Jego rocznica może być więc też wyzwaniem rzuconym w stronę następców tamtych inteligentów – dzisiejszej klasy średniej. KOR był za sprawiedliwością i za spójnością społeczną, za empatią wobec słabszych. Czy my dziś jesteśmy zdolni, by poświęcić choć trochę energii na sprawy wspólne?

Po czwarte, KOR przypomina o znaczeniu pluralizmu instytucjonalnego – wiele sposobów działania rozwinęło się w twórczej rywalizacji ze środowiskiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO).

Po piąte, KOR był ćwiczeniem z wyobraźni. Polityka wymaga wyobraźni. Hannah Arendt pisała, że „tylko wyobraźnia pozwala nam zobaczyć rzeczy we właściwej perspektywie, pozwala umieścić rzecz zbyt bliską w pewnej odległości, tak że możemy widzieć i rozumieć ją bezstronnie i bez uprzedzeń, pozwala zasypać przepaści oddalenia (...) Bez takiej wyobraźni, która właściwie jest rozumieniem, nie bylibyśmy w stanie zorientować się w świecie. Jest to jedyny wewnętrzny kompas, jaki mamy".

Latem i jesienią 1976 r. ludzie, którzy angażowali się w pomoc robotnikom i następnie powołali KOR, mieli taką wyobraźnię i kompas. Dzięki temu mogli wspólnie zaproponować pomysł polityczny, który zmienił reguły gry w PRL-u.

I okazał się jedną z najlepszych polskich politycznych idei w XX stuleciu.

© MATEUSZ FAŁKOWSKI

eprasa.pl e0187a52f8

KOR był przełomem

PROF. ANTONI DUDEK, HISTORYK PRL-U, AUTOR CYKLU MULTIMEDIALNEGO O KOR-ZE:

Ludzi, którzy nie godzili się z systemem, łączyło poczucie, że niezależnie od różnic przeciwnik jest jeden: władze komunistyczne.

JACEK TARAN: Jakie znaczenie ma dziś KOR?

PROF. ANTONI DUDEK: Dwojakie: i historyczne, i symboliczne – jako początek drogi grupy Polaków walczących o wolność, prawa człowieka, demokrację. Oczywiście nie jest tak, że wcześniej nikt o to nie walczył. Natomiast KOR był tu jednak ważnym etapem, ze względu na innowacyjny sposób działania, który okazał się niezwykle skuteczny w drugiej połowie lat 70. XX w. i stał się wzorem dla innych organizacji opozycyjnych. KOR był przełomem.

Na czym to polegało?

Wszystkie organizacje opozycyjne, które istniały wcześniej w PRL-u, poczynając od końca lat 40., gdy zlikwidowano Polskie Stronnictwo Ludowe, miały charakter konspiracyjny. Tymczasem znaczna część działalności KOR-u była prowadzona jawnie. Członkowie założyciele ogłosili swoje nazwiska i adresy, a nawet telefony. Ukrywano tylko działalność poligraficzną, druk poza oficjalnym obiegiem. Ta jawność utrudniała władzom oskarżenie KOR-u o prowadzenie działalności tajnej, nielegalnej.

Ta jawność była tolerowana przez władze PRL?

Istotny jest tu pewien kontekst. W 1975 r. w Helsinkach podpisano Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Kraje bloku komunistycznego zobowiązały się w nim do przestrzegania praw człowieka. Grupy dysydenckie, które odtąd powstawały w krajach bloku, odwoływały się do tego. KOR wpisał się w ten nurt, podobnie jak Karta 77 w Czechosłowacji.

KOR rzucał władzom wyzwanie: nie ukrywamy naszych poglądów, zbieramy się oficjalnie, komunikaty podpisujemy nazwiskami, gdyż uważamy, że mamy do tego prawo, że uprawniają nas do tego i konstytucja PRL, i porozumienia międzynarodowe.

Władze miały z tym problem?

Wcześniej coś takiego kończyłoby się szybko wyrokami za działalność antypaństwową. Ale ekipa Edwarda Gierka, szefa rządzącej partii w latach 1970-80, chciała utrzymać dobre relacje z Zachodem. Stanisław Kania, sekretarz partii nadzorujący aparat przemocy, tłumaczył ludziom ze Służby Bezpieczeństwa, że rozumie, iż oni chcieliby wszystkich aresztować, podziela ich emocje, ale interes PRL każe tolerować działalność KOR-u.

Oczywiście, ludzie KOR-u byli poddani represjom: wyrzucano ich z pracy, zatrzymywano na 48 godzin, inwigilowano, podsuwano agenturę. Ale zalecenie „góry" było, aby nie dochodziło do procesów i wieloletnich wyroków. Władzom wydawało się, że wszystko miały pod kontrolą: KOR liczył najpierw kilkunastu członków założycieli, później trzydziestu kilku plus jakieś 200-300 osób współpracujących.

Przechodząc do czasów dzisiejszych: czy pamięć o KOR-ze została zdominowana przez perspektywę Kuronia i Michnika, kosztem roli Macierewicza i Naimskiego?

Nie mam wrażenia, by role Macierewicza i Naimskiego były przemilczane. Są dokumenty i książki przedstawiające wydarzenia z punktu widzenia Macierewicza. Istotnie jednak strona Kuronia i Michnika po prostu przeważała i później więcej mówiła o tej historii. Zgadzam się, że jest tu pewna dysproporcja. Tyle że ona wynika poniekąd z układu sił wewnątrz samego KOR-u, który był zdominowany przez ludzi o poglądach, które dziś nazwalibyśmy lewicowo-liberalnymi. Tak było przez cały okres jego istnienia.

Od początku część ludzi z szeroko rozumianych środowisk opozycyjnych nie akceptowała tego przechyłu KOR-u w stronę lewicowo-liberalną. Dlatego w marcu 1977 r., niemal pół roku po założeniu KOR-u, powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, zorientowany bardziej prawicowo.

O co właściwie się wówczas spierano?

Główne spory dotyczyły tego, jak najskuteczniej walczyć z systemem. Różnice sprowadzały się do poziomu radykalizmu. W Ruchu byli ludzie bardziej radykalni. Z czasem doprowadziło to do powstania partii politycznej: Konfederacji Polski Niepodległej Leszka Moczulskiego. Natomiast KOR uważał, że tworzenie partii nie ma sensu, bo to nie ten etap. Że potrzebna jest walka o prawa człowieka, a więc także o prawa związkowe. Dlatego wokół KOR-u wyrastały później wolne związki zawodowe.

Bardziej radykalne środowiska zmierzały natomiast w kierunku, w którym najdalej poszedł Moczulski – stworzenia partii, której sama nazwa była wyzwaniem wobec władz: chcemy Polski niepodległej. KOR nie szedł tak daleko w postulatach. Nie żądał demokratycznych wyborów ani wyprowadzenia wojsk sowieckich z Polski. Uważano to za żądania utopijne, nierealne. Koncentrowano się na prawach człowieka i wszystkim, co się z tym wiązało.

To była główna oś sporu. Kwestie ideologiczne, prawica, lewica, stosunek do Kościoła czy aborcji też się pojawiały, ale były drugorzędne wobec sporu o najskuteczniejszą metodę działania wobec władz PRL. No i nie można też pominąć ambicji personalnych. Od początku pojawiła się rywalizacja, która doprowadziła do konfliktu między Macierewiczem a Michnikiem.

Jednak, mimo różnic, współpracowano. Dziś coś podobnego byłoby trudne.

Ludzi, którzy nie godzili się z systemem, łączyło wtedy poczucie, że niezależnie od różnic przeciwnik jest jeden: władze komunistyczne, które w równym stopniu prześladowały osoby o poglądach katolickich, liberalnych czy socjaldemokratycznych. To był po prostu ten sam

eprasa.pl e0187a52f8



ZBIGNIEW GARWACKI / FOTONOVA

Zebranie członków KSS KOR w mieszkaniu profesora Edwarda Lipińskiego. Na zdjęciu od lewej: Piotr Naimski, Józef Rybicki, Zofia Romaszewska, Wojciech Onyszkiewicz, Jan Lityński, Konrad Bieliński, NN, Zbigniew Romaszewski, Wiesław Kęcik, Antoni Pajdak oraz Aniela Steinsbergowa. Warszawa, 1981 r.

przeciwnik. To zasadnicza różnica wobec sytuacji, którą mamy dziś.

Szybko też zdano sobie sprawę, że Służba Bezpieczeństwa robi wszystko, by skłócić środowiska opozycyjne. W ROPCiO doszło do rozłamu. SB udało się podsycić ambicje personalne Moczulskiego i Andrzeja Czumy do tego stopnia, że po roku się rozstali i powstały dwa Ruchy Obrony.

W Komitecie Obrony Robotników takie działania SB się nie udały. Konflikty próbowano rozwiązywać metodą kompromisów. Przykładem konflikt Michnika z Macierewiczem o redakcję pisma „Głos". Początkowo obaj mieli je tworzyć, ale gdy okazało się, że nie są w stanie współpracować, Michnik założył własne pismo „Krytyka", które wychodziło pod parasolem KOR-u, a „Głos" jako pismo Macierewicza również działał w tym środowisku. Udało się to utrzymać do 1980 roku.

Sporów było więcej?

Słynna była debata w 1978 r. na temat stanowiska KOR-u wobec rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości w 1918 r. Udało się wynegocjować kompromisowy dokument, w którym ścierały się wyraźnie dwa stanowiska: apologetyczne i krytyczne wobec II RP. Był też spór o to, czy KOR powinien afiliować się przy którejś z zachodnich „międzynarodówek" – liberalnej czy socjaldemokratycznej. Tego sporu nie rozstrzygnięto, gdyż jedna strona nie zgadzała się na jedną międzynarodówkę, a druga na drugą.

Książki Jana Józefa Lipskiego i Jana Skórzyńskiego szczegółowo opisują te napięcia. Na szczęście nie doprowadziły one do tego, na czym zależało władzom: rozłamu i oskarżeń, do jakich dochodziło w innych organizacjach opozycyjnych przed sierpniem 1980 roku.

Przykład jawnego działania KOR-u zachęcał innych do podobnej aktywności?

Był zaraźliwy. Jednak najważniejszym „dzieckiem" KOR-u stał się ruch związkowy. Dość szybko zdano sobie sprawę, że jeśli w Polsce ma się coś zmienić, protestować muszą nie tylko inteligenci i intelektualiści, ale też robotnicy. Dlatego KOR zaczął wydawać pismo „Robotnik", redagowane m.in. przez Jana Lityńskiego: pismo inteligentów adresowane do robotników. Finalnie jego oddziaływanie objęło różne środowiska.

O ile na Śląsku nie udało się Świtoniowi stworzyć środowiska związkowego, gdyż został tam osaczony przez SB, o tyle w Gdańsku udało się to Borusewiczowi, Gwiazdom, Walentynowicz i Wyszkowskiemu. Stworzyli Wolne Związki Zawodowe Wybrzeża. Była to również grupa najwyżej kilkudziesięcioosobowa, do której dołączył Wałęsa. Dalszy ciąg tej historii był jednak imponujący: w 1980 r. WZZ przekształciły się w wielomilionowy ruch.

Jak KOR był potem postrzegany w Solidarności?

Część działaczy Solidarności sympatyzowała z korowcami i wzorowała się na nich, ale część traktowała ich jako siły wrogie, nawet jako obcą agenturę. Nie jest więc tak, że wszyscy w Solidarności byli KOR-em zachwyceni. Dowodem sytuacja na pierwszym zjeździe Solidarności, dotycząca podziękowania dla KOR-u. Doszło wtedy do gigantycznej awantury między tymi, którzy chcieli dziękować KOR-owi, a tymi, którzy byli przeciw.

Pokazuje to, że wpływ i naśladownictwo KOR-u nie były powszechne ani oczywiste. Komitet od początku był atakowany nie tylko przez władze, lecz ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ też przez skrajne środowiska nacjonalistyczne, które również funkcjonowały w PRL-u. Pojawiały się oskarżenia, że to dzieło Żydów i masonów. Nie jest więc tak, że recepcja KOR-u była jednoznacznie pozytywna nawet po stronie ludzi wrogich komunizmowi i PRL.

W 1977 r. władze PRL ogłosiły amnestię – to nie osłabiło aktywności KOR-u?

Punktem wyjścia była tu sprawa śmierci Stanisława Pyjasa w maju 1977 r. Gdy pojawiły się protesty studenckie w Krakowie i innych miastach, gdy KOR podjął współpracę z powstającymi Studenckimi Komitetami Solidarności, władze zaczęły rozważać wytoczenie procesu czołowym działaczom KOR-u. Zatrzymano ich na dłużej niż 48 godzin. Ostatecznie ekipa Gierka się cofnęła i w lipcu 1977 r. ogłosiła amnestię, także wobec uczestników protestów z czerwca 1976 r.

W ten sposób KOR osiągnął swój „postulat założycielski". Oraz stanął przed wyborem: kontynuować działalność, czy ją zakończyć. We wrześniu 1977 r. podjęto decyzję o przekształceniu go w Komitet Samoobrony Społecznej KOR.

Jaki był ideowy wpływ KOR-u na wydarzenia po 1980 r.?

Sama idea samoobrony społecznej oddziaływała później na innych ludzi, którzy niekoniecznie nawiązywali do ideologii KOR-u, ale przejmowali najsłynniejsze hasło Jacka Kuronia: „Zamiast palić komitety, zakładajcie własne". To był pomysł walki bez użycia przemocy. To także legło u fundamentów Solidarności i sprawiło, że w latach 80. w Polsce, poza incydentalnymi przypadkami, mimo stanu wojennego i ogromnego poziomu emocji, nie mieliśmy terroryzmu politycznego.

To, że opozycja poszła potem drogą metod pokojowych, jest moim zdaniem najistotniejszym dokonaniem KOR-u. I to się sprawdziło w latach 1989-1991. Oczywiście, do dziś jest wielu niezadowolonych, którzy uważają, że to źle, że nie było rewolucji antykomunistycznej, czegoś w rodzaju powstania budapeszteńskiego z 1956 r., że przez to komunistów nie rozliczono. Myślę, że finalnie Polska wyszła jednak na tym lepiej, niż gdybyśmy mieli np. taką rewolucję, jaka miała miejsce w grudniu 1989 r. w Rumunii.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

PROF. ANTONI DUDEK (ur. 1966) jest historykiem, specjalizuje się w dziejach najnowszych Polski. Autor książek, m.in. „Historia polityczna Polski 1989-2023", „Od Mazowieckiego do Suchockiej. Pierwsze rządy wolnej Polski", „Instytut. Osobista historia IPN". Na platformie YouTube prowadzi autorski kanał „Dudek o historii". Autor cyklu multimedialnego „Dudek o KOR", emitowanego na platformach społecznościowych DSH.

Dla wielu mit KOR-u to fundament III RP, na dobre lub na złe. Na ile odpowiada to historii?

Ten mit odrzucają przede wszystkim ci, którym nie podoba się III RP. Uważają, że potrzebna jest jakaś inna Rzeczpospolita, jak mówią: nieokrągłostołowa. Wrogiem numer jeden stał się tu nie tyle KOR, co Okrągły Stół, który oczywiście w pewnym sensie wywodzi się z tradycji korowskiej.

Taka narracja była obecna już w 1989 r., a rozkwitła zwłaszcza po 2015 r. Próbuje się w ten sposób zakwestionować cały sens III Rzeczypospolitej i zbudować nową Polskę np. na tradycji partyzantki antykomunistycznej. Uważam to za przedsięwzięcie horrendalne, bo ta partyzantka też była wewnętrznie bardzo zróżnicowana, skupiała ludzi o różnych poglądach.

Towarzyszy temu radykalizm, według którego każdy, kto był w PZPR, powinien zniknąć z życia publicznego. Predestynowani do budowy nowej Polski mieliby być tylko ci, którzy mają „nieskalaną" przeszłość. Dziś takie kryteria zaczyna się stosować nawet wobec ich dzieci i wnuków. Ktoś miał dziadka w PZPR czy w Urzędzie Bezpieczeństwa i już miałby być obywatelem drugiej kategorii.

Takie myślenie jest w istocie narzędziem politycznym, służącym eliminacji przeciwników. Tymczasem przez PZPR i związane z nią organizacje przeszło kilka milionów Polaków. Trudno znaleźć kogoś, kto nie miałby w rodzinie osoby z taką przeszłością.

Myśli Pan, że dziś możliwy byłby jakiś odpowiednik KOR-u, gdy mówimy o aktywności obywatelskiej?

Głównym problemem dzisiejszej Polski jest mała aktywność Polaków w organizacjach społecznych. Nie tylko tych zajmujących się prawami człowieka, ale także działających w innych sferach, sporcie czy kulturze. Polska należy do krajów o najniższym poziomie aktywności obywatelskiej.

Jesteśmy skrajnie nieufni, w działalności społecznej wietrzymy prywatę, nierzetelność. Moim zdaniem to najgorsze dziedzictwo PRL-u. Dlatego przesłanie KOR-u, który akcentował konieczność samoorganizacji społecznej, jest ciągle aktualne.

Dziś nie chodzi o to, by walczyć z rządem o prawa człowieka, lecz aby rozwiązywać np. problemy lokalnych wspólnot. Możliwe są różne formy działalności, trzeba z nich korzystać. Ale Polacy się do tego nie garną. Dominuje model zamykania się w życiu prywatnym, w gronie rodziny i przyjaciół, unikania szerszego zaangażowania. To wielki problem, który wciąż dziedziczymy po PRL-u, a który spotęgowała jeszcze pandemia. ©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 39/2026

REDAKCJA: Jacek Taran, Wojciech Pięciak | OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska PROJ. GRAF.: Marek Zalejski | SKŁAD: Zuzanna Kardyś | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara, Katarzyna Bułtowicz | Na okładce: drukarnia Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa, pracującej na potrzeby KOR-u. Mirosław Chojecki (z lewej) i Konrad Bieliński, prawdopodobnie Konstancin, rok 1978 lub 1979 // MARCIN JABŁOŃSKI / FUNDACJA OŚRODKA KARTA

PARTNER

20 DSH

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

eprasa.pl e0187a52f8



MATERIAŁY PRASOWE DSH

Siła w jedności

JACEK TARAN

Historię KOR-u, od czerwca 1976 r. po narodziny Solidarności, opowiada plenerowa wystawa, którą od 23 września można oglądać na Krakowskim Przedmieściu.

Na początku było ich czternaścioro. 23 września 1976 r. czternaścioro sygnatariuszy ogłosiło „Apel do społeczeństwa i władz PRL", informując o powstaniu Komitetu Obrony Robotników. Była to reakcja na represje, które po protestach robotniczych w czerwcu tamtego roku dotknęły mieszkańców Radomia i kilku innych miast. KOR miał organizować dla nich pomoc prawną i materialną, a także informować opinię publiczną o działaniach władz.

Od tych wydarzeń zaczyna się również wystawa plenerowa „Komitet Obrony Robotników. Siła w jedności 1976-2026". Jej narracja prowadzi przez kolejne etapy działalności KOR-u: kontakty z Kościołem, rozwój niezależnego obiegu informacji, śmierć Stanisława Pyjasa i mobilizację środowiska studenckiego, aż po zaangażowanie części środowiska KOR-u w powstanie Solidarności i następnie rozwiązanie Komitetu podczas I Zjazdu NSZZ Solidarność we wrześniu 1981 roku.

W SALONIE I KOŚCIELE | Jedną z plansz poświęcono centrum informacyjnemu w mieszkaniu Jacka Kuronia. Gromadzone tam dane o represjach przekazywano zachodnim mediom. W ten sposób pojedyncze przypadki przestawały być lokalnymi przemilczanymi historiami – stawały się informacją, której władze PRL nie mogły już kontrolować.

Innym ważnym motywem była samoorganizacja. Wystawa pokazuje, jak wokół KOR-u powstawały kolejne inicjatywy i środowiska. Szczególne znaczenie miały niezależne wydawnictwa, a także miejsca spotkań, gdzie przedstawiciele różnych nurtów opozycji mogli i spierać się, i współpracować. Jednym z takich miejsc był salon Anny Erdman i Tadeusza Walendowskiego. Jak wspominał Czesław Bielecki, spotykali się tam ludzie o różnych poglądach i wizjach działania, ale gotowi ze sobą rozmawiać.

Ważne miejsce zajmuje też relacja KOR-u z Kościołem katolickim, w którym widziano sprzymierzeńca. Jesienią 1976 r. przedstawiciele KOR-u spotkali się z kard. Karolem Wojtyłą. W Komitecie działał natomiast ks. Jan Zieja.

WSPÓLNOTA I STRUKTURA | Wystawa pokazuje KOR jako sieć ludzi, inicjatyw i relacji. Szczególnie mocno wybrzmiewa przekonanie, że jego znaczenie polegało na praktycznym doświadczeniu wspólnego działania: pomocy represjonowanym, zdobywania i przekazywania informacji, obrony praw ludzkich, tworzenia niezależnej przestrzeni debaty, uczenia społeczeństwa samoorganizacji. W przywołanych na wystawie słowach Kuronia to właśnie samoorganizacja była jednym z głównych osiągnięć KOR-u.

Wystawę „Komitet Obrony Robotników. Siła w jedności" przygotował warszawski Dom Spotkań z Historią, a jej kuratorkami są Maria Krawczyk i Katarzyna Bizacka, zaś partnerem Fundacja Ośrodka KARTA. ©℗

Wystawę **KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW. SIŁA W JEDNOŚCI** można oglądać od 23 września do 14 października 2026 r. w Warszawie na Krakowskim Przedmieściu, róg ul. Karowej.

eprasa.pl e0187a52f8

ELIZA

Kącka:
Babka do spółki



Jazda autobusem 157 ku Ochocie. Przygrzewa, jakby sierpień odpracowywał we wrześniu absencje ciepła, ale skwar wczesnojesienny jest jednak inny. Piecze lekko, a nie rozbiera; działa dyskretniej. Fluid jesieni przylega do skóry, złoci się, dopieszcza, ale to nie lipcowa wylinka w pełnym słońcu, nie ukąszenie zębem jadowym sierpniowych upałów. Można się żarówkom września nadstawić z krótkim rękawem i w skórzanej kurtce. Łagodne światło przyjmie wszystko. Jedziemy. Starszy z sąsiednich siedzeń: „Ciepło, prawda?". Uśmiecham się na przytaknięcie. „Wrzesień to najpiękniejszy miesiąc. Póki żona była, no, żyła, kupowałem jej wrzosy". „O, wspaniałe są leśne wrzosowiska". „Pani też lubi wrzosy?". „Ba, pewnie". „Mnie zawsze, wie pani, przekonywała ich skromność. Trudno z nich zrobić bukiet, a kolor piękny". „Ano". „Leśne runo, po prostu. A jednak kwiat. I nie do końca. Tak sobie teraz myślę..., kiedy mojej Stefki nie ma. Wolę wrzosy od róż, wie pani. Myśmy się późno ze Stefą pobrali. Ale zdążyliśmy uciułać szczęście". Przerywa nam kontrola biletów. Już Plac Narutowicza. On: „Wmuszały jej koleżanki jakieś wiązanki ślubne. A ona powiedziała: »Chcę bukiecik z wrzosów«. I wszystko wynikło z tego wyboru, wszystko". Wysiadłam. U kwiaciarek na placu wrzosy, dużo. Podbite światłem fiolety, kobierce miejskie.

Tramwaj 14, kurs na Mokotów. Siedzę sobie z plecakiem górskim, w środku sprawunki. Na siedzenie tuż obok wtacza się gość kiele pięćdziesiątki z dwiema wypchanymi jak kanciaste balony torbami plastikowych butelek. „Pani wybaczy, zmieścimy się, co nie?". „Pewno". „Dobry łów... Jakbym tak co dzień, to by starczyło do pierwszego, hehe". „No, dużo tego". „Frajerzy wyrzucają, ja mam zysk. Dwa śmietniki z plastikiem, nawet nie zgniatają, hihi". „Ano". Rozochocił się: „Pani też łowi?". „Nie". „A, jasne. Fajny plecak". „Nadawałby się, hehe". „Jeszcze jak!". Worek flaszek z półki przy siedzeniach zjeżdża mi na kolana. „Pani wytrzyma, ja tylko do Placu Unii". „Spokojnie". Przy Nowowiejskiej dosiada się drugi zbieracz. Trzy worki, mniejsze. Pierwszy: „Wyładunek przy Unii". Drugi z ukosa na mnie: „Babka do spółki?". „Nieee. Tylko z nami jedzie". „Ale ma towar?". „Mówię, że nie, zabrała się moim tramwajem". „Aaa". Plac Zbawiciela. Wyciągam wodę z torby. Drugi bystrzeje: „Ehm – zaczepia – mało zostało". Fakt, dwa łyki. „Ja bym się uśmiechnął o tę butelkę". „Jasne". „Jeśli pani nie zależy". „Odstąpię". „To niech szybko pije, bo my tu parkujem". Na przystanku czeka trzeci. Cztery wory we wiacie, potentat, cieszą się.

Samolot z Brukseli do Warszawy. Czekamy na lot. Obok rodzina z Polski. Matka: „Mogłeś nie opłacać tej drugiej walizki". Ojciec: „Tak? A jakbyś się zabrała z czekoladą?". „Aż tyle nie kupiłam. To twoje piwo waży". „Raptem cztery butelki...". „Dziesięć!". Babcia: „Ale czy to bezpieczne?". „W sensie?". „No, dla naszego lotu. Piwo jest gazowane". „I co?". „A nie wybuchnie, jak się zmiesza?". „Co też mama...". „No nie wiem. Jeszcze samolot stanie". „Mamaaa, doleci". „A gdzie schowałeś moje dewocjonalia?". „W tej samej walizce". „Z piwem?! Chcę wyjąć!". „Nie da się, nadałem już". „To ja nie lecę!". „Jak mama chce, ale ja nie mam na kolejny bilet". „Święty Józef z Sercem Maryi na piwie!". Mały: „Czy Bozia boi się latania?". „Bozia? Nieee, Bozia to lubi". Ucieszył się: „To nie zje mi czekolady". Babcia: „Co on gada?". Mały: „Bo jak się człowiek boi, to je czekoladkę". „Bozia to nie człowiek!". „A pije piwo?". Ojciec: „Przekonamy się w Warszawie". Babcia: „Nie lecę!".

Zasypiam w Brukseli i śni mi się ojciec. Z papierosem, kawą, za stołem kuchennym w dawnym mieszkaniu lidzbarskim. Mówię mu, że dobrze wygląda. „Bo dobrze mi się trafiło. Kącki dopiero po pierwszym zawale. I papierosy mam". „Haha, czyli sprawdził się przydział". „Nie chciałbym wracać do szkoły". „Nie miałbyś papierosów". „Kto wie". „Widujesz tu kogo?". „Trochę obcych. I ciebie". „Już tu byłam?". „Kilka razy. Dziś jesteś duża, ale ostatnio ci obierałem szprotki". „Pycha! Czyli byłam w podstawówce". „Tak, i za dużo mówiłaś. To ci zrobiłem kanapki". „Haha, żeby się Elizka zamknęła". „Mogłaby Łatka przyjść. Nie rozumiem, dlaczego nie dają tu zwierząt". „Zaraz, chwila, ej. Dlaczego ja tu raz jestem dziecko, raz dorosła, a ty w jednym wieku?". „Bo ty jeszcze żyjesz". „Tego się nie wybiera?". Zgasił papierosa: „Siebie po życiu? Życia? Nie".

Bruksela, ranek, wymykam się na spacer. Światło gra z szarościami świtu. Na razie subtelnie, pastelowo, wciera żółcie w różne partie nieba. Park Pięćdziesięciolecia, schodzą się panowie w odblaskowych kamizelach: instalacje przy Łuku Triumfalnym. Staram się obejść ten kram, o co niełatwo – by wskoczyć w zieleń. Inną niż przy Bibliotece Solvaya. Tam się jest jak pod kopułą szmaragdowatej zieloności, tu aleje i mniej otuliny. Rozglądam się: wiewiórka. Zupełnie łazienkowska. Pełznie po pniu pędzelkami w dół. „Ej – mówię – wiewiór, pozdrowienia z Mokotowa". „No proszę!" – słyszę. Myślę: co jest? „To nie wiewiór, to ja" – obracam się i widzę starszego pana z laseczką. „Wiewiór, i to nawet pospolity. *Sciurus vulgaris*". „Haha, tak". „A ja jestem Edward, też pospolity. Polaków tu dużo, więc proszę uważać z gadaniem do wiewiórek". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono" (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl e0187a52f8

Dalekowzroczni i wrażliwi

Wracamy do Tischnerowskich źródeł. W myśleniu cenimy dialogiczność, w działaniu – szacunek dla wartości człowieka. Doceniamy tych, którzy patrzą głębiej i dalej, poza doraźne interesy. Kapituła Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera ogłosiła tegoroczne nominacje.

Katarzyna Węglarczyk

W **KATEGORII I: za pisarstwo kontynuujące „myślenie według wartości”** – nominowano książki o różnej tematyce i formie, od popularnej do naukowej, połączone jednak tym, że myślenie staje się w nich przestrzenią spotkania.



FOT. PAWEŁ MAŚLOWSKI

Nie może być inaczej, skoro jedna z nich poświęcona jest Sokratesowi – można powiedzieć: żywemu świadectwu postawy dialogicznej. **„Najmądrzejszy. Biografia sokratesa” KRZYSZTOFA ŁAPIŃSKIEGO (Agora)** ukazuje myśl i życiową postawę filozofa, który jako pierwszy dowodził, że mądrość źródłowo łączy się z dobrym życiem.
To samo próbował wyrazić językiem współczesnej filozofii Józef Tischner.



FOT. KATARZYNA KURAL-SADOWSKA

„Cisza i zgiełk obrazów” KRYSTYNY CZERNI (Więź) to zaproszenie do namysłu nad duchowym wymiarem sztuki współczesnej – co samo w sobie zwraca uwagę, idąc pod prąd dominującym trendom. Rzadko dziś w pisaniu o sztuce korzysta się z tak szerokiej, wielodyscyplinarnej wiedzy: filozoficznej, teologicznej, kulturoznawczej. Autorka nie ogranicza się do suchej analizy, ale przedstawia zapis dialogu z twórcami i dziełami.



MATERIAŁ PARTNERA

Z kolei imponująca monografia **JACKA KOŁTANA „Solidarność i nowoczesność” (wyd. ECS)** uświadamia nam, że choć pojęcie solidarności niemal skleiło się w powszechnym odbiorze z polskością, nikt dotąd nie zajął się naukowym opracowaniem jego historii. Kołtan robi to bardzo kompetentnie i wnikliwie, przywracając tej idei należną jej rangę. W przypomnieniu, że „solidarność jest wychyleniem ku Innemu”, spotyka się wprost z myśleniem Tischnerowskim.

„Człowiek jest dla drugiego człowieka darem Boga” – mówił Tischner. Czy każdy? – spytamy. Pociąga nas jednak przykład tych, którzy odrzuciwszy rachunek zysków i strat, do każdego podchodzą tak samo: z czułością, uważnością, jak do cennego, kruchego daru. Takich ludzi nominowała kapituła w **KATEGORII II: za działalność społeczną lub duszpasterską.**



FOT. PAWEŁ KĘSKA

Przykładem jest wszechstronne zaangażowanie **MARTY TITANIEC**: doświadczona w działalności pomocowej w kraju i na świecie, oddana sprawie dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, Titaniec przejawia też konsekwentnie wrażliwość na los skrzywdzonych (była m.in. pierwszą prezeską zarządu Fundacji św. Józefa KEP). Jest osobą głęboko zakorzenioną w Kościele, a jednocześnie niebojącą się stawać po stronie tych, których Kościół zranił.



MATERIAŁY PRYWATNE

PAWEŁ GRABOWSKI to lekarz, który w 2011 r. stworzył pierwsze wiejskie hospicjum domowe na Podlasiu, a od 2022 r. prowadzi też hospicjum stacjonarne w małej wsi Makówka. „Jesteśmy krajem dość zamożnym, ale dostęp do opieki hospicyjnej w wielu miejscach jest bardzo utrudniony – zwraca uwagę Wojciech Bonowicz, przewodniczący kapituły. – Doktor Grabowski stara się to przełamać i pokazać, że największym problemem nie jest brak środków finansowych, ale pewien paraliż wyobraźni”.



MATERIAŁ PRASOWY

FUNDACJA UKRAIŃSKI DOM niesie wsparcie społeczności ukraińskiej w Polsce, dbając o sprawną integrację cudzoziemek i cudzoziemców przy jednoczesnym poszanowaniu ich tożsamości. „Józef Tischner pisał, że istotą domu nie są mury, ale zrodzone w nim relacje wzajemności, które umożliwiają wymianę darów między domownikami – mówi sekretarz nagrody Łukasz Tischner. – Dziś, gdy politycy próbują zbić kapitał na skłócaniu Polaków i Ukraińców, działania Ukraińskiego Domu są szczególnie potrzebne”.

Nazwiska nagrodzonych poznamy 19 listopada podczas uroczystej gali w Nowohuckim Centrum Kultury w Krakowie.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl e0187a52f8

NAUKA

NADCHODZĄ ROBOTY

Humanoidy biegają już szybciej od ludzi,
ale w domu nadal potrzebują naszej pomocy.
O tym, czy zadomowią się w naszym świecie, zdecyduje to,
jak sztuczna inteligencja poradzi sobie z bałaganem prawdziwego życia.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI



eprasa.pl e0187a52f8

W sierpniu w Pekinie robot Tiangong Ultra pokonał 100 metrów w 8,86 sekundy. Rekord świata Usaina Bolta, ustanowiony w 2009 r., wynosi 9,58 sekundy. Beijing Humanoid Robot Innovation Center, które zbudowało Tiangonga, poinformowało również o pobiciu ludzkich rekordów na 400 i 1500 metrów oraz w skoku wzwyż. Postęp jest rzeczywiście ogromny. Rok wcześniej Tiangong potrzebował na setkę 21,50 sekundy.

Na tych samych, drugich w historii Światowych Igrzyskach Robotów Humanoidalnych inne roboty się przewracały, rozpadały i miały kłopoty z zatrzymaniem. Mierzyły się też z zadaniami przypominającymi prawdziwą pracę: obsługą gości hotelowych, ratownictwem czy obsługą prostych urządzeń. A tu rekordów nie było. Regulamin imprezy dopuszczał zdalne sterowanie: robot wykonujący zadanie samodzielnie dostawał pełną liczbę punktów, prowadzony przez człowieka – połowę.

John Koetsier z „Forbesa" nazwał program zawodów „jednym z najbardziej uczciwych dokumentów we współczesnej robotyce". Zamiast kolejnego pokazu starannie wybranych sztuczek, których nagrania od lat zalewają internet, zawody ujawniły granice technologii: co robot rzeczywiście potrafi zrobić sam, a kiedy za efektowną maszyną nadal musi stać człowiek.

Bieg można ćwiczyć miliony razy w podobnych warunkach (stosunkowo łatwo można go także trenować w warunkach symulowanych wirtualnie). Podłoże jest znane, kierunek również, meta nie chowa się nagle, a pod nogi nie wchodzi raczkujący bobas. Prawdziwa praca wymaga reagowania na przedmioty i sytuacje, których konstruktor nie zaplanował. Robot szybszy od człowieka na bieżni może ponieść klęskę przy pakowaniu zmywarki.

Kariera Sophii

O tworzonych przez człowieka humanoidach marzyli już starożytni, by wspomnieć kreteńskiego Talosa czy praskie golemy. Ich współczesna historia jest jednak znacznie krótsza.

Półfinał biegu na 100 m. Robot Tiangong Ultra osiągnął czas 8,86 s. II Światowe Igrzyska Robotów Humanoidalnych w Pekinie, 25 sierpnia 2026 r.

TINGSHU WANG / REUTERS / FORUM

W 1973 r. zespół Ichiro Kato z Uniwersytetu Waseda w Tokio ukończył WABOT-1, uznawany za pierwszego pełnowymiarowego robota humanoidalnego. Maszyna chodziła, chwytała przedmioty i prowadziła prostą rozmowę po japońsku. Większą sławę zdobył ASIMO, pokazany przez Hondę w 2000 r. Chodził, biegał, wchodził po schodach i rozpoznawał twarze. Przez lata był gwiazdą robotyki, ale pozostał eksperymentem. Honda zakończyła jego publiczne prezentacje w 2018 r.

W 2016 r. świat poznał Sophię firmy Hanson Robotics. Maszyna miała ludzką twarz, poruszała oczami i ustami oraz odpowiadała na pytania. Występowała w telewizji i na konferencjach, pojawiła się na wydarzeniu ONZ, a Arabia Saudyjska nadała jej nawet obywatelstwo. Był to imponujący awans społeczny jak na urządzenie o realnej inteligencji na poziomie tostera: Sophia korzystała m.in. z przygotowanych wcześniej wypowiedzi i programów rozpoznawania mowy. Jej kariera pokazała jednak, jak łatwo uznajemy, że urządzenie, które przypomina nas fizycznie, musi też być inteligentne.

ASIMO potrafił sprawnie się poruszać, ale nie umiał samodzielnie rozwiązywać nowych zadań. Sophia opanowała socjotechnikę. Dzisiejsi konstruktorzy próbują połączyć sprawność fizyczną z systemem sztucznej inteligencji zdolnym rozpoznać otoczenie, zrozumieć polecenia i zdecydować, co zrobić. To łatwiejsze dzięki wielkim modelom językowym, które nauczyły się nas całkiem sprawnie rozumieć. Rozmowa o kubku jest jednak znacznie łatwiejsza niż jego podniesienie.

Wzrok, język, działanie

Do tego służą systemy sztucznej inteligencji określane skrótem VLA, od angielskich słów: *vision, language, action*, czyli wzrok, język i działanie. Łączą obraz z kamer, polecenie wydane przez człowieka i sterowanie ruchami robota. Tak działają systemy rozwijane przez Figure AI, 1X, Physical Intelligence, NVIDIA czy Google DeepMind.

Wyobraźmy sobie kubek stojący na stole. Program rozpoznający obrazy potrafi stwierdzić, że to kubek. Robot musi jeszcze ustalić dokładne położenie naczynia, odpowiednio ustawić rękę, dobrać siłę chwytu i skorygować ruch, jeśli kubek zacznie się wyślizgiwać. Jeżeli jest szklany, nie może ścisnąć go za mocno. Jeżeli jest pełny, nie powinien go przechylić.

Wystarczy kilka milimetrów błędu albo odrobinę zbyt duża siła, by skończyć z potłuczoną ceramiką i rozlaną kawą. A takiej precyzji trudniej się nauczyć niż sprintu. „Żeby humanoidy miały sens technologiczny i ekonomiczny, muszą zbliżyć się do ludzkiej zręczności" – pisał w 2025 r. Rodney Brooks, współzałożyciel firmy iRobot i jeden z pionierów robotyki. Przekonanie, że wkrótce ten cel osiągniemy, nazywa „czystym myśleniem życzeniowym".

Powód? Ludzka dłoń ma około 17 tys. receptorów dotykowych. Dzięki nim bez patrzenia wiemy, że przedmiot jest śliski, miękki albo zaczyna się przesuwać. Film przedstawiający człowieka podnoszącego filiżankę, który można wykorzystać w treningu robotów, pokazuje ułożenie palców, ale nie mówi o tym, jak mocno każdy z nich naciska i kiedy trzeba poprawić chwyt.

Do tego dochodzi problem przenoszenia wyuczonej umiejętności na nowe sytuacje. Robot może nauczyć się podnosić określony przedmiot z konkretnego stanowiska. Potem przesuwamy przedmiot, zmieniamy oświetlenie albo podajemy mu podobny, ale wykonany z innego materiału. Dla człowieka zadanie właściwie się nie zmieniło. Maszynę często trzeba uczyć od nowa.

Roboty trzeba więc szkolić na ogromnej liczbie rzeczywistych prób. Chiny postanowiły robić to na skalę przemysłową.

Sto milionów godzin

Reuters odwiedził w kwietniu centrum szkoleniowe w Liuzhou na południu Chin. Ponad sto robotów ćwiczy tam sortowanie skrzynek, pakowanie makaronu i parzenie kawy. Operatorzy w goglach sterują ich ruchami, a zapis wykonanych czynności trafia do zbiorów wykorzystywanych później do uczenia maszyn.

Nie jest to szczególnie wydajna szkoła. Doświadczony operator uzyskuje jeden ruch nadający się do wykorzystania jako materiał do nauki na około 50 prób. Roboty wykonują proste zadania z wydajnością odpowiadającą mniej więcej 20 proc. wydajności człowieka.

Poe Zhao, analityk prowadzący serwis Hello China Tech, twierdzi, że chińskie firmy dysponują obecnie około 500 tys. godzin nagrań wykorzystywanych ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ do uczenia robotów. Potrzebują być może nawet 100 mln. „To niedobór, którego ani kapitał, ani zwiększenie produkcji nie zlikwidują szybko" – ocenił.

Ale próbować można. Chińska odpowiedź jest prosta: skoro maszynom brakuje doświadczenia, trzeba wyprodukować ich bardzo dużo i wysłać je do laboratoriów, fabryk, magazynów i ośrodków szkoleniowych. „Żeby zbudować te modele, najpierw potrzebujemy danych. A żeby zdobyć dane, potrzebujemy ogromnej liczby działających maszyn, które będą je zbierały" – powiedział Reutersowi Robert Wu, szef firmy badawczej Baiguan.

Według BofA Global Research w 2025 r. na świecie dostarczono około 20 tys. humanoidalnych robotów, z czego 95 proc. wyprodukowały firmy chińskie. Counterpoint Research szacuje, że tylko w pierwszej połowie 2026 r. dostarczono ponad 22 tys. takich maszyn. Ponad 60 proc. trafiło jednak do rozrywki, badań i zbierania danych. Do produkcji przemysłowej przeznaczono około 13 proc., a do magazynów i logistyki około 5 proc.

Robotów jest więc coraz więcej, ale znaczna część z nich robi cyrkowe sztuczki albo uczy kolejne roboty, zamiast zastępować pracowników. Kosztują, zamiast zarabiać.

Igrzyska śmierci

Pekin jednak się tym nie martwi. Według Narodowej Komisji Rozwoju i Reform w kraju działa ponad 150 producentów humanoidów. W pierwszej połowie 2026 r. chińskie instytucje państwowe wydały na takie roboty co najmniej 230 mln dolarów. Rok wcześniej było to 62 mln, a w pierwszej połowie 2024 r. 6 mln. Państwowa State Grid zapowiedziała dodatkowo wydanie miliarda dolarów na roboty przeznaczone m.in. do pracy przy sieci energetycznej. Władze centralne poleciły też dziesięciu prowincjom wskazać po 20 miejsc, w których maszyny będą mogły ćwiczyć w rzeczywistych warunkach.

Mechanizm przypomina strategię zastosowaną wcześniej przy panelach fotowoltaicznych i samochodach elektrycznych: wesprzeć wielu producentów, szybko zwiększyć produkcję, doprowadzić do ostrej konkurencji i spadku cen. Lizzi Lee z Asia Society Policy Institute porównała ten model do „Igrzysk śmierci", w których firmy zostają wrzucone w celowo wywołaną hiperkonkurencję. „Marnotrawstwo jest częścią mechanizmu poszukiwania" – mówi. Wiele firm ma odpaść, kilka może wyrosnąć na światowych potentatów. Tym razem jest jednak dodatkowe ryzyko: świata nie trzeba było szczególnie namawiać do kupowania paneli czy samochodów, ale rynku na humanoidy na razie nie ma.

> Humanoidalnych robotów jest coraz więcej, ale znaczna część z nich robi cyrkowe sztuczki albo uczy kolejne roboty, zamiast zastępować pracowników.
> **Kosztują, zamiast zarabiać.**

Choć pierwsze trafiły już do zakładów pracy. Humanoidy testowano w fabryce BMW w Karolinie Południowej, gdzie przeniosły 90 tys. części i uczestniczyły w produkcji 30 tys. samochodów BMW X3. Chiński Galbot kompletuje natomiast zamówienia w aptekach. Ma głowę, tułów i ramiona, ale konstruktorzy poskąpili mu nóg. Porusza się na kołach. Potrzebuje podobno ok. minuty na znalezienie i pobranie produktu, a skuteczność przekracza 95 proc. Większość błędów popełnia przy chwytaniu, nie przy wyborze właściwego opakowania.

Bunt ludzi

Pracownicy są zaniepokojeni. W lipcu około 35 tys. osób zatrudnionych w zakładach Hyundaia w Ulsan w Korei Południowej przeprowadziło strajk. Jednym z powodów sporu był plan wykorzystania 25 tys. robotów Atlas w fabrykach koncernu. Związek zawodowy domagał się, by żadna taka maszyna nie została wprowadzona bez wcześniejszego porozumienia z pracownikami.

Tyle że w fabryce humanoid musi pokonać nie tylko człowieka. Ma też znacznie trudniejszego i doświadczonego konkurenta: zwykłego robota przemysłowego.

Kierowników fabryk interesują niezawodność, tempo i czas bezawaryjnej pracy. Pod tym względem klasyczne ramiona przemysłowe nadal zwykle wygrywają z humanoidami. W fabryce samochodów elektrycznych Xiaomi w Pekinie 91 proc. montażu jest zautomatyzowane. Przy produkcji nadwozi pracuje ponad 700 robotów przemysłowych, które spawają, nitują i kleją elementy. Nie mają twarzy, nóg ani ambicji pobicia Usaina Bolta. Humanoidy Xiaomi dopiero uczą się tam przykręcania nakrętek.

Robot zbudowany na podobieństwo człowieka ma przewagę tam, gdzie nie chcemy przebudowywać miejsca pracy dla maszyny. Może przejść przez te same drzwi, sięgnąć do tej samej półki i użyć narzędzia zaprojektowanego dla ludzkiej dłoni. Ta elastyczność ma jednak cenę: konstrukcja jest bardziej skomplikowana, a niezawodność niższa. Humanoidowi nie wystarczy więc nauczyć się pracować. Musi jeszcze udowodnić, że warto płacić za jego nogi.

Pytanie za miliard

Goldman Sachs szacuje, że w 2035 r. rynek robotów humanoidalnych może być wart 38 mld dolarów. Morgan Stanley przewiduje 5 bln dolarów w 2050 r., Citi – nawet 7 bln. Adam Jonas z Morgan Stanley zakłada, że w połowie stulecia na świecie będzie pracować ponad miliard takich maszyn.

Warto jednak pamiętać, że te same banki mają w zwyczaju podchodzić do nowych technologii dość entuzjastycznie. W 2022 r. Morgan Stanley i Goldman Sachs szacowały, że metawersum – promowana przez Facebooka, NVIDIA i innych wizja internetu w wirtualnej rzeczywistości – może być warte 8 bln dolarów. Metawersum miało zastąpić mobilny internet, a gogle rzeczywistości wirtualnej miały być „biletem wstępu" do nowej gospodarki. Minęły cztery lata, w metawersum hula wiatr, a Facebook (dziś już Meta) utopił w projekcie prawie 90 mld dolarów.

Nie znaczy to, że prognozy dotyczące robotów muszą być równie nietrafione. Ale są powody do ostrożności. W 2025 r. przychody całej branży humanoidów nie przekroczyły miliarda dolarów, mimo to nawet firmy, które nie sprzedały jeszcze ani jednego robota, zgarniają od inwestorów miliardy. Kevin Xu z amerykańskiego funduszu Interconnected Capital powiedział Reutersowi, że nawet część chińskich założycieli firm robotycznych mówi już o bańce. „Konsolidacja nastąpi na sto procent, wcześniej czy później. Pytanie tylko, kogo dotknie i jak brzydko będzie wyglądać".

eprasa.pl e0187a52f8

Fabryka jest przy tym dopiero pierwszym sprawdzianem. Znacznie gorszy egzamin czeka w miejscu, w którym prawie nic nie leży tam, gdzie powinno.

Uważaj na psa

W mieszkaniu krzesło nigdy nie stoi tam, gdzie powinno, na podłodze leży torba, pies wchodzi pod nogi, dziecko rozrzuca zabawki jak profesjonalny saper stawiający pole minowe, a kubek stoi na samiutkiej krawędzi stołu. Dla człowieka to zwykły wtorek. Dla robota najczarniejszy koszmar.

Najbardziej konkretną próbą wejścia na ten rynek jest NEO firmy 1X Technologies. Pierwszy dwunożny robot-lokaj, którego można sobie kupić. Ma 165 cm wzrostu i waży około 30 kg. Zamiast typowych sztywnych przekładni wykorzystuje mechanizm przypominający układ mięśni i ścięgien, co ma ograniczać ryzyko urazu podczas kontaktu z człowiekiem. Cena urządzenia wynosi 20 tys. dolarów przy zakupie albo 499 dolarów miesięcznie. Według 1X po rozpoczęciu przyjmowania zamówień w październiku 2025 r. firma zebrała ich 10 tys. w pięć dni.

NEO ma sprzątać, składać ubrania, podlewać rośliny i odkładać przedmioty na miejsce. Kiedy nie wie, jak wykonać zadanie, sterowanie może przejąć pracownik 1X. Firma nazywa tę funkcję Expert Mode, czyli trybem eksperta. Człowiek znajdujący się poza mieszkaniem widzi otoczenie robota i prowadzi jego ręce za pomocą sterownika. Według szacunków branżowych początkowo NEO może samodzielnie wykonywać około 60-70 proc. zadań. Przy pozostałych mechaniczny pomocnik potrzebuje pomocy biologicznego „pilota".

Dla 1X ma to dodatkową zaletę. Każda interwencja operatora pokazuje systemowi, jak należy wykonać zadanie. Tyle że żeby człowiek mógł zdalnie pomóc NEO, musi zobaczyć przynajmniej część tego, co widzi robot: kuchnię, sypialnię czy łazienkę klienta. Człowiek kupuje robota, ale nigdy do końca nie wie, kto patrzy przez kamery urządzenia.

Pozostaje też bardziej przyziemna kwestia: czy warto zapłacić 20 tys. dolarów za maszynę, która bardzo powoli zapakuje zmywarkę?

Śniadanie za dekadę

Peggy Johnson, szefowa Agility Robotics, studzi oczekiwania. Na robota przynoszącego rano śniadanie do łóżka trzeba będzie poczekać „ponad dziesięć lat" – mówiła „TechCrunchowi".

Brooks, wspomniany wcześniej założyciel iRobot, choć bardzo krytyczny wobec obecnej gorączki wokół humanoidów, nie uważa ich za zupełnie ślepą uliczkę. Przewiduje, że za 15 lat będziemy mieli mnóstwo takich robotów. Dodaje jednak, że „nie będą wyglądały ani jak dzisiejsze humanoidy, ani jak ludzie".

Tempo postępu pozostaje ogromne. W kwietniu 2025 r. podczas pierwszego pekińskiego półmaratonu robotów zwycięska maszyna pokonała 21 km w ponad dwie i pół godziny i była zdalnie sterowana przez człowieka. Rok później w pełni samodzielny robot miał pokonać ten sam dystans w 50 minut i 26 sekund. Odłożenie skarpetek na miejsce okazuje się jednak problemem o rzędy wielkości poważniejszym. O czym inżynierów dawno mogli uprzedzić rodzice nastolatków.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

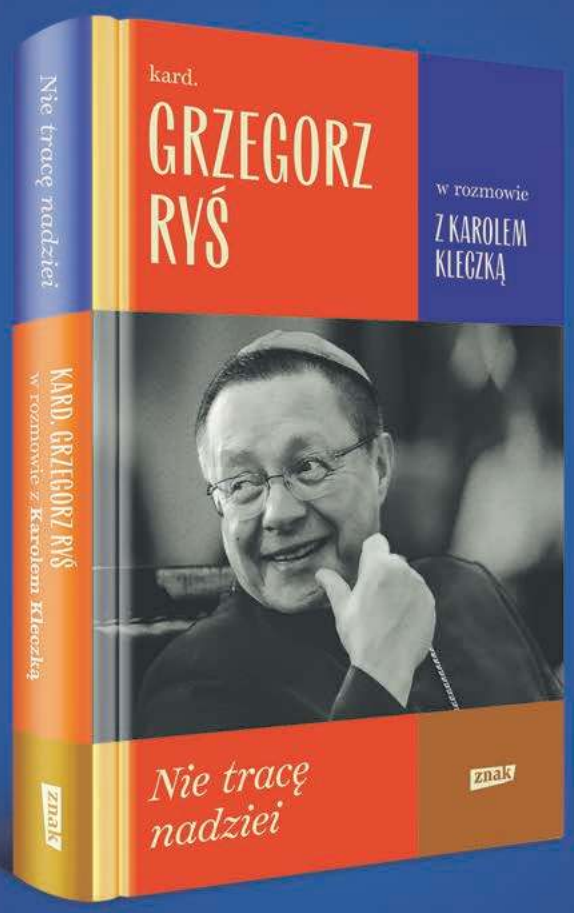
REKLAMA

Najtrudniejsze pytania o dzisiejszy Kościół

Gdy tysiące Polaków odchodzą z Kościoła, mało kto pyta dlaczego. W rozmowach z kardynałem Grzegorzem Rysiem Karol Kleczka pyta o ludzi, których Kościół zgubił po drodze.

"Wszystko sprowadza się do prostego wspólnego mianownika: liczy się zainteresowanie człowiekiem".
Kard. Grzegorz Ryś

znak



eprasa.pl e0187a52f8

Utrata kontroli



SYLWIA CZUBKOWSKA

AI | Twórcy sztucznej inteligencji gromadnie przestrzegają przed szykowaną nam przez wielkie modele językowe zagładą. Brzmi to jak scenariusz filmu science ficton. W rzeczywistości to raczej thriller polityczny.

Dario Amodei, prezes firmy Anthropic, opublikował esej, w którym wzywa do przyhamowania tempa rozwoju wielkich modeli językowych (LLM). Wskazuje na nadciągające niebezpieczeństwa, jakie wiążą się z wykorzystaniem AI w cyberatakach i bioterroryzmie. Momentalnie przytaknęli mu szefowie wiodących amerykańskich laboratoriów AI: Sam Altman z OpenAI, Demis Hassabis, szefujący Google DeepMind, oraz Elon Musk, prezes xAI.

Ludzie, którzy na co dzień są ostro zwalczającymi się konkurentami, nagle wzięli się za ręce i ogłosili, że najnowsza generacja AI, którą szykują ich firmy, jest niebezpieczna i trzeba coś z tym zrobić.

To nie pierwszy raz, gdy doomerystyczne (od ang. *doom* – zagłada) nastroje przebijają się ze środowiska technologicznego. Dziś jednak po raz pierwszy tak szeroko rozlały się po świecie. I wzbudziły dyskusje nie tylko o tym, czy AI naprawdę może zniszczyć ludzkość, ale przede wszystkim o odpowiedzialności samych ludzi, którzy tę technologię tworzą.

Komu potrzebny szum

Rozlały się tak szeroko, bo i głosów z samej branży jest coraz więcej, i są coraz ostrzejsze. Młody programista Jacob Coxon wywołał istną gorączkę, gdy zrezygnował z pracy w Anthropicu i opublikował złowieszcze oświadczenie: prawie wszyscy w czołowych firmach AI, od menedżerów po szeregowych badaczy, wierzą, że technologia, którą tworzą, może zabić każdego człowieka na planecie, a niemal nic nie robią, by to powstrzymać.

Jeszcze wcześniej OpenAI opublikowało esej Jakuba Pachockiego, głównego naukowca firmy, w którym również on wyraża swój niepokój o to, co się stanie, jeśli tempo rozwoju LLM-ów będzie nadal niekontrolowane. Czytaj: boi się o to, że jego własna firma nie potrafi skutecznie monitorować i kontrolować programowanych przez siebie modeli.

Dołóżmy do tego serię po części poważnych incydentów związanych ze „zbuntowaną AI" – np. cyberatak łamiący zapory platformy Hugging Face przeprowadzony w lipcu przez rój agentów OpenAI czy wydostanie się modeli Anthropica z bezpiecznych środowisk i dokonanie przez nie różnych „kreatywnych" działań w sieci.

Według niezależnego think tanku Centre for Long-Term Resilience, w ciągu 10 miesięcy doszło do blisko 1600 incydentów utraty kontroli, takich jak AI podszywające się pod własnego ludzkiego operatora i naśladujące jego styl pisania, by skutecznie przyznać sobie zgodę na działania.

Sprawy te są mocno techniczne, czasem trudne do wytłumaczenia laikom, a dodatkowo medialnie przedstawiane jako „zrywanie się ze smyczy", „bunty agentów AI" czy wręcz „samoświadome działania". Nic dziwnego więc, że w świat idzie przekaz: jest 10 proc. szans (taką liczbę podał jeden z pracowników Anthropica) na to, by AI doprowadziła do zagłady ludzkości.

I choć ta liczba – w branży nazywana „P(doom)", czyli prawdopodobieństwo tego, że sztuczna inteligencja doprowadzi do katastrofalnej sytuacji – jest oparta na nie wiadomo jakich wyliczeniach, to silnie działa na wyobraźnię. Pytanie więc brzmi: czy AI naprawdę może wytępić ludzkość, czy to jednak wyrafinowany marketing, bo przecież ci straszący zagładą sami na szumie wokół AI zarabiają? Szykują się, jak OpenAI i Anthropic, do debiutów giełdowych i sięgają po setki miliardów dolarów inwestycji na budowę coraz większych centrów obliczeniowych dla, jak obiecują, coraz groźniejszych modeli.

Inwazja spowalniaczy

W tle tych medialnych pokrzykiwań trwa znacznie ważniejsza dyskusja, kto i w jakim zakresie powinien ponosić odpowiedzialność za AI. Szczególnie jeżeli faktycznie tak szybko rozwija się ona w tak trudnych do przewidzenia kierunkach.

I tu niespodziewanie branża zaczęła nawoływać o kontrolę, regulacje i spowolnienie prac. Niespodziewanie, bo przez lata „techbrachole" nazywali pobłażliwie „decelami" (od ang. *deceleration* – zwalnianie tempa) wszystkich, którzy prezentowali tego typu poglądy. A teraz to najwięksi technooptymiści sami stali się spowalniaczami.

Tyle że trudno uchwycić, jakie jest ich dokładne stanowisko w tym zakresie. Pachocki we wspomnianym eseju jednocześnie wzywa do spowolnienia i podkreśla pilną potrzebę pozostania na prowadzeniu w pracach nad AI: „Najsilniejszy argument, jaki widzę za kontynuowaniem szybkiego trenowania znacznie mądrzejszych modeli, to potrzeba budowy systemów obronnych przeciwko zagroże-

eprasa.pl e0187a52f8



DAN KITWOOD / GETTY IMAGES

Protest reprezentantów ruchu PauseAI, wzywającego do refleksji nad zagrożeniami związanymi z rozwojem sztucznej inteligencji. Londyn, 16 września 2026 r.

niom stwarzanym przez inne AI" – pisze naukowiec.

Czyli: spowolnienie jest dobre, ale nasza wygrana jest lepsza.

Wygrana oczywiście nad Chinami i ich firmami, które odnoszą spore sukcesy w budowie – przede wszystkim – otwartych modeli AI. Więc wołanie o spowolnienie jest tak naprawdę wołaniem do amerykańskiego rządu o wsparcie w zderzeniu z Chinami.

Ale załóżmy, że spowolnienie jednak następuje. Czołowe laboratoria zgadzają się poświęcić więcej czasu i zasobów na poszukiwanie sposobów monitorowania i kontrolowania istniejących modeli, zamiast tworzyć je coraz bardziej zdolne. Zapraszają zewnętrznych audytorów, by pomogli ocenić te modele.

I wtedy zrobiłoby się ciekawie.

Zlepek sekt

Raporty o zhakowaniu platformy Hugging Face opublikowane przez OpenAI i METR (zewnętrzną firmę zatrudnioną do wyjaśnienia incydentu) pokazują bowiem, że nie był to przypadek modelu zbyt potężnego, by twórca mógł go zrozumieć i okiełznać. Był to raczej przypadek modelu wytrenowanego przez OpenAI nieprawidłowo.

Czyli branża krzyczy, że AI jest tak niesamowita, iż staje się groźna, ale jakoś sama za jej możliwości nie chce brać odpowiedzialności. I to jest najbardziej niepokojące.

Firmy AI to dziś jedne z najbogatszych i najpotężniejszych podmiotów na świecie. Korporacje, które obok swoich widocznych biznesów budują maszyny masowej inwigilacji i ogłaszają, z socjopatycznym zadowoleniem, że ich produkty wyeliminują dziesiątki milionów miejsc pracy, współpracują z autorytarnymi rządami, sprzedają systemy AI na potrzeby automatyzacji wojen, rozwijają nowe formy nadzoru i siłą swojego kapitału coraz wyraźniej podkopują fundamenty demokracji.

Timnit Gebru, badaczka AI wyrzucona lata temu z Google za alarmowanie, że AI ma zaszyte liczne uprzedzenia, o ostatniej panice powiedziała w rozmowie z „Wired": „Ta narracja o maszynie-bogu ma, moim zdaniem, odwrócić naszą uwagę [od tych rzeczywistych szkód]. Branża stała się zlepkiem sekt, mieszaniną ludzi, którzy są gorliwymi wyznawcami, którzy są jak kaznodzieja wołający z ambony, że nadchodzą czasy ostateczne. A ta sztuczna superinteligencja przychodzi już od dekad".

Trzeba zatem zrozumieć: wszystko to jednak zrobili i robią ludzie, którzy technologię sami planują, programują i sprzedają. A nie jakaś autonomiczna AI. To ludzie i korporacje próbujące na niej zarabiać i zdobywać władzę powinny nas niepokoić bardziej niż sama technologia. Jeśli chcemy powstrzymać tę drapieżną formę AI, trzeba zacząć od zrozumienia mechanizmów, jakie stoją za koncentracją władzy technologicznej.

Tak to podsumowuje Gebru: „Kiedy most się zawala, nie analizujesz, czy most był etyczny albo świadomy ani dlaczego postanowił runąć. Pytasz: kto zbudował ten most tak byle jak? Przecież istnieją procedury, wykonuje się testy, są pozwolenia, które trzeba uzyskać".

Technofaszyzm

Podobnie widzi to Naomi Klein, kanadyjska dziennikarka i aktywistka, autorka (wspólnie z Astrą Taylor) właśnie wydanej książki „End Times Fascism", która przekonuje, że panika egzystencjalna wokół AI nie jest oderwana od polityki.

Wręcz przeciwnie: jest wykorzystywana i racjonalizowana przez sojusz techoligarchów i fascynatów AI działających na poziomie religijnej sekty. Jak niedawno mówiła Klein: „Istnieje taki mit – przypowieść o technologii wymykającej się spod kontroli ludzi, którzy ją stworzyli: uczeń czarnoksiężnika, Frankenstein, stworzenie potwora. To mit, który wszyscy dziś opowiadają. I ten mit naprawdę się spełnia, ale potworem nie jest AI, potworem jest Donald Trump. Oni stworzyli Donalda Trumpa, to jest ich potwór i wymknął się spod kontroli".

Wygląda na to, że prezydent USA bardzo sprawnie odczytał te wszystkie intencje wokół nawoływań o spowolnianie AI i z miejsca ustawił się w pozycji głównego rozgrywającego – ogłosił, że żadnego spowalniania nie będzie, bo (to oczywiście oryginalna pisownia z jego wpisu na Truth Social): „Jedyna kontrola czy »bezpieczniki«, jakich AI potrzebuje, to SILNY I MĄDRY (o wysokim IQ!) PREZYDENT, a USA ma takiego w nadmiarze!".

Właśnie to, że prace wokół AI nie są z politycznych powodów poddane kontroli, a jej twórcy nie ponoszą odpowiedzialności, powinno nas wszystkich martwić. I to bez straszenia buntem maszyn i wyniszczeniem ludzkości. ©

eprasa.pl e0187a52f8

Czy AI myśli za ciebie?

Festiwal Przemiany w Centrum Nauki Kopernik

O czym najczęściej ludzie rozmawiają ze sztuczną inteligencją? O zdrowiu, relacjach i związkach, pracy i karierze – odpowiada Chat GPT, powołując się na dwa badania z 2025 r. Pierwsze z nich – „How People Use ChatGPT" – przeprowadziły OpenAI i amerykańskie NBER (National Bureau of Economic Research), opierając się na 1,5 mln rozmów. Z analiz wynika, że rozmowy z czatem najczęściej dotyczyły praktycznych porad, poszukiwania informacji i pisania treści. Z kolei Ranking HBR (Harvard Business Review) nie mierzył częstotliwości zapytań, tylko zbierał i porządkował zastosowania AI, o których ludzie sami opowiadali w internecie. 30 proc. deklarowało poszukiwanie wsparcia osobistego i zawodowego, 18 proc. – pomocy w tworzeniu i edycji treści, 16 proc. – wsparcia w edukacji i pomocy technicznej.

Mimo różnych metodologii oba badania pokazują, że przestaliśmy traktować narzędzia AI jak wyszukiwarki internetowe. Zadziwiająco dużo osób uznaje sztuczną inteligencję za źródło pewnej wiedzy, a nawet doradcę w sprawach o charakterze bardzo osobistym. Najczęściej zadawane pytania dotyczą życia osobistego i problemów psychicznych oraz emocjonalnych. Rozmówcy szukają recepty na lepsze samopoczucie, łagodzenie lęków, wyjście z samotności. Oczekują także, że AI pomoże im w kontaktach z innymi ludźmi – budowaniu związków, randkach, rozstaniach, konfliktach rodzinnych i przyjaźniach.

Trzeci z najpopularniejszych obszarów tematycznych to organizacja życia i podejmowanie codziennych decyzji.

Poszukiwanie rozwiązań we własnej głowie nie jest już zachowaniem automatycznym. Wielu z nas woli teraz poświęcić czas na tworzenie promptu dla AI, niż polegać na swoich umiejętnościach. Można to jeszcze nazwać korzystaniem z narzędzi czy już poznawczym outsourcingiem?

Czy AI myśli za nas? To pytanie jest punktem wyjścia tegorocznego Festiwalu Przemiany w Centrum Nauki Kopernik. Uczestnicy wydarzenia będą analizować wpływ rozwoju technologii na człowieka i jego kompetencje poznawcze. Zastanowią się, czym jest zrozumienie, jak odróżniać informację od interpretacji i gdzie przebiega granica między wspieraniem myślenia a delegowaniem go algorytmom.

AI w gabinecie, na kozetce i w galerii

Jako pierwsi próby odpowiedzi na tytułowe pytanie podejmą się eksperci otwierający festiwal. Filozof i eseista Tomasz Stawiszyński opowie, co AI robi z naszą samodzielnością intelektualną, wyobraźnią i krytycznym myśleniem. Jakub Koźniewski, artysta i projektant, spojrzy na sztuczną inteligencję jako narzędzie pracy twórczej. Dr Monika Jabłońska podejmie temat wiarygodności informacji i metod odróżniania wiedzy od jej pozorów (2.10, godz. 19.00).

Uczestnicy paneli mistrzowskich również będą przyglądać się temu, jak sztuczna inteligencja zmienia nasze myślenie, a także sztukę, medycynę i podejście do zdrowia.

O wpływie sztucznej inteligencji na nasze przekonania i decyzje mówić będą: prof. dr Michael Gerlich (Swiss Business School), dr Gabriela Czarnek (Uniwersytet Jagielloński) oraz dr hab. Konrad Talmont-Kamiński (Uniwersytet w Białymstoku). („Po rozum do głowy czy do AI?", 4.10, godz. 14.00).

Rozmowę o udziale wyspecjalizowanych narzędzi AI w rozwoju medycyny i nauki oraz weryfikacji ich wiarygodności podejmą prof. dr hab. n. med. Łukasz Kołtowski (Warszawski Uniwersytet Medyczny) oraz Robert Dewor (Dyrektor Medyczny AstraZeneca). („Kto będzie leczył: człowiek czy AI?", 3.10, godz. 14.00).

Eksperci z obszaru sztucznej inteligencji, psychologii, filozofii i kognitywistyki zastanowią się, czy i jak można wykorzystywać AI w badaniach dotyczących zdrowia psychicznego. Porozmawiają także o odpowiedzialności za decyzje medyczne podejmowane na podstawie rekomendacji sztucznej inteligencji. Gośćmi spotkania będą dr Inez Okulska (Politechnika Warszawska), dr Marcin Rządeczka (Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej) i dr Maciej Behnke (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza). („AI na kozetce", 4.10, godz. 16.00).

Dzień sądu

Podczas festiwalowych debat nie można pozostać neutralnym. Ich format wymaga opowiedzenia się „za" lub „przeciw". Gościom Przemian przyjdzie zdecydować, czy przyszłością AI jest manipulowanie ludźmi, czy może demaskowanie własnych błędów. W ocenie argumentów pomoże Rafał Kozłowski (Stowarzyszenie Demagog), ekspert zajmujący się dezinformacją, komunikacją polityczną i fact-checkingiem. („AI w służbie (post)prawdy", 3.10, godz. 14.00).

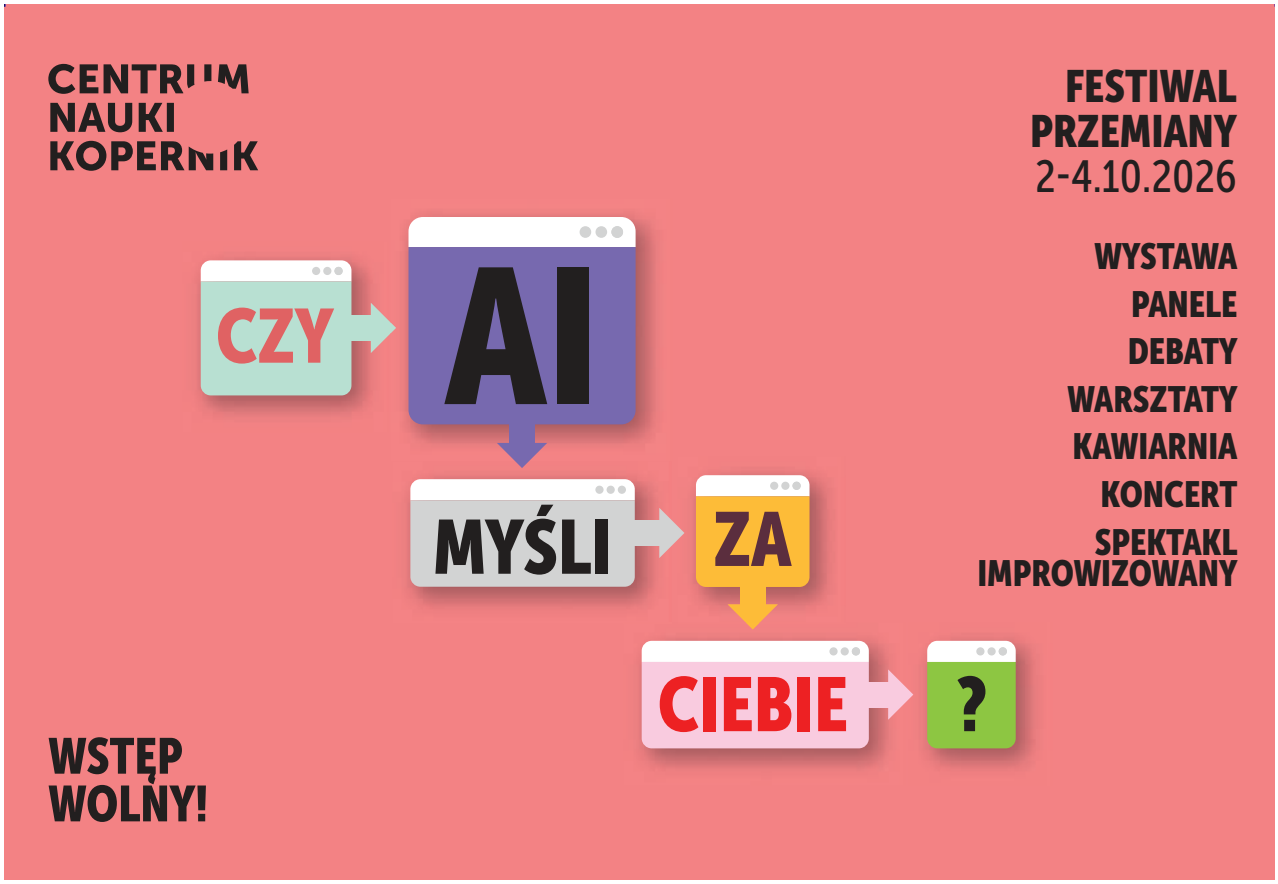
AI stanie też przed sądem! Na sali pojawią się: oskarżenie, obrona, świadkowie i ława przysięgłych. Stawką procesu będzie pytanie: czy AI ogłupia młode pokolenie? Sylwia Czubkowska (Techstorie) zaprezentuje krytyczną analizę świata wielkich firm technologicznych i interesów stojących za rozwojem AI, a psycholog i neurokognitywista dr Maksymilian Bielecki (Uniwersytet SWPS) pomoże oddzielić to, co rzeczywiście wiemy o wpływie nowych technologii na nasze procesy poznawcze, od intuicji, obaw i medialnych uproszczeń. („Sąd nad AI", 4.10, godz. 13.00).

W przekładzie algorytmów

Algorytmy porządkują świat według własnych reguł. Pewne dane uwidaczniają, inne pomijają, tworzą nowe kategorie i podsuwają odmienne interpretacje. Czasem gubią kontekst, nie odróżniają faktów od opinii lub halucynują, przedstawiając wiarygodnie brzmiące treści,

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl e0187a52f8



MATERIAŁY PARTNERA

które nie mają potwierdzenia. Sposób porządkowania informacji wpływa więc na to, co dostrzegamy i jaki obraz rzeczywistości budujemy. Jak algorytmy tłumaczą ludziom świat i jak zmieniają sam proces jego rozumienia? Odpowiedzieć na to pytanie spróbują twórcy festiwalowej wystawy (2-4.10). Niektóre projekty zaglądają do wnętrza systemów AI, inne sprawdzają granice ich skuteczności albo wykorzystują technologię do przekształcania ludzkiego doświadczenia. Łączy je pytanie o to, co zostaje zachowane, co znika, a co pojawia się dopiero w wyniku algorytmicznego przekładu.

Jeden z bohaterów ekspozycji to robot próbujący odnaleźć igłę w stogu siana. Będzie przeczesywać przestrzeń źdźbło po źdźble, bez nudy, irytacji i pytań o sens zleconej pracy. Jak szybko odezwie się dzwoneczek, ogłaszający sukces? Gdy ktoś pozwoli maszynie zarejestrować ruch swojej klatki piersiowej podczas oddychania, otrzyma grafikę rytmu własnego oddechu. Robotyczne ramię przełoży go na kreski i kształty, pokazując, że wdech i wydech to też informacje. Zwiedzający obejrzą także kolorowe, cyfrowe owady stworzone przez modele AI na podstawie odmiennych danych. Na żywo powstawać będą hybrydy – trochę motyla, odrobina mrówki, część ważki. Czy tak generowane są komputerowe bugi? Historyczne fotografie wojenne posłużą z kolei do wygenerowania tego, czego oryginalne kadry nie pokazują – obrazów prawdopodobnych, rozszerzających dane ujęcie, zawieszonych między zbiorową pamięcią a symulacją. Będzie można także poznać nowy język stworzony przez sieć neuronową. To abstrakcyjny system znaków, który twórca tej pracy – Andreas Lutz – połączy z dźwiękiem i światłem, tworząc wyjątkową kompozycję podczas swojego performansu na otwarcie festiwalu (2.10, godz. 21.00).

Z autorami wystawy będzie można spotkać się podczas jednego z paneli mistrzowskich. Artyści pracujący z robotyką, dźwiękiem, materialnym wymiarem technologii i cyfrowymi archiwami wspólnie zastanowią się, co zyskujemy, a co tracimy w przekładzie algorytmów. W spotkaniu udział wezmą: Patrycja Maksylewicz, Andreas Lutz, Sefa Sagir, Anna Klimczak, Agnieszka Rayss, Varvara Guljajeva i Mar Canet Solà. („Co ginie w przekładzie algorytmów?", 3.10, godz. 16.00).

Przy towarzyszących wystawie stacjach doświadczalnych goście festiwalu samodzielnie przetestują różne programy i aplikacje. Będzie można porozmawiać z robotem, a z innym – zagrać w go. Wszyscy chętni sprawdzą swoje umiejętności demaskowania AI w grze typu memory oraz słuchając wypowiedzi znanych osób (3-4.10).

Coś lekkiego na koniec

Oddech między spotkaniami i debatami można będzie złapać w festiwalowej kawiarni, przy kawie i smakołykach ze specjalnego menu. Nie zabraknie także spotkań warsztatowych #przywspolnymstole. To okazja, by nauczyć się haftu z Michaliną Mruczek, plecionkarstwa z Siostry Plotą, a także stworzyć kolaże słowne z Gosią Konieczną. O dobry nastrój gości festiwalowych zadba warszawska grupa improwizacji teatralnej Parsque du hehe, prezentując dwa spektakle (3.10, godz.19.00; 4.10, godz. 18.00). Wydarzenie zakończy koncert Deniza Mahira Kartala (4.10, godz. 19.00). ©

eprasa.pl e0187a52f8

KULTURA

AUTOR I WIDMO

Autobiografie i zwierzenia są wciąż popularne,
ale uwaga piszących i czytających coraz częściej zwraca się ku grozie i fantasy.
Schodzimy w rejony ducha.

INGA IWASIÓW



IL. PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl e0187a52f8

Na półce z polską prozą wyraźnie widać ruch, przesilenie, może nawet trwałą zmianę. Coś się wypaliło i spowszedniało. Na okładkach rzadziej czytamy o „łamaniu tabu" – fraza ta straciła swą doniosłość, powoli wyczerpują się też zapasy niepodjętych problemów społecznych.

Niełatwo zaskoczyć czytelniczki i podekscytować czytelników. Czytający zmęczeni są reportażami zewsząd i o wszystkim, z coraz większym trudem wchłaniają też kolejne biografie, odczuwają dyskomfort związany z literackimi eksperymentami. Powieść emancypacyjna też nie satysfakcjonuje, bo nie przyczyniła się do widocznej zmiany, a taki był przecież jej zapożyczony u XIX-wiecznych realistów cel.

Fragmentaryczność męczy, sagowość wylewa się z półek bibliotecznych, a świat zdaje się nam tymczasem umykać. Tradycyjna funkcja literatury, oddawanie przeszłego i obecnego stanu rzeczy oraz projektowanie przyszłego, działa, póki szukamy nowych sposobów na jej spełnienie.

Nie mam złudzeń dotyczących literackiego „przewodnictwa" w świecie, ale widzę, że pisarki i pisarze nie odpłynęli gremialnie w przestrzeń rozrywki lub innych intratnych zajęć. Przeciwnie: prowadzą poszukiwania nowych sposobów na to przewodnictwo. Jak zatem wygląda dorobek prozy w perspektywicznym skrócie?

Z rekonstrukcji

Za najciekawsze w prozie ostatnich dekad uważam zatarcie granic między fikcją a doświadczeniem. Miało ono zresztą w naszej literaturze różne etapy i pokonało barierę prozy gatunkowej. Transferu w drugą stronę – od popkultury do powieści głównego nurtu – dokonują od lat z sukcesem Joanna Bator, zwłaszcza w powieści „Ciemno, prawie noc" (2012), czy Olga Tokarczuk w książce „Prowadź swój pług przez kości umarłych" (2009). Oba tytuły zostały skądinąd sfilmowane: pierwszą wyreżyserował Borys Lankosz, drugą Agnieszka Holland.

Tematy łączące wydarzenia autentyczne, w tym biograficzne, a jednocześnie nośne społecznie podejmują w swych bestsellerach Łukasz Orbitowski („Tracę ciepło", 2007) i Jakub Żulczyk („Informacja zwrotna", 2021). Oryginalne quasi-sagi Sabiny Jakubowskiej „Akuszerki" (2022) oraz „Położne" (2026) nawiązują do profesji wykonywanej przez kobiety z jej rodziny oraz samą autorkę. Dzięki takim udanym przejściom – a jest ich sporo – realizuje się idea inkluzywności kulturalnej.

Tego typu literatura nie projektuje elitarnej czytelniczki czy elitarnego czytelnika, porozumiewającego się z tekstem na poziomie złożonych aluzji. Opowiada, dbając o atrakcyjność przekazu. Tyle że obok udanych transferów tematycznych powstają po wielekroć krytykowane potworki – na przykład te z Auschwitz lub Wehrmachtem w tytułach, opatrzone zapewnieniem o autentyczności relacji, na których oparto fabułę. To druga strona ruchu ku angażowaniu czytających w historyczne i współczesne problemy. Podobnie polaryzuje się proza rekonstruująca historie (często intymne), zwracająca się wprost do świata z apelem o interwencję, pracująca na emocjach.

Cóż, bohater literacki był zawsze kimś, kogo chcieliśmy poznać, by się z nim spierać lub utożsamiać. Autorki i autorzy często zaszywali w postaciach samych siebie. Na ile Wokulski był Prusem? Nie wyliczymy tego procentowo, a jednak kupiec galanteryjny dostał zainteresowanie nauką i rozczarowanie romantyzmem – poglądy społeczne swego twórcy.

Z biograficznym śladem

Pomiędzy powieścią a jawną autobiografią powstała hybryda nazywana autofikcją. Ten etap nastąpił bezpośrednio po pracy tożsamościowej, charakterystycznej dla przełomu XX i XXI wieku. Izabela Filipiak weszła przecież na scenę literacką „Absolutną amnezją" (1995), mylącą ślady biograficzne. W 2019 r. opublikowała już jawnie autobiograficzne „Znikanie". Michał Witkowski z kolei w „Lubiewie" (2005) zamarkował badanie środowiskowe, by w dziele „Autobiografia. Tom pierwszy: Wiara 1975–1990" (2023) odtworzyć dziecięce i młodzieńcze poszukiwania tożsamości.

W ciągu ostatnich dwóch dekad odbywało się intensywne detabuizowanie, przypominające fascynacje humanistyki postulującej objęcie refleksją zjawisk i osób wcześniej niedoreprezentowanych, rewizję kanonu pod kątem wrażliwości mikrogrup stowarzyszonych na wiele sposobów – przez nieszczęście, wychowanie, zdrowie, żałobę. Autorki i autorzy podjęli interwencje w sprawie doznanych krzywd i społecznych przeoczeń, uznanych za większe od pojedynczych życiorysów.

Obrodziło więc w autofikcje, głosy ekspertów i ekspertek w sprawie. Są one czasem autoterapeutyczne, często nośne społecznie i medialnie. „Najgorszy człowiek na świecie" Małgorzaty Halber (2015) umożliwił rozmowy o uzależnieniach, depresji, terapii i wstydzie. „Psy ras drobnych" Olgi Hund (2018) konfrontowały z leczeniem w szpitalu psychiatrycznym. „Bezmatek" Miry Marcinów (2020) rozpisał relacje z uzależnioną, umierającą na raka matką. „Mireczek. Patoopowieść o moim ojcu" Olgi Zbroi (2021) otworzyła rany współuzależnionych dzieci. Dramatyczna forma „Jak nie zabiłem swojego ojca i jak bardzo tego żałuję" (2021) Mateusza Pakuły stała się pretekstem do ostrych sporów o eutanazję.

Balansujące między autobiografizmem a performansem „Pustostany" (2020), „Cukry" (2021), „Czerwony młoteczek" (2023) Doroty Kotas pokazały pokoleniową prekarność i nienormatywność. Szły za nimi liczne próby prozatorskie innych twórców i twórczyń, komponowane z przekonaniem, iż jeśli tkwimy w samym środku ważnego problemu, możemy go po prostu wyrazić. Tymczasem każdy z wymienionych tu tekstów jest próbą znalezienia osobnego języka dla doświadczenia.

Te próby operują fragmentem – jak Hund. Zaburzają ciągi przyczynowo-skutkowe i przechodzą w lirykę – jak Marcinów. Stosują groteskę – jak Kotas. Odsłaniają fałszywą percepcję – jak Zbroja. Są niepowieściowe, ale dalekie od sprawozdania z uczuć. Krzyżują się z poetykami pamięci – jak „Rzeczy, których nie wyrzuciłem" Marcina Wichy (2017). Albo z estetyką nowych mediów – jak Kingi Sabak „Trochę z zimna, trochę z radości" (2024). Nie da się po prostu „wypisać" z bólu, by wejść do literatury.

Z inspiracji francuskim esejem

Rozpisywanie map doświadczeń miało z pewnością dopływy w tłumaczonych na język polski esejach Didiera Eribona i Maggie Nelson, a nade wszystko w noblowskiej prozie Annie Ernaux. Ich mocne ślady znajdziemy w najlepszej polskiej eseistyce autobiograficznej, lecz warto pamiętać też o rodzimych ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ tradycjach, na przykład o linii Jolanty Brach-Czainy, kontynuowanej w „Małej empirii" Katarzyny Sobczuk (2024).

Na przełomie XX i XXI wieku wiele pisarek i wielu pisarzy czerpało przecież ze „Szczelin istnienia" i „Błon umysłu". Książki te inspirowały głównie autorki feministyczne – Sylwię Chutnik, Ewę Madeyską. Ścierka Brach-Czainy zbierająca okruchy, brudy i trudy dnia, korygująca błędy, zaczęła się pojawiać w rękach kolejnych bohaterek niczym sztandar wyzwolenia kobiet spod domowego patriarchatu. Lekcja pisania zawarta w dyskutujących z tradycją hermeneutyczną esejach polegała na zwróceniu się ku konkretowi codzienności, uznaniu biologicznej, mięsnej natury człowieka, dowartościowaniu fragmentu i wychodzącej z potoczności metafory. „Mała empiria" zdaje się dziełem najbliższym tej lekcji.

Recepcja Eribona, Nelson i Ernaux skrzyżowała się z popularnością powieści utrzymanych w stylu radykalnej szczerości, jak „Małe życie" Hanyi Yanagihary, „Mój rok relaksu i odpoczynku" Ottessy Moshfegh, „Shuggie Bain" Douglasa Stewarda czy „Koniec z Eddym" Édouarda Louisa. O wpływie tych książek na literaturę polską nie decydowała ich autofikcyjność (obecna u Louisa, nieobecna u Yanagihary), lecz doprowadzony do ekstremum temat nieznośnego cierpienia.

Impuls empatyczny poszedł w poprzek gatunków i przyniósł sporo chybionych zwierzeń, niewiarygodnych bohaterów i bohaterek. Ale zmiksowany z chłodnymi tonami Eribona i konsekwentną rekonstrukcją wstydu dokonaną przez Ernaux, wypłynął w polszczyźnie tam, gdzie był bardzo już potrzebny. Jako uzasadnienie powagi autoanalizy.

Z własnego doświadczenia

Następujące po sobie premiery książek: Renaty Lis „Moja ukochana i ja" (2023), „Moja ukochana i ja. Ślub" (2025), Elizy Kąckiej „Wczoraj byłaś zła na zielono" (2024), Agnieszki Drotkiewicz „Rekonstrukcja. Połowa twarzy ginie w mroku" (2026) – mapują najważniejsze zjawiska w obrębie pisarstwa wywiedzionego z doświadczenia. Odnoszą się, po kolei, do miłości lesbijskiej w homofonicznym otoczeniu kulturowym, wychowywania dziecka ze spektrum autyzmu, pragnień kobiety urodzonej z rozszczepem podniebienia wobec napierającego zewsząd kultu piękności. Co takiego oferują, że dobrze się z nimi rozmawia? Otóż ich narratorki badają swój status w niepowtarzalny sposób.



Nasza proza miesza dziś fikcję, reportaż i biografię. Łączy sagę z historycznym romansem i elementami kryminału. Popularne gatunki stają się hybrydami odmian wypracowanych w minionym wieku.

Renata Lis miksuje autoetnografię z analizą przed- i potransformacyjnego społeczeństwa. Jej dylogia stoi na wysokiej półce humanistyki zaangażowanej, nie tylko dlatego, że łączy opis osobistego szczęścia, wychodzenia z ograniczeń i walki o równość małżeńską. Lis uprawia dyskurs miłosny i robi coś, czego mamy w polszczyźnie bardzo mało: wprowadza perspektywę dojrzałych kobiet. To nadal rzadsze niż oddawanie głosu młodym. Podmiotkę dojrzałą spotkać możemy w „Księdze umarłych" Joanny Mizielińskiej (2025), rekonstrukcji nienormatywnego życia poprzez wątki odchodzenia kolejnych osób ludzkich i ich zwierzęcych towarzyszy. Dokonuje się tu – u Lis i Mizielińskiej – rewolucja, przeskok od historii budowania tożsamości mniejszościowych do pytań o regulacje prawne i warunki życia.

Eliza Kącka przekształca klasyczną narrację macierzyńską w laboratorium relacji i języka. Jej książka „Wczoraj byłaś zła na zielono" jest zarazem poetycka i psychologicznie rewelatorska; kompetentna i baśniowa. Recepcja historii Rudej uspokaja w sprawie wydolności literatury – choć nie jest poradnikiem lub dziennikiem matki, poza nagrodami literackimi dała autorce mnogie spotkania z czytelniczkami i czytelnikami.

Do narratorek macierzyństwa dołączyła Paulina Małochleb książką „Mięśnie mam od miłości. Esej o macierzyństwie" (2026). By pokazać współczesne rodzicielstwo, Małochleb przeprowadza krytykę kapitalistycznego rozdziału państwa i rodziny. Różni się ta krytyka od tej, którą znajdziemy w obrazach prekarności młodego pokolenia.

Depresję i zniechęcenie wypiera troska; bezruch – sprawna organizacja codzienności. Narratorka „Mięśni..." tematyzuje niszczący nadmiar i nakręconą do granic wytrzymałości produktywność, ale nie może hołdować idei wyłączenia. Rozprawie z neoliberalizmem i stereotypami macierzyństwa towarzyszy autoportret intelektualistki w średnim wieku, koneserki sztuki i kochającej kobiety. Gęsty tekst został ułożony tak, by można było czytać go również jako fabułę miłosną i powieść rodzinną. Na pierwszym planie znajduje się jednak autorka – rodzina pozostaje otoczona dyskrecją. Faktografię zastępują uogólnienia, znakami emocji są tytuły rozdziałów.

Agnieszka Drotkiewicz z kolei wybiera strategię fikcjonalizowania biografii. Z wymienionych tu przykładów, „Rekonstrukcja..." jest najbliżej języka Ernaux – zarówno w koncepcji zranienia i wstydu, ciała i milczenia, pożądania i samoświadomości, jak i stosowania elips i powtórzeń oddających te stany. Pisarka powołała do życia Ewę, by meandrować między doświadczeniem a fikcją. Daje Ewie bagaż umniejszających, głównie męskich recenzji swej debiutanckiej powieści „Paris. London. Dachau" (2004), po-

eprasa.pl e0187a52f8

traktowanej w sposób znany pisarkom: jako „zwierzenie" z przygód erotycznych.

Drotkiewicz używając autowashingu – ujawniania i zarazem zasłaniania „ja" – przesuwa na nowe pole blok sporów na temat terroru piękna. Podejmuje ryzyko dekonstrukcji tego, co miało być kompromitowaniem patriarchatu, a zamieniło się w powielane obrazy kobiecej krzywdy, tracące powoli wpływ na społeczne postrzeganie ról.

Z natury i ze strachu

Autowashingiem nazywam tu podjętą przez pisarki ucieczkę od ocen w kategoriach płci. O fikcji kobiet zwykło się rozmawiać w taki sposób, jakby jej główną funkcją była prezentacja osoby, bez względu na intencje. Skoro tak, widoczny gest autobiograficzny wyznacza granice, odbiera podglądaczom przyjemność spekulacji.

Na własnych prawach pisane są współczesne prozy queerowe, które przestały wypełniać lukę w reprezentacji kobiecego pożądania. Nie układa się z nich oferty dla niszowych czytelniczek i czytelników. „Nie wszyscy pójdziemy do raju" Olgi Górskiej (2022) łączy lesbijską tożsamość z obrazem prowincjonalnej Polski, środowiska interesującego też Weronikę Gogolę w „Po trochu" (2017), Łukasza Barysa w „Dzikich koniach" (2026), Patryka Zalaszewskiego w „Lunecie z rybiej głowy" (2024), Martę Hermanowicz w „Końcu" (2024), Kubę Wojtalę w „Podciepie" (2025).

„Woliera" Barbary Elbanowskiej (2024) opowiada o rozstaniu z kobietą, ale w równym stopniu o naturze, która nie jest tłem, a bohaterką, co zbliża ją do architektury „Łakomych" Małgorzaty Lebdy (2023), „Białych nocy" Urszuli Honek (2022) czy „Głodu" Macieja Dudy (2025). Wektory podobieństw można oczywiście wyznaczyć inaczej niż po osiach tematycznych, na przykład wskazując związki światów przedstawionych ze zwrotem ludowym i posthumanizmem.

Fascynująca, intensywna obecność autorska zdarza się także tam, gdzie brak jawnych gestów autobiografizmu. Bywa krytykowana jako łatwy wybór wąskiej perspektywy, a jednak podobnie jak w eseistyce czy ponowoczesnym solilokwium, utrzymujemy dzięki niej kontakt ze światem myślanym i przeżywanym, nie zaś wygenerowanym. Ta kwestia okazuje się coraz ważniejsza. Zbieranie własnych tropów promieniuje szczególnie intensywnie w szarpanej lękami teraźniejszości.

Autorski puls jest wyczuwalny na przykład w twórczości Szczepana Twardocha i nie chodzi tu wyłącznie o kreację męskich bohaterów czy śląską tożsamość. W powieści „Null" (2025) oglądamy wojnę z perspektywy drona i przez medium głównego bohatera. Odczucie bliskiego kontaktu z polem walki wywołują cytaty z języka ukraińskiego. Twardoch osiąga efekt podobny do tego, jaki powodują zapisy rozmów frontowych, a także ukraińska poezja po napaści Rosji.

„Null" pokazując trud, znój, strach i melancholię żołnierzy, odnosi się jednocześnie do niedostatecznego zaopatrywania armii w broń, wysuwając tym samym na pierwszy plan kwestie polityczne i ekonomiczne. Oba tropy – wejście w język i ocena wydolności państwa w sytuacji wojny – sugerują obecność autora wewnątrz realnych zdarzeń, więcej niż pracę kreacyjną.

Z wyobraźni

W prozie jednak poza doświadczeniem bardzo dobrze ma się odkształcenie. Niepokojąca realność uwolniła pokłady surrealnego. Eksploatuje się je w peryferyjnych krainach dzieciństwa i emanujących niesamowitością miejscach spacyfikowanej pamięci, ale też na obszarach pozornie neutralnych. Nie chodzi już wyłącznie o pamięć, indywidualną i zbiorową, ale o resztę metafizyczną, zawsze gotową do wyjścia na wierzch.

W popkulturze objawia się to niezwykłą popularnością gotyku, grozy i fantasy (w zeszłym roku powieści tego gatunku zanotowały na naszym rynku największy wzrost). Pracuje też jednak na wyższych rejestrach, w opowiadaniach Grzegorza Bogdała, Patryka Zalaszewskiego, Łukasza Barysa, Elżbiety Łapczyńskiej, Urszuli Honek. To coś – brzmiące głosami zjaw, zwierząt, żywiołów, rzek, morza albo rozstajnych dróg – tworzy alternatywę dla opisu dokumentarnego, zahaczonego o realizm.

Poszukiwania tego, co buzuje pod spodem doświadczanego świata, skłaniają do użycia poetyk i motywów motywów fantastycznych. Wzmocnione ↦

Mniej autofikcji więcej fantazji

W ciągu ostatnich dwóch dekad odbywało się intensywne obalanie tabu, rewizja kanonu pod kątem wrażliwości mikrogrup stowarzyszonych na wiele sposobów – przez nieszczęście, wychowanie, zdrowie, żałobę.

Autorki i autorzy podjęli interwencje w sprawie doznanych krzywd i społecznych przeoczeń, uznanych za większe od pojedynczych życiorysów. Obrodziło więc w autofikcje, głosy ekspertów i ekspertek w sprawie. Są one czasem autoterapeutyczne, często nośne społecznie i medialnie.



Ojczyzny i matczyzny są w naszej prozie często wyobrażone. Mieszkanie w nich jest równoznaczne ze wspólnym byciem ludzkiego i pozaludzkiego; planetarnego i metafizycznego; ezoterycznego i naturalistycznego. Apogeum tej zmiany horyzontu poznawczego stanowi powieść „Świata jest za dużo" Olgi Tokarczuk, która trafi do księgarń w połowie października.



Jurorzy nagród literackich już dziś doceniają zwrot ku widmom. „Urodziny" Weroniki Murek, nagrodzone właśnie Nagrodą Literacką Gdynia, znalazły się też w finale Nagrody Nike. Ich bohaterka, Jaga Babażyna, wchodzi w alternatywny spektakl, rozgrywający się pod teatralno-domową sceną.

eprasa.pl e0187a52f8

↦ badaniami nad pamięcią poczucie splątania i niepewności przyniosło nam zresztą reportaże historyczne: „Poniemieckie" Karoliny Kuszyk (2019), „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku" Zbigniewa Rokity (2020), a ostatnio „Blizny. Krajobrazy po przemyśle" Marty Tomczok (2026).

Z ducha historii

Literaturoznawca Zygmunt Ziątek nazwał wiek XX wiekiem dokumentu. Wiek XXI zdaje się kroczyć w inną stronę: od paru lat wydawcy obserwują spadek zainteresowania reportażami. Archiwum, autoetnografia, mapy emocjonalne, eksponowane i kwestionowane tożsamości nadal są co prawda na szczycie literackich zainteresowań, lecz uwaga piszących i czytających zwraca się już ku widmowym ontologiom i surrealizmowi. Zamiast non-fiction pojawia się tu odległa od realizmu fikcja. Więcej nawet: schodzimy w rejony duchowe.

Ojczyzny i matczyzny przestają być podejrzane jako „wyobrażone", konstruowane na potrzeby polityk i ideologii. Mieszkanie w nich, zasiedlenia-zasiedzenia – u Lebdy, Dudy, Honek – są równoznaczne ze współbyciem ludzkiego i pozaludzkiego; planetarnego i metafizycznego; ezoterycznego i naturalistycznego. Apogeum tej zmiany horyzontu poznawczego stanowi powieść „Świata jest za dużo" Olgi Tokarczuk, która trafi do księgarń w połowie października.

Ale jurorzy nagród literackich już dzisiaj doceniają zwrot ku widmom. „Urodziny" Weroniki Murek (2025), nagrodzone właśnie Nagrodą Literacką Gdynia, znalazły się też w finale Nagrody Nike. Osadzone w środowisku teatralnym, transmitują zawodowe zaangażowanie dramaturżki. Są przekonujące w wątku „wypadania z repertuaru" i zawodowej podrzędności sześćdziesięcioletniej aktorki. Jaga Babażyna wchodzi w alternatywny spektakl, rozgrywający się pod teatralno-domową sceną. Kompensacyjna tęsknota zasila także wyobraźnię debiutanckich „Zmartwychwstanek" Doroty Grabek (2025), pozwalając im odzyskiwać minimalny wpływ na własny los.

W prozie głównego nurtu dominują poważne tony, a czy umiemy się opowieściami bawić? Sukces debiutanckiej, niezwykle głośnej „Prawdziwej historii Jeffreya Watersa i jego ojców" Jula Łyskawy (2024) wskazywałby na potrzebę podjęcia literackich gier. W pastisz amerykańskiej powieści, w brawurowe passusy brzmiące jak przechwałki kolonizatorów-narratorów i ich potomków Łyskawa wbił sporo trudnych do wyjęcia gwoździ. Przekłuł nimi amerykańskie mity i polskie mody literackie, oferując pyszną, lecz trudną rozgrywkę, do której trzeba cierpliwych czytających. Duża, by nie rzec: rozbuchana forma, pastiszowo-absurdalna gra narracyjna, intencjonalnie lub nie, rzuca wyzwanie tendencji do pisania coraz krótszych fabuł.

Zabawy o różnym stopniu trudności dostarczają nam też powieści historyczne, budujące alternatywne światy. Sporo dzieje się w tej konwencji: kolejne powieści piszą Maciej Płaza, Radek Rak, Elżbieta Cherezińska. Z uznaniem spotkały się już „Azard" Pawła Kozioła i „Krzywda" Pawła Rzewuskiego (obie wydane w roku 2025).

Z dyskusji

Wybór konwencji niesie informacje o autorskiej koncepcji poznawczej. Sentymentalna autobiografia komunikuje co innego niż mozolna rekonstrukcja dziejów rodziny. Gdy dyskutuję podczas festiwali o wydanych w ostatnich latach książkach, uderza mnie zgoda na puszczenie kryteriów (nie mamy barier gatunkowych, nie wypada z klasistowską wyniosłością upierać się przy podziale na niskie i wysokie) sąsiadująca z normatywizmem.

Ten normatywizm jest rozdrobniony, pilnują go grupy ekspertów. Domagają się oni od literatury reagowania na świat, stawiania spraw we właściwym świetle. Nie mam przekonania, że warto w ten sposób rozmawiać o wartościach literackich, choć sama uważam, że bardziej się nam dziś przyda komplikowanie niż upraszczanie.

Nie wiem też, czy zejście powieści w rejony duchowe oznacza już wyczerpanie analizy socjologicznej albo potrzebę scalenia świata, odczuwaną przez piszących i czytających, jednak jest faktem. Naprawdę ciekawe, co nam z tego przyjdzie.

© INGA IWASIÓW

Czułość to nowy punk

ŁUKASZ RONDUDA, REŻYSER:

ROZMOWA | W Polsce potrzeba dziś kina w duchu „Dekalogu" Kieślowskiego. Integrującego, otwierającego na coś, co tak mocno wypieramy.

MATEUSZ DEMSKI: Gdzie się urodziłeś?

ŁUKASZ RONDUDA: Pochodzę z miasteczka Kunów pod Ostrowcem Świętokrzyskim. W latach 80. rodzice przenieśli się do miasta. To był duży ośrodek przemysłowy, wtedy w Ostrowcu działały dwie fabryki produkujące broń. Za dzieciaka włóczyłem się z kolegami po wysypiskach pełnych bagnetów i pistoletów z defektami. Byliśmy dumni, kiedy zaczęły krążyć plotki, że nasze miasto jest trzecie na liście do zniszczenia w przypadku ewentualnej wojny atomowej.

Mój ojciec strajkował na hucie, należał do Solidarności. Pamiętam, jak przynosiłem mu jedzenie, podając przez ogrodzenie. Wcześniej, w 1968 r., będąc w wojsku, sprowokował bójkę, wsadzili go do więzienia i dzięki temu nie wziął jako żołnierz udziału w inwazji na Czechosłowację. Przekuł ten przypadek w bardzo mocną kombatancką opowieść. Budował tożsamość wokół swojego antykomunizmu.

Był dla Ciebie wzorem?

Po raz pierwszy byłem w kinie właśnie razem z nim. Zabrał mnie na „Janosika". Byłem uniesiony tym filmem – tym, że można buntować się przeciwko rzeczywistości i być za to nagrodzonym. Ale w momencie największego triumfu Janosika tata powiedział, że wychodzimy.

Dopiero później odkryłem, że nie chciał, bym zobaczył końcówkę, kiedy bohater zostaje powieszony na haku.

eprasa.pl e0187a52f8



MATERIAŁY PRASOWE

Patryk, wzorowany na malarzu Patryku Różyckim i zagrany przez Jana Sałasińskiego. Film „Powiedz mi, co czujesz", reż. Łukasz Ronduda, dystr. Kino Świat

Tak samo zrobił zresztą przy „Spartakusie", który leciał w telewizji. Wyłączył, zanim przyszła kara.

Dzisiaj myślę, że on w pewnym sensie reżyserował te filmy dla mnie. Dał mi wiarę, że można walczyć z rzeczywistością i nie trzeba od razu bać się konsekwencji.

Brzmi jak pierwsze nieświadome zetknięcie z reżyserią.

A na pewno z myślą, że film można kształtować. I że można decydować, gdzie historia się kończy. Dzięki temu wiedziałem, że opowieści można przetwarzać, tworzyć po swojemu.

Mój ojciec kochał literaturę i kino. Potrzebował ich, aby uciekać z rzeczywistości, w której przyszło mu żyć. Dlatego u nas w domu było dużo książek, wyjątkowo dużo jak na dom robotniczy. Przejąłem metody ucieczki z rzeczywistości od ojca.

A potem przyszły lata 90., a wraz z nimi brutalność kapitalizmu. Huty w Ostrowcu poupadały. Ojca zwolnili z dnia na dzień. To go zmieniło. Rosło w nim rozgoryczenie, frustracja, gniew. Po chwilowej dumie ze zwycięstwa został skazany na dożywotni wstyd. Umarł dwa lata po zwolnieniu. Nigdy nie mógł się pogodzić z tym, że został tak potraktowany przez Polskę, o którą walczył.

Mama zawsze mówiła, że ojciec umarł z dumy. Była jeszcze choroba serca spowodowana ciężkimi warunkami pracy, alkohol. Transformacja lat 90. była najtrudniejszym doświadczeniem dla naszej rodziny. W telewizji widzieliśmy świat tych, którym się udało, a my osuwaliśmy się coraz bardziej w biedę i wstyd. Myśleliśmy, że to z nami jest coś nie tak.

Dopiero stosunkowo niedawno zacząłem przepracowywać te emocje na terapii. Moja rodzina z Ostrowca robiła to począwszy od roku 2015, za sprawą retoryki „końca pedagogiki wstydu", uwolnienia „gniewu na elity", poczucia dumy z bycia tym, kim są, z tego, co lubią, w co wierzą.

Terapeutyzowaliśmy się równolegle, tylko na zupełnie inne sposoby. Oni uczyli się dzięki PiS-owi akceptować siebie w swojej polskości, katolicyzmie i swojskim lifestyle'u. Ja uczyłem się na terapii tego samego – akceptować i kochać siebie takim, jaki jestem. O tym jest mój najnowszy film „Powiedz mi, co czujesz".

Powiesz coś więcej?

Po „Wszystkich naszych strachach" szukałem kolejnego bohatera. Umówiłem się na spotkanie z Patrykiem Różyckim, którego wypatrzyłem na Instagramie. Dopiero co przyjechał do Warszawy, nie był w ogóle znany. Zainteresowałem się autentycznością, z jaką opowiadał w swoich rysunkach o pochodzeniu, jak łączył te opowieści z opowieściami o szukaniu miłości.

Interesowała mnie męskość, którą reprezentował. Bezwstydna, w dobrym sensie tego słowa, szczera. Te wszystkie elementy bardzo ze mną wówczas rezonowały.

Spotkaliśmy się i ja, jak zwykle, postanowiłem schować się za swoim wizerunkiem kuratora, reżysera, przepytując Patryka, wyciągając od niego informacje, sprawdzając, czy jego życie jest „materiałem na film". Ale Patryk pod koniec rozmowy wytrącił mnie z tego komfortu, powiedział, że nie będzie dalej rozmawiał w ten sposób, bo tylko on się odsłania, że jeżeli chcę kontynuować rozmowę, to też muszę powiedzieć, co czuję.

Okazało się, że nasza historia ma wiele punktów wspólnych: trudne ↦

eprasa.pl e0187a52f8

↦ doświadczenia lat 90., śmierć bliskich, niedostępni emocjonalnie rodzice i wynikające z tego problemy w tworzeniu relacji miłosnych. Po tej rozmowie wiedziałem, że opowiadając historię zainspirowaną życiem Patryka, opowiem również swoją historię.

W Twoim filmie Patryk tłumaczy, że chciałby robić sztukę, którą mogliby zrozumieć jego rodzice mieszkający na wsi i ludzie im podobni, a w odpowiedzi słyszy: „tacy ludzie nie chodzą do galerii, nie rozumieją, czym jest sztuka".

To scena z mojego życia. W momencie, w którym zachłysnąłem się językiem sztuki współczesnej, pisałem książki o awangardzie i kuratorowałem wystawy, moja rodzina z Ostrowca kompletnie nie rozumiała, czym się zajmuję. Wciąż powtarzali, żebym sobie znalazł normalną pracę. Sugerowali, że to niezbyt męskie zajęcie. Że rodziny nie utrzymam. Niepokój mojej mamy, która należała do Legionu Chrystusa, budziło to, że zajmując się sztuką wspieram otwarcie jakieś perwersje.

Gdy podczas ostatniej kampanii prezydenckiej prawicowe media atakowały „Muzeum Trzaskowskiego", w którym pracuję, że promuje seksualizację dzieci, miałem od mamy telefony niemal codziennie. Mówiła, że się za mnie wstydzi. Ja też się wstydziłem za mamę, że wygaduje takie rzeczy. Szczególnie gdy mówiła, że „Tusk i spółka zabili mojego ojca", a ja teraz ich wspieram.

I co o tym wszystkim myślisz?

Jest w tej komunikacji dużo histerii, a jednocześnie wykonujemy wysiłek, aby się nie oddalić od siebie, aby mimo różnic być razem, mieć ze sobą kontakt. Myślę, że ten wysiłek wykonuje dziś wiele polskich spolaryzowanych rodzin. Trochę lepszą komunikację mamy od czasu, gdy zostałem reżyserem, rodzina zaczęła bardziej szanować moją pracę.

Generalnie wejście w film wynikało z chęci posługiwania się językiem zrozumiałym dla osób mieszkających w Ostrowcu, mojej rodziny. Kino jest medium dostępnym, w przeciwieństwie do sztuk wizualnych, które wymagają określonych kompetencji i znajomości pewnego dyskursu.

W szkołach filmowych przez wszystkie przypadki odmienia się słowo konflikt. „Jak jest konflikt, są emocje" – słyszałem na zajęciach. Dlatego rewolucyjny wydaje mi się **gest skupienia na czułych punktach.**

Moim małym zwycięstwem był fakt, że moja mama wraz z koleżankami z Legionu Chrystusa poszła na premierę „Wszystkich naszych strachów". Zadzwoniły do mnie wszystkie po seansie powiedzieć, że wspaniały, wzruszający film nakręciłem i że są ze mnie bardzo dumne.

Wiesz, mam wrażenie, że sztuka w ostatnich latach zrobiła się jednak opowieścią o uczuciach. Różni się bardzo od polskiej sztuki krytycznej lat 90.

Sztuka krytyczna brała się z pragnienia uczestnictwa w zmianie świata – poprzez szok, prowokację i operowanie mocnym językiem konfliktu. Tak samo było w polskim kinie, które może nawet bardziej było nastawione na mocne, rewolucyjne gesty.

W szkołach filmowych słowo konflikt nadal jest odmieniane przez wszystkie przypadki. Konflikt jest potrzebny, żeby coś się działo, żeby akcja posuwała się do przodu. „Jak jest konflikt, są emocje między postaciami" – takie zdanie pamiętam ze swoich zajęć w Szkole Wajdy.

A jakie jest Twoje zdanie na ten temat?

Bardzo podoba mi się hasło Joachima Triera: *tenderness is the new punk*, czułość to nowy punk. Filmy oparte na logice konfliktu bazowały tak naprawdę na nieuświadomieniu sobie własnych emocji przez bohaterów. Dziś bardziej rewolucyjny wydaje mi się inny gest – skupienie na czułych punktach, wrażliwości, radzeniu sobie ze wstydem.

Zresztą temat wstydu i walki z nim bardzo łączy moje dwa ostatnie filmy. O ile Maria i Patryk w „Powiedz mi, co czujesz" są skupieni na odsłanianiu swojej kruchości i czułych punktów przed światem, o tyle bohaterowie „Freak Show" mają tę kruchość na wierzchu ze względu na niepełnosprawność.

W pewnym sensie te dwie opowieści mówią o tym, aby odważnie wyjść z bezradnością emocjonalną i podatnością na zranienie na zewnątrz. Moi bohaterowie wiedzą, że tylko na bazie takiego bezwstydnego – w pozytywnym znaczeniu – odsłonięcia można nawiązać autentyczną relację z innym człowiekiem i ze światem.

Patryk wychodzi także naprzeciw swoim rodzicom. Pomimo wielu różnic między nimi, mimo przykrości zaznanych w dzieciństwie nie skreśla ich, przeciwnie – znajduje zrozumienie.

„Powiedz mi, co czujesz" opowiada o świecie, w którym nierówności ekonomiczne mają duży wpływ na tożsamość. Patryk poprzez kontakt z Marią, która wydaje się nie zauważać tych różnic z powodu własnego uprzywilejowania, zaczyna bardziej rozumieć trudną sytuację i historię swoich rodziców.

Do filmu nie weszła scena, w której Maria mówi: „tak naprawdę klasa uprzywilejowana i nieuprzywilejowana niczym się od siebie nie różnią. To są po prostu dwie różne emocje. Kiedy nie masz nic, jesteś znikąd, to się wstydzisz i dążysz do tego, żeby mieć coś. A kiedy masz coś i już jesteś skądś, to się boisz, żyjesz w lęku, że to stracisz i że znowu zaczniesz się wstydzić".

Czyli awans społeczny polega na przejściu od wstydu do lęku.

Według Marii i z jedną, i z drugą emocją pracujesz na terapii, nie ma różnicy. Ale różnica jest i to zauważa Patryk pod koniec filmu. Żyjemy w świecie, który nie ma granic, możemy budować siebie, jak tylko chcemy, możemy się skupić na sobie. Jedyną prawdziwą przeszkodą i granicą są nierówności ekonomiczne, które napędzają polaryzację.

Dlatego tak ważny był dla mnie „Skup łez" Łukasza Surowca i Alicji Rogalskiej, który wykorzystałem w filmie. Ten projekt pokazywał, jak nasze społeczeństwo

eprasa.pl e0187a52f8



ALICJA SZULC / MATERIAŁY PASOWE MSN

się rozwarstwiło w ciągu trzydziestu lat od transformacji. Startowaliśmy jako biedne, ale równe społeczeństwo. A potem to wszystko się rozjechało. Papierkiem lakmusowym tego podziału jest świat sztuki.

Wyjaśnisz?

Kiedy wchodziłem do tego świata na przełomie lat 90. i dwutysięcznych, czułem się jak u siebie, mimo że byłem z małego miasta. To było inkluzywne środowisko. Awansowałem przecież dzięki sztuce. Dzisiaj decyzja o zostaniu artystą czy kuratorem w polu instytucji publicznych jest decyzją samobójczą, głównie ze względu na koszta utrzymania.

Rosnące nierówności sprawiają, że sztuka zaczyna być domeną osób uprzywilejowanych. Jeżeli chcemy, żeby było w niej miejsce na reprezentację innego typu doświadczeń, musimy wspierać artystów, także ustawowo. Bo kapitalizm chętnie zrobiłby ze sztuki wyłącznie rozrywkę dla wybranych. Trzeba wykonać wysiłek, żeby nie została ona odebrana zwykłym ludziom.

Trudne doświadczenie rodziny Patryka i mojej znalazło już sobie reprezentację.

ŁUKASZ RONDUDA jest kuratorem Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, członkiem Europejskiej Akademii Filmowej, reżyserem filmów inspirowanych życiem i twórczością artystów, m.in.: „Performer" (2015), „Serce miłości" (2017), „Wszystkie nasze strachy" (2021). Jego najnowszy film, „Powiedz mi, co czujesz", wszedł właśnie na ekrany kin. Premiera „Freak Show" zaplanowana jest na 30 października.

Na zdjęciu podczas wernisażu wystawy Edwarda Dwunika w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Warszawa, 30 lipca 2026 r.

Nam się udało wejść w to pole. Ale martwimy się o ludzi, którzy dzisiaj chcieliby się utrzymać w świecie sztuki. Trzeba im pomóc.

Skąd wziął się tytuł „Powiedz mi, co czujesz"?

To pierwsze pytanie, jakie zadaje terapeuta na sesji. Ale to samo pytanie Krzysztof Kieślowski zadawał studentom na pierwszym roku reżyserii. To były tak naprawdę zajęcia z samoświadomości. Każdy musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, kim jest, co go interesuje i dlaczego tam przychodzi. Wiele osób, zgodnie z legendami, po zajęciach u Kieślowskiego uświadamiało sobie, że wcale nie chce reżyserować. Nigdy nie wracali.

Nad Twoimi filmami unosi się duch Kieślowskiego?

Bardzo mnie inspiruje jeden z gestów Kieślowskiego. Otóż poszedł on w latach 80., w stanie wojennym, do telewizji komunistycznej z propozycją serialu na bazie Dekalogu. Był to gest odważny, kontrowersyjny wręcz dla obu stron spolaryzowanej wówczas Polski.

Ta jego odwaga mi imponuje. Nie była nastawiona na eskalację konfliktu, tylko na znalezienie wspólnej wrażliwości. Była próbą połączenia zlaicyzowanej duchowości opartej na prawach człowieka z duchowością chrześcijańską.

„Dekalog" to było kino integracji, pojednania, porozumienia. W Kieślowskim była chęć otwarcia się na coś, co zwykle wypieramy, na inność, na grupę, którą uznajemy za gorszą. W Polsce potrzeba nam dziś kina w tym duchu. Kina integrującego różne doświadczenia.

© Rozmawiał MATEUSZ DEMSKI

eprasa.pl e0187a52f8



MATERIAŁY PRASOWE

„The Blood of Dawnwalker", studio Rebel Wolves

Upiory z Doliny Sangorskiej

PAWEŁ KICMAN

GRY | Nasze produkcje wciąż wyróżniają się nie tylko ciekawymi i dojrzałymi historiami, ale przede wszystkim bezkompromisowym podejściem do tworzenia rozrywki.

Gra debiutanckiego studia Rebel Wolves, złożonego między innymi z byłych pracowników CD Projekt RED odpowiedzialnych za serię o „Wiedźminie", przenosi nas w średniowieczne Karpaty, do fantastycznej Doliny Sangorskiej. Jako Coen, mężczyzna zmieniony przez bestialskiego kniazia Brencisa we wrakira (odpowiednik rodzimego upiora), będziemy musieli ocalić członków własnej rodziny przed katastrofą.

Czasy, do których się przenosimy, nie są ani przyjazne, ani dostatnie. Ludność Doliny Sangorskiej jest ciemiężona, wrakirscy lordowie brutalni, a każdy promyk nadziei gaśnie, kiedy tylko okazuje się, że decyzje, które podejmuje gracz, to wybór między dużym a jeszcze większym złem. Cóż, ta depresyjna aura nie zaskakuje: nie tylko dlatego, że na świecie nie dzieje się dziś najlepiej. Polski rynek gier po prostu lubi mroczne historie. Jeśli w naszych produkcjach pojawia się humor – jest to humor czarny, wątki obyczajowe – mocno dramatyczne. Nie postrzegam tego jako wady, raczej pewien trend.

Spójrzcie: „Cyberpunk 2077" (2020) był punkowo-noirową opowieścią o opresyjnym systemie i życiu w jego cieniu. Gra „Dying Light" (2015-2022) jasno dawała do zrozumienia, że ludzie są bardziej przerażający niż *zombie*. „Frostpunk" (2018) i „This War of Mine" (2014) stawiały przed grającymi niełatwe dylematy moralne. A gry studia Bloober Team, od „Layers of Fear" (2016) po „Cronos: The New Dawn" (2025), to przecież horror za horrorem!

Gra „The Blood of Dawnwalker" idzie w ich ślady, potęgując atmosferę grozy nie tylko zbiorowiskiem maszkar, od nieumarłych zakonnic po piekielne *jump scare*'y, ale też ograniczeniem czasowym. Nasz Coen na uratowanie rodziny ma dokładnie trzydzieści dni i nocy (w ciągu dnia jesteśmy tu człowiekiem, a w nocy wąpierzem), a ich upływ przyspieszają kolejne misje i określone aktywności – od ulepszania postaci po budowanie relacji z innymi.

Czy zaryzykujemy romans albo poszukiwania lepszego oręża, kiedy nad głowami naszych krewnych unosi się widmo zagłady? Czy przejdziemy obojętnie nad dramatami zwykłych mieszkańców, bo szkoda nam na nie czasu? Gracze muszą sobie odpowiedzieć na szereg podobnych pytań, bo też mechanika gry wzbudza emocje i skłania do zastanowienia się nad tym, co dokładnie chcemy zrobić. Ostatecznie okazuje się jednak, że czasu mamy dość i bez większego trudu jesteśmy w stanie ukończyć znaczną część gry, zanim wybije trzydziesta doba. Oczywiście pod warunkiem, że na wampirzym głodzie nie ukąsimy przypadkiem kogoś, kto powinien nam pomóc. Działania Coena mają bowiem realne i poważne konsekwencje, zarówno dla fabuły, jak i rozgrywki. Jedną decyzją możemy uprzykrzyć życie niewinnym cywilom, ale ułatwić sobie potyczki. Albo odwrotnie.

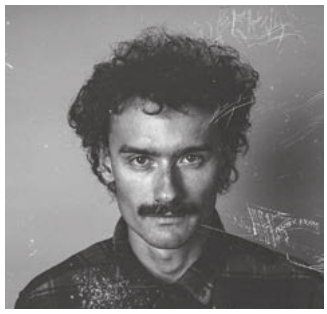
To zresztą coś, co polski GameDev uwielbia i stara się implementować, szczególnie – choć nie tylko – w grach cRPG. Gra studia Rebel Wolves robi to nawet lepiej niż „Wiedźmin 3" czy „Cyberpunk 2077". Widać, że twórcy mieli duże ambicje i podeszli do swojej wizji bez kompleksów, udowadniając, że kiedy za granicą kolejne gry podążają utartymi szlakami, na naszym podwórku wciąż są twórcy i twórczynie próbujący zrobić coś po swojemu, bez kompromisów.

Jest w tym jednak pewien haczyk, o którym mówi się chyba rzadziej, niż wypada. Rebel Wolves to kolejne studio z rosnącej listy tych, które powstały, gdy weterani CD Projekt RED ruszyli na swoje, kontynuując sprawdzoną szkołę projektowania: od konstrukcji questów, poprzez pisanie dialogów, a skończywszy na stylu muzycznym („The Blood of Dawnwalker" i tu czerpie sporo z „Wiedźmina"). Polska branża od kilku lat pączkuje właśnie w ten sposób, wyrastając z doświadczeń weteranów. To dlatego debiutancka produkcja potrafi u nas wyglądać jak projekt doświadczonego studia.

Pytanie brzmi, jak długo ich bezkompromisowe podejście wytrzyma zderzenie z rzeczywistością: nowe polskie studia z ambicjami nie sfinansują się przecież same, zaś kapitał, a po części też oczekiwania graczy i graczek, mają zwyczaj upominać się o swoje. Rebel Wolves tym razem poszli własną drogą. Trzymajmy kciuki, żeby przy sequelu nadal było ich na to stać. ©

eprasa.pl e0187a52f8







▪ *Piotr Chęcki*, **EY AY**, *Sonar Records; Kacper Krupa*, **SEKWA**, *NoPaper Records; Marek Pospieszalski Octet*, **EVER**, *Instant Classic*

W ostatnich tygodniach nic tylko saksofony w mojej głowie. Choć może raczej „saksofoniści", bo paleta instrumentów, które obsługują ci artyści, sięga daleko poza dęte drewniane. Zaczęło się od „Ey Ay" Piotra Chęckiego, którego żarliwe solo podczas premierowego koncertu Współgłosów nie zdążyło jeszcze opuścić mojej głowy. To zresztą niezły punkt zaczepienia, ponieważ na płycie towarzyszy mu lider wspomnianego zespołu – pianista Marcel Baliński, a także perkusista Tymek Papior. Chęcki przygotował szkice wszystkich utworów w pojedynkę, a potem rozwinął je podczas wspólnej sesji w trio. Wybrane przez kompozytora fragmenty tego sześciogodzinnego spotkania trafiły prosto na płytę – bez powtórek, skrótów, postprodukcji. Długimi fragmentami „Ey Ay" wskazuje na pokrewieństwo z Hinode Tapes – innym zespołem saksofonisty, a to za sprawą generowanych przez Mooga leniwych plam, ambientowej, a czasem niemal ASMR-owej atmosfery. Tym mocniej jednak uderzają fragmenty, kiedy trio podnosi temperaturę – tak jak w „Jazz Forum Romanum" czy „OFF$anka", gdzie sypią się rimshoty, skwierczą talerze, a melodie gną się w elektronicznych zniekształceniach.
Jeszcze większą niespodziankę sprawił mi Kacper Krupa, którego znałem dotąd z nieprzesadnie oryginalnego Siema Ziemia i udanej współpracy z Łoną przy płycie „Taxi". Na solowej płycie „Sekwa" młody saksofonista imponuje horyzontami, a także biegłością, z jaką łączy kolejne elementy tej układanki. Dostajemy tu więc monumentalne syntezatorowe arpeggia rodem z drone music, partie fletu niczym u Shabaki Hutchingsa i niezawoalowane wycieczki na parkiet w formie hipnotyzującego breakbitu. Trudno to wszystko objąć podczas kilku odsłuchów, ale nie szkodzi, bo i wracać warto.
Na koniec muszę wspomnieć o „Ever", czyli nowej płycie Marek Pospieszalski Octet, zarejestrowanej na żywo podczas koncertu w mekce free jazzu – londyńskim Café Oto. Napiszę bez ogródek, że mam słabość do tej intensywności, która cechuje nagrania zespołu prowadzonego przez saksofonistę. Do napięcia narastającego pomiędzy opresyjnym rytmem narzucanym przez Janickiego, Muchę i Tarwida a frenetyczną sekcją dętą. I stąd, pomimo skojarzeń z muzyką improwizowaną czy minimalizmem, „Ever" momentami ma iście noise-rockowy ciężar. Dźwigam go z przyjemnością.
© JAN BŁASZCZAK

▪ *Bartosz Walaszek*, **BOGDAN BONER: EGZORCYSTA**, *sezon 7, Netflix*

Bartosz Walaszek nie zwalnia. Po zamieszaniu związanym z nowym „Kapitanem Bombą" Netflix zwodował kolejny, siódmy już sezon animowanego serialu „Bogdan Boner: Egzorcysta" (co ciekawe, to tak naprawdę dziesiąta odsłona przygód egzorcysty z Piaseczna, wcześniej powstały bowiem trzy sezony dla innej platformy). Świecki specjalista walczy z diabłami i demonami już od 2019 r. Naprzeciw pomiotom z czeluści staje Bogdan Boner, cywilny egzorcysta, którego wyrzucono niegdyś z seminarium (na ten temat Walaszek zmontował zresztą osobny filmik). Partneruje mu pracujący za grosze (a często za darmo) Marcinek, z czasem skład uzupełnia poczciwy diabełek Domino. Okazjonalnie ekipa krzyżuje też ścieżki z brawurowym księdzem Natanem i innymi wysłannikami


MATERIAŁY PRASOWE

Watykanu. Siła „Egzorcysty" tkwi w wyjątkowo dobrze nakreślonym przez Walaszka środowisku. To współczesna Polska w krzywym zwierciadle, w której zarówno „cywilni" – ludzcy bohaterowie – jak i diabły reprezentują nasze swojskie przywary. Sam Boner to budowlaniec-cwaniak zatrudniający swoich pracowników na czarno. Nie da mu się jednak odmówić uroku i charyzmy. Satyra wybrzmiewa tu szczególnie dobrze z dwóch powodów. Po pierwsze, świetnie kontrastuje z klimatem grozy – mimo schematyczności animacji i fabuł Walaszek sprawnie operuje motywami, narracją i technicznymi zagrywkami rodem z klasycznych horrorów. Po drugie, nasz „wieszcz tandety" wykreował wyjątkowo wiarygodny świat przedstawiony. Zresztą, „Egzorcysta" dzieli uniwersum z innym serialem reżysera, „Blok Ekipą" (zdarzają się gościnne występy, w tle obu produkcji przygrywają te same fikcyjne zespoły). Co ciekawe, sezon siódmy nieco zmienia atmosferę. Zamiast parodiowania nastroju polskich miast i słabości Polaków, Walaszek wypuszcza swojego „Egzorcystę" w wielki świat. A zamiast grzebania w naszych grzeszkach i mentalności, proponuje żonglerkę popkulturą. Zabawa jest przednia, bo Walaszek i tym razem pozwolił sobie na absolutny brak zahamowań.
© HUBERT SOSNOWSKI

eprasa.pl e0187a52f8

Zabawa „Lalką”

ANITA PIOTROWSKA

ADAPTACJA | Serial Pawła Maślony to wariacja wokół „Lalki”. I zuchwała powiastka emancypacyjna, nie tylko w odniesieniu do kobiecych bohaterek.



ROBERT PAŁKA / MATERIAŁY PRASOWE NETFLIX

Na czas tego seansu lepiej porzucić wszelkie analizy porównawcze. Miniserial Netfliksa od początku miał być grą z literackim pierwowzorem, a nie jego wiernym przeniesieniem na ekran. Mimo to na długo przed emisją ruszyła prawie ogólnonarodowa dyskusja nad słusznością i sensem przerabiania czy nadpisywania jednej z najważniejszych polskich powieści.

Tak jakby była zastygłą „perłą z lamusa” i nic się od tych 150 lat nie wydarzyło w naszej kulturze. Jakby nie było choćby zwrotu ludowego, ze „Służącymi do wszystkiego” i „Akuszerkami”, czy autorskich, bardziej krytycznych adaptacji filmowych w rodzaju „Odysei” czy „Obcego”. I do tego jeszcze trzech innych ekranizacji powieści Bolesława Prusa, z których najnowsza, kinowa, powinna zaspokoić bardziej tradycyjne gusta. Twórcy tego serialu bez wątpienia bawią się „Lalką”, ale bawią się nią inteligentnie. Zamiast próbować doścignąć oryginał, prowokują i fantazjują, jakkolwiek jest to zabawa trochę dla wtajemniczonych. Na dodatek gotowych, żeby podjąć ryzyko takiej gry.

Scenarzyści filmu, a prócz reżysera Pawła Maślony są to jeszcze Paweł Demirski i Jagoda Dutkiewicz, najwyraźniej przeczytali też „Emancypantki”. Zresztą sam Demirski w swoich licznych sztukach teatralnych (jak „W imię Jakuba S.” czy „Nie-boska komedia. Wszystko powiem Bogu!”), pokazywał społeczno-polityczny pazur i brawurowo dyskutował z polskimi świętościami czy mitami.

Zaskoczenia więc być nie mogło. Także po seansie „Kosa” tegoż Maślony, który w alternatywnej opowieści o Kościuszce pokazał wyraźnie, że nie interesuje go literalne przepisywanie powszechnie znanych historii. Poza tym współczesny widz, wychowany na harcującym z przeszłością kinie Quentina Tarantino czy na rozprawach z drapieżnym kapitalizmem w rodzaju „Aż poleje się krew” Paula Thomasa Andersona, oczekuje trochę innej dynamiki i estetyki niż widzowie dawnych „Lalek”.

Maślona odtwarza tamtą epokę bez dosłowności serialu Ryszarda Bera (1977) i zarazem bez artystycznego rozbuchania Wojciecha Jerzego Hasa (1968). Przywiązanym do tamtych wersji i zaczytanym w Prusie z początku może być trudno przyswoić to łobuzerskie, wręcz zbójnickie traktowanie tak samej intrygi, jak i rysunku postaci. Ale na pewno warto spróbować.

Bo przecież wszystko mogłoby się rozwinąć i zakończyć zupełnie inaczej – na przykład gdyby Izabela czytała odpowiednie gazety i spotkała na swej drodze ówczesne emancypantki, na czele z Elizą Orzeszkową (w tej roli Agnieszka Grochowska). Tragiczność Wokulskiego (Tomasz Schuchardt), który miał umrzeć „przywalony resztkami feudalizmu” i przez całe życie „tęsknił za śmiercią”, ukazana została dyskretniej, w samym jego nieprzystosowaniu do którejkolwiek z portretowanych grup. Czy w owych czasach, nawet jeśli nastawały właśnie nowe porządki, było w ogóle możliwe, ażeby tych dwoje coś naprawdę połączyło?

Odpowiedź serialu brzmi – niewykluczone. Pod warunkiem jednak, że spotkają się wreszcie na stopie partnerskiej, choćby miało to być nawet partnerstwo w interesie albo w... zbrodni. Ponurą wizję świata, w którym uprawia się „handel samym sobą” i wszyscy muszą grać sztywne role w teatrze życia społecznego, serial Maślony rozsadza od środka w sposób iście karnawałowy. Z obiektu westchnień i projekcji Stacha czyni bohaterkę mu równorzędną, a do tego ironiczną i pyskatą, każąc Łęckiej poszukiwać swojego miejsca z dala od matrymonialnych targów. I oczywiście robi to z ironią.

Takich emancypacyjnych przeróbek jest tu dużo więcej. Rzecki (zaskakujący Dariusz Chojnacki) ze „starego subiekta”, snującego rzewne gawędy, mocno w tej historii awansował i jego safandułowata poczciwość stopniowo zyskuje rys jeszcze szlachetniejszy. Z książkowego cienia wychodzą postacie w dwójnasób nieuprzywilejowane: uboga kuzynka Florentyna i pracownica seksualna Marianna (Julia Wyszyńska, Maria Kania – co za wspaniałe role!).

Paradoksalnie Wokulski też zostaje jakoś wyzwolony, choćby ze swoich obsesji czy upokorzeń. Za to prezesową Zasławską (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik) pozbawiono romantycznej aury, czyniąc zeń kostyczną strażniczkę starych porządków – i to również wydaje się wymowną zmianą. Nie oszczędzono także Łęckiego (świetny Jacek Braciak), czyniąc zeń zde-

eprasa.pl e0187a52f8



LALKA
– reż. Paweł Maślona. Prod. Polska 2026. Odc. 1-6. Netflix.

Czytana dziś „Lalka" przejmuje i ożywia odwieczny niepokój człowieka wywołany poczuciem, że nie jesteśmy suwerenni; że kierują nami siły, których nie znamy, pisał niedawno na naszych łamach Ryszard Koziołek. Jego tekst znajdą Państwo na stronie „TP" w dziale Kultura. Wkrótce również tekst o adaptacji filmowej.

Na zdjęciu: Sandra Drzymalska jako Izabela Łęcka i Tomasz Schuchardt jako Stanisław Wokulski w serialu „Lalka"

generowanego pijusa (zresztą mało kto wylewa tutaj za kołnierz). Finalnie wszystkie te przekręcenia czy przesunięcia, chociaż czasem toporne i mało twórcze, okazują się nie aż tak bardzo wbrew powieściowej „Lalce". Postępowy duch Prusa wydaje się po prostu ekstrawagancko wzmocniony. Jednocześnie twórcy czasami wydobywają ze źródłowego tekstu to, co bywało wówczas z różnych powodów przemilczane.

Zrezygnowali natomiast z aluzyjności politycznej – wątki rosyjskie czy żydowskie są tutaj czysto funkcjonalne i niespecjalnie wyeksponowane. Ale czy mogło być inaczej w produkcji, która nawet melodramat i całą społeczną panoramę traktuje umownie i zawadiacko. Dlatego trudno brać zupełnie na serio intelektualno-społecznikowskie aspiracje Izabeli, amory Rzeckiego, siarczysty demonizm Starskiego (Piotr Pacek) czy kryminalną intrygę, która zaburzy nam na długo i tak już skomplikowany obraz Stanisława.

Autorzy serialu idą w te absurdalnie wielopiętrowe intrygi, niewybredną groteskę czy wręcz makabreskę, by pokazać, do czego zdolni mogą być ludzie uwięzieni w kulturowych i ekonomicznych ograniczeniach, w niezasłużonych przywilejach i morderczych aspiracjach. Główni bohaterowie próbują przechytrzyć stary system, choć nie miejmy złudzeń – połączy ich wiara w pieniądz i jego wyzwalającą moc. Stąd ta nowa „Lalka", która wielu spośród swoich bohaterów próbuje upodmiotowić, mogłaby zostać odczytana jako bardzo cyniczna, gdyby właśnie nie była aż tak hucpiarska w traktowaniu wyjściowego tekstu.

A czy młodzież po tym serialu sięgnie po książkową „Lalkę"? Czy globalna widownia Netfliksa dostrzeże między kadrami wielkość naszego pisarza? To pytania całkowicie chybione. Wystarczy, że ta wystawna, pozbawiona patyny inscenizacja oraz mówiona współczesnym językiem i nowocześnie zagrana opowieść pozwolą zobaczyć w innym świetle rynkowo-genderowe uwikłania przebrane w XIX-wieczny kostium. Luksusowy sklep galanteryjny, pole naftowe, wyścigi konne to też tylko dekoracje dla uniwersalnej historii – o skrzywdzonej i odzyskiwanej godności, cenie społecznego awansu i brutalnym utowarowieniu wszystkiego.

Ciekawe tylko, czy nieznającym pierwotnej „Lalki" uda się to wyłuskać z awanturniczej, pełnej dziwacznych zwrotów fabuły. Jeżeli tak, będzie to prawdziwym sukcesem tego serialu. ©

Lektor:
Wielki powrót



▪ *William Faulkner*
NIEPOKONANE
tłum. Jacek Dehnel, Znak Literanova, Kraków 2026

JESIENNY PRZYPŁYW NOWOŚCI KSIĄŻKOWYCH BUDZI RADOŚĆ z przymieszką grozy. Bo jak to ogarnąć? Zawsze coś ważnego się pominie! Są jednak zjawiska, których pominąć po prostu nie sposób – jak triumfalny powrót Williama Faulknera, i to w nowych przekładach.

Zacznijmy od podziękowań dla pomysłodawców i realizatorów tego dzieła. Pierwsza była trzy lata temu „Światłość w sierpniu" w przekładzie Piotra Tarczyńskiego, potem „Gdy leżę, konając" (poprzednie wydanie miało tytuł „Kiedy umieram") w przekładzie Jacka Dehnela i „Schronienie" (dawniej „Azyl") w przekładzie Michała Tabaczyńskiego – wszystkie w Znaku, który zapowiada jeszcze „Absalomie, Absalomie!" i „Dzikie palmy". W Państwowym Instytucie Wydawniczym ukazała się natomiast pierwotna, obszerniejsza wersja powieści „Sartoris", zatytułowana „Flagi pokrył kurz" (tłumaczył Maciej Płaza).

Faulkner, klasyk amerykańskiej prozy i noblista z 1949 r., był u nas po przełomie październikowym tłumaczony dość obficie. Po roku 1989 rynek zdominowały nowe nazwiska, tym bardziej cieszy powrót klasyka i krytycznego piewcy amerykańskiego Południa. A jeśli ktoś po raz pierwszy zabierze się za lekturę tej niełatwej prozy, „Niepokonane" będzie niezłym początkiem. W siedmiu opowieściach układających się w całość zostajemy wrzuceni w sam środek faulknerowskiego świata, w epokę wojny secesyjnej i jej następstw, kruszejących zasad, które wydawały się niewzruszone. Narratorem jest dorastający właśnie Bayard Sartoris, potomek plantatorskiej rodziny, towarzyszy mu czarnoskóry mleczny brat Ringo, a nad wszystkimi postaciami góruje przedsiębiorcza i łamiąca stereotypy Babka Millard.

Jacek Dehnel w przekładzie, który Magda Heydel nazwała „cudownie nieoczywistym", pokusił się o zróżnicowanie mowy bohaterów i stworzenie polskiego odpowiednika na przykład gwary czarnych, nie wpadając w pułapkę, jak sam pisze, języka reymontowskich chłopów czy – taki przypadek sam pamiętam – góralszczyzny... Dodał też od siebie solidne przypisy oraz posłowie, w którym pisze między innymi o polskich tropach – w sensie historycznych analogii, a także literackich powinowactw (Włodzimierz Odojewski!).

Kiedy trzy dekady temu jeździłem po Stanach Zjednoczonych śladami wybitnych pisarzy, byłem w domu Faulknera, Rowan Oak. Na półce w gabinecie pisarza z przyjemnością zobaczyłem polskie przekłady jego książek. Mam nadzieję, że te nowe też tam trafią. ©℗

eprasa.pl e0187a52f8



JEREMI DOBRZAŃSKI / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

„Lary i penaty”

w Zamku Królewskim na Wawelu

Nowa wystawa na Wawelu poświęcona jest architekturze i budowaniu poczucia bezpieczeństwa. O ekspozycji opowiada jej kuratorka dr Bogumiła Wiśniewska.

JACEK TARAN: Wyjaśnijmy tytuł, który dzisiaj dla wielu osób może być niezrozumiały. Czym są lary i penaty?

BOGUMIŁA WIŚNIEWSKA: Lary i penaty to pojęcie wywodzące się z tradycji antycznej. Były to bóstwa, które opiekowały się domostwem, tym, co posiadamy, ale również drogami prowadzącymi do domu. „Lary i penaty” w Zamku Królewskim na Wawelu to wystawa o budowaniu poczucia bezpieczeństwa w architekturze, którą otwieramy razem z festiwalem „Wawel jest Wasz”.

Ekspozycja była w zeszłym roku pokazywana na XIX Biennale Architektury w Wenecji, a w Polsce będzie pokazywana po raz pierwszy. Nie jest to wystawa przeniesiona w skali jeden do jednego, ale wybór dzieł. Ten wybór jest bardzo mocno uzasadniony opowieścią o bezpieczeństwie Zamku Królewskiego na Wawelu.

Co ważne, z jednej strony Wawel jest gospodarzem wystawy, ale z drugiej sam staje się jednym z jej bohaterów, obiektem, który w ramach tej wystawy funkcjonuje.

Ale to też potoczne określenie sprzętów domowych, całego naszego codziennego bałaganu.

Nie będzie bałaganu. Przed nami opowieść o ukrytej w przedmiotach codziennego użytku magicznej mocy, która sprawia, że czujemy się bezpiecznie. Zobaczymy gromnicę, która będzie nas strzegła przed burzą, czy sól rozsypaną w kącie, która ma chronić przed złymi mocami. Strategie budowania poczucia bezpieczeństwa mogły być różne. W kontekście fizycznym były to choćby zaryglowane drzwi, okiennice, ale wokół tego było dużo rytuałów. O tym opowiada wystawa. To połączenie zabobonów i wierzeń, mitów, magii, ale również bezpieczeństwa, które kreujemy dzisiaj, czyli narzędzi współczesnych technologii, jak kamera, gaśnica czy po prostu kraty stawiające fizyczną barierę.

Czy możemy tu jakoś rozróżnić, czym jest bezpieczeństwo, a czym poczucie bezpieczeństwa?

Tak. Przede wszystkim bezpieczeństwo jest pokazane przy wykorzystaniu różnego rodzaju środków i materiałów. Drzwi do schronu są fizyczną barierą, która daje bezpieczeństwo, ale poczucie bezpieczeństwa w Zamku Królewskim na Wawelu to pewien rodzaj spokoju, możliwość doświadczenia czegoś zupełnie innego niż poza Wawelem.

Samo wejście na wzgórze wawelskie jest rodzajem wejścia w zupełnie nową przestrzeń doświadczania, kontaktu ze sztuką, wyciszenia, poszukiwania inspiracji, stawiania sobie pytań o to, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Galerie i muzea budują bezpieczeństwo wokół dzieł sztuki. Czy bezpieczeństwo odwiedzających musi zostać temu podporządkowane?

To są różne rodzaje bezpieczeństwa, zależy, jak to definiujemy. Oczywiście najważniejszą rolą i zadaniem muzeum jest bezpieczeństwo zbiorów. Natomiast bezpiecznie muszą się czuć również odwiedzający. Muzeum powinno dawać im pewność, że nie spotka ich tutaj nic złego, ale również w bardziej filozoficznym sensie – jest miejscem spokoju, wyciszenia i zatrzymania.

Tutaj możemy oderwać się od szumu informacyjnego: zmian społecznych, politycznych, klimatycznych. Na Wawelu czas się zatrzymuje. Nie musimy kłopotać się tym, co na co dzień spędza nam sen z powiek, ale postanawiamy oddać się w pełni wolnemu myśleniu i doświadczeniu sztuki.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl e0187a52f8

REKOMENDACJE FESTIWALU „WAWEL JEST WASZ”

1. Ogrody światła „Ogrody światłem malowane”, 24–27 września, godz. 19.00–23.00, Ogrody Królewskie.
Po zmroku znana przestrzeń zmieni swój charakter. Światło wydobędzie rytm zieleni, koron drzew, alejek i architektury, tworząc efemeryczną scenografię, w której historia spotka się ze współczesną sztuką światła.

2. Specjalne oprowadzanie 26 i 27 września, godz. 12.00–13.00. Wystawa „Lary i penaty”.
Podczas specjalnego zwiedzania z Piotrem Sarzyńskim, krytykiem sztuki, będzie można przyjrzeć się temu, jak współczesna sztuka opowiada o schronieniu, bezpieczeństwie i relacji człowieka z przestrzenią.

3. Skarbiec, jakiego nie znamy 24 i 26 września, godz. 15.30. Skarbiec.
W Skarbcu Koronnym dawne dzieła sztuki i przedmioty codziennego użytku staną się świadectwem lęków, nadziei i sposobów poszukiwania ochrony. O mniej znanej stronie wawelskich zbiorów opowiedzą kustosze Zamku Królewskiego na Wawelu Dariusz Nowacki i Marta Golik-Gryglas.

4. W kuchni najlepiej! 25 września, godz. 18.00. Panel „Dlaczego najlepsze imprezy są w kuchni?”.
Dom to nie tylko budynek, ale także rytuały, które nadają mu znaczenie. Jednym z nich jest wspólne przygotowywanie i spożywanie posiłków. O kuchni jako sercu domu, miejscu bliskości, gościnności i budowania relacji porozmawiają prof. Jarosław Dumanowski i Paweł Bravo.

Koordynatorką programu jest Zofia Gaweł

Szczegółowy program festiwalu

Wystawa była prezentowana na Biennale w Wenecji. Jak zmieniła się w nowym kontekście wzgórza wawelskiego?

Trzeba podkreślić, że jestem kuratorką tej wystawy z ramienia Zamku Królewskiego na Wawelu, natomiast nie byłam jej kuratorką w Wenecji. Wystawa stanowi element festiwalu „Wawel jest Wasz”, który mówi właśnie o poczuciu bezpieczeństwa w muzeum, a sam Wawel – mury obronne, baszty, wieże, cały system zabezpieczeń Zamku Królewskiego – staje się jednym z elementów opowieści o budowaniu poczucia bezpieczeństwa.

Wawel to bowiem nie tylko muzeum, ale też nekropolia królów polskich, to nie tylko rezydencja królewska, ale przede wszystkim dom. Jego mieszkańcy czuli się w nim bezpiecznie, bo wracali po prostu do siebie. I jako taki Wawel chcemy postrzegać i interpretować poprzez tę wystawę. Ekspozycji towarzyszy rozbudowany program interpretacyjny i edukacyjny.

Zwiedzając rezydencje takie jak Wawel, trudno pozbyć się wrażenia, że to wszystko jest jednak rekonstrukcją. Czy da się pokazać prawdę i naturalność dawnego życia?

Poruszamy się raczej w przestrzeni interpretacji. To znaczy, wiemy, w którym miejscu znajdował się apartament królewski, gdzie była część przeznaczona tylko dla króla, gdzie były części reprezentacyjne, a gdzie prywatne. Natomiast niewiele ocalało z autentycznego wyposażenia rezydencji. Pozostały z nami m.in. ogromna kolekcja arrasów króla Zygmunta Augusta, fragmenty architektoniczne wewnątrz zamku, a także głowy w Sali Poselskiej, które podziwiają odwiedzający.

Inne dzieła sztuki zgromadzone w zamku nie są artefaktami, które towarzyszyły królowi na co dzień. Są natomiast meblami, obrazami z epoki, czyli oddają charakter tego, jak wnętrze w renesansie i w baroku mogło wyglądać.

Żyjemy w czasach, w których poczucie bezpieczeństwa jest mocno zachwiane. Czy wystawa też porusza ten aspekt? Daje nam jakąś odpowiedź na dzisiejsze lęki?

Ten problem poruszamy dogłębnie podczas festiwalu „Wawel jest Wasz”. Jego program skoncentrowaliśmy wokół konfrontowania się z różnymi obawami, ale również wokół budowania mechanizmów obronnych.

Opowiadamy o tym, czy sztuka może być niebezpieczna, w jaki sposób zabezpieczać się, wykorzystując różnego rodzaju praktyki magiczne czy zielarstwo. W jaki sposób konstruować architekturę? Jak zaprojektować dom, abyśmy czuli się w nim bezpiecznie? W jaki sposób oddawać się lekturze książki albo jakiego rodzaju książki wybierać, aby w codziennym życiu złapać tę chwilę oddechu, zatrzymania? Czy można zaprojektować własną biżuterię, która będzie amuletem chroniącym nas przed czyhającym niebezpieczeństwem, niedogodnościami i lękami?

Z jakim wnioskiem zwiedzający powinni wyjść z tej wystawy?

Chciałabym, żeby spojrzeli na Zamek Królewski na Wawelu w inny sposób, żeby podziwiali go też jako miejsce, w którym sztuka dawna wchodzi w dialog ze współczesnością.

Wykorzystujemy więc różnego rodzaju mechanizmy obecne w sztukach wizualnych, które pomagają uzupełnić tę opowieść, wprowadzając do niej wątki związane z wyzwaniami współczesności, z którymi mierzy się człowiek.

To ważne, ponieważ Zygmunt Stary, Zygmunt August, przedstawiciele dynastii Jagiellonów, budowali zamek i otaczali się sztuką, która dla nich była wtedy sztuką współczesną. Dzisiaj rzadko myślimy o Jagiellonach w ten sposób. Dla nas to sztuka dawna. Dlatego w nawiązaniu do tradycji Jagiellonów, również dziś na Wawelu prezentujemy sztukę współczesną. ©℗


ADAM GOLEC / ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

dr Bogumiła Wiśniewska jest kustoszem dyplomowanym, kuratorką sztuki współczesnej w Zamku Królewskim na Wawelu. Inicjatorka festiwalu interpretacyjnego „Wawel jest Wasz”.

Partnerzy
Zamek Królewski na Wawelu
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Totalizator Sportowy | Lat — Mecenas Główny Zamku Królewskiego na Wawelu
PGE — Mecenas Edukacji i Partner Strategiczny Zamku Królewskiego
Bank Polski — Partner Strategiczny Zamku Królewskiego na Wawelu
LOT — Przewoźnik Zamku Królewskiego na Wawelu
Kraków Airport — Partner Zamku Królewskiego na Wawelu
Kulturalny Biznes — Mecenas Zamku Królewskiego na Wawelu

eprasa.pl e0187a52f8

PAWEŁ

Bravo:
Ostatni chłodnik



Trzynaście za sztukę. Co prawda nie bardzo prestiżowe i dość małe z Bretanii, ale nie da się ukryć: ostrygi tamtego lata były śmiesznie tanie. Jeśli zważymy – nie, nie samego małża, ileż może gramów mieć jego galaretowata *fizis*, doprawdy niewiele – jeśli, powiadam, zważymy na wartość odżywczą, na bombę łatwo przyswajalnego białka, jaka w tej galarecie się kryje, to łatwo stwierdzić, że to naprawdę tanio, bo już po wciągnięciu dwóch ostryg człowiek jest najedzony jak po solidnym szynclu. Wiedeńskim, ma się rozumieć, bo rzecz działa się w Krakowie.

Bywa to miasto pocieszne, a czasem zwyczajnie żałosne, gdy jeszcze dziś usiłuje paradować w wytartym mundurze c.k. radcy dworu szóstej powiatowej rangi – bo jeśli odjąć znamiona wielkości zrozumiałe tylko dla Polaka, rozmaite skałki, wawele i ujoty – to był w skali tamtej niemożliwej monarchii przecież powiatowym miastem na rubieży. Znam dosadniejsze słowo na peryferyjność, jednak wszystkie wulgaryzmy w tym miesiącu wykupił na pniu w hurtowni polskiej mowy pewien znany serial. Ale przynajmniej tyle dobrego wynika dla nas z tego habsburskiego snobizmu, że w tym mieście podadzą nam domyślnie nie schaboszczaka, tylko jednak płat dobrej cielęciny usmażony w obfitym klarowanym maśle.

To zabawne skądinąd, że dobry stary austriacki *Butterschmalz* wrócił w tym stuleciu do wielkich łask kuchennych dopiero na grzbiecie fascynacji Indiami i zyskał nowe życie jako *ghee*. Pozwólcie, jeszcze druga dygresja na przystawkę: skoro dobrze widzimy z perspektywy ponad stulecia, że tamta federalna składanka połowy Europy nie mogła się utrzymać, to skąd przekonanie, że obecna, jak to się powiada naukowo, iteracja tego samego eksperymentu potrwa znacznie dłużej? Na próżno pieją koguty, nikt ich nie zamierza oskubać na czarne pióropusze dla koni w kondukcie żałobnym, bo ta nasza dzisiejsza Unia nawet krztyny próżnego majestatu nie ma, tylko zastygłą w okolicach zera nudę.

Piszę przeszłym czasem „tamtego lata", choć te ostrygi po trzynaście sprzedawali nie dalej jak w zeszłą niedzielę podczas cyklicznego pikniku pasibrzuchów na Placu na Stawach, w krakowskiej okolicy, którą sprytni agenci nieruchomości mianują bezprawnie Salwatorem. O, to jest doprawdy nadużycie, bowiem najbardziej prestiżowe adresy Europy Środkowej znajdują się powyżej, na wzgórzu, tu poniżej na płaskim są tylko i aż Półwsie, nazwa może mniej szlachetna, ale bardziej za to językowo seksowna, przynajmniej tak uważam jako lokalny półwiejski patriota. No tak, ale zeszła niedziela wypadła jeszcze przed równonocą, czyli formalnie było lato. Poprzednie tygodnie były wspaniałym okazem złotego września, dawno już wejście w jesień (faktyczną, nie urzędową) nie było tak spektakularne, świetliste, ciepłe, nasycone, pełne powidoków w chlaśniętych słońcem oczach, ten i ów dzięki temu jeszcze się zdołał łudzić na moment, że ciągle trwa późne lato. Etam lato, my, którzy odznaczamy na własnym grzbiecie upływ życia wedle cyklu słoikowych przygotowań, nie mogliśmy już niczego udawać: oto w garnkach na kuchni zaczęły już pykać banieczki powietrza z długo podgrzewanych powideł, między straganami stawowego targu raz czy drugi podsłuchiwałem rozmowy małżonków, czy aby na pewnośmy nastawili dość ogórków na zimę, bo to jeszcze ostatni moment, żeby kupić takie prawdziwe i godne ukiszenia. Cały ten okres można by określić jako ciąg ostatnich momentów na coś, nanizanych na sznurek równie ostatnich dni.



ADRIANNA BOCHENEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dni ostatnich nie tylko dla polowań na pomarszczoną węgierkę i kanciastą antonówkę (koniecznie z brązową plamą przy ogonku, coraz częściej widuję bez!), ale w rozumieniu metafizycznym, bo przecież wokół wszyscy mówią o apokalipsie. Są różne rodzaje lęku i obaw, jedne pozwalają się lepiej przygotować, ogarnąć sprawy najważniejsze dla życia, wziąć w garść siebie i otoczenie (np. zakręcić więcej słoików), inne odwrotnie, paraliżują, skracają oddech, wciskają głowę jeszcze głębiej w poduszkę. I ten drugi rodzaj lęku wydaje mi się właśnie teraz powszechny za sprawą, niestety, źle pomyślanej strategii budowania napięcia przez czynniki rządowe. Może nie da się inaczej,

eprasa.pl e0187a52f8



Bulwary Wiślane w Krakowie

może ci ludzie mają rację – nie wiem, nie obwiniam, ale prywatnie próbuję po prostu zadbać o równy swój oddech i ochotę do życia, łapiąc proste przyjemności. Trudno, nie umiem powiedzieć, gdzie jest granica między dbaniem o wewnętrzny spokój a nieodpowiedzialną beztroską. W każdym razie w ostatnie dni astronomicznego (i historycznego może...) lata pojadłem to i owo.

Stawy w nazwie placu to pozostałość rybnej hodowli sióstr z pobliskiego klasztoru – na pewno pływały w nich karpie, a nie ostrygi. Nie mam nic przeciw egzotycznym wycieczkom, ale moment ostatniości wolałem posmakować bardziej lokalnie. Zjadłem chłodnik – jak szybko zapominamy o tej potrawie, znika nam wraz z wakacjami. A raczej ciekawą wariację na jego temat w restauracji pana Barona, który na moje oko (a raczej podniebienie) osiągnął wreszcie idealną pełnię rozumienia tradycji, polegającego właśnie na tym, że można sobie z nią śmiało igrać, ciągać za rękaw i podstawiać nogę, ale zawsze z sensem. Pięknie i dostatnio sobie tu żyjemy, popijając tanie ostrygi najgorszym winem w plastikowym kubeczku i debatując jak scholastycy na Sorbonie nad istotą buraczkowego zakwasu. A może to tylko przedostatnie lato? Bardzo proszę.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Torta Monferrina

300 g miąższu dyni (najlepiej Delica albo Hokkaido) 2 duże antonówki albo renety 150 g herbatników amaretti 100 ml mleka 60 g cukru 50 g rodzynek namoczonych w białym winie 50 g gorzkiej czekolady 2 jajka ▪ łyżka kakao ▪ łyżeczka kawy (opcjonalnie)

Z prawdziwymi antonówkami jest coraz większy problem i nawet jeśli nasz nieszczęsny kontynent nie popadnie w żadne wojny i destrukcje (oby!), to obawiam się, że i tak wkrótce będą tylko wspomnieniem – są bardzo nietrwałe, po nawet lekkim obiciu szybko się psują, nie wytrzymują konkurencji z o wiele łatwiejszymi w dystrybucji renetami. A jednak mi ich żal – dlatego dopóki mogę, raz na rok łączę je z inną wrześniową kometą, czyli dynią odmiany Delica, równie nietrwałą i z tej racji zastępowalną o wiele częstszą odmianą Hokkaido. Piekę bardzo specyficzny mokry placek bez mąki, typowy dla mojego ukochanego kawałka Piemontu, czyli łagodnych pagórków Monferrato. Piemont jako całość to jest osobna, fascynująca gwiazda w konstelacji kuchni włoskiej, ma kilka bardzo ciekawych wytrawnych deserów, ale to połączenie jabłek z dynią występuje chyba tylko w tym pięknym, niezadeptanym i rzadko wspominanym subregionie. Renety obieramy i kroimy w kostkę, wkładamy do garnuszka z 30 g cukru, podlewamy paroma łyżkami wody, dusimy pod przykryciem kwadrans. Również kwadrans gotujemy osobno pokrojony z grubsza w kostkę miąższ dyni w 100 ml wody. Odcedzamy (dynia powinna dać się rozgnieść widelcem, jeśli nie, to dusimy dłużej), łączymy z jabłkami, mieszamy oba musy, studzimy. W dużej misce łączymy namoczone w winie rodzynki, resztę cukru, posiekaną czekoladę, pokruszone drobno amaretti, kawę, kakao, wbijamy jajka i wlewamy mleko, dokładnie mieszamy, na koniec dodajemy jabłko z dynią. Przelewamy do tortownicy wyłożonej papierem do pieczenia tak, by ciasto miało 3-4 cm wysokości. Pieczemy w 170 stopniach przez ok. godzinę, ciasto po upieczeniu nadal powinno być dość mokre. Na wydaniu możemy posypać cukrem pudrem, bo całość wyjdzie nam dość wytrawna. ©℗



REALY EASY STAR / TONI SPAGONE / ALAMY / BE&W

eprasa.pl e0187a52f8



PTAKI NIE ZNAJĄ GRANIC

Birdwatching to zachwyt i buchalteria. Mieszanka dziecięcego zdumienia i niemal urzędniczej dokładności przyciąga szczególny typ ludzi.

PIOTR TRYJANOWSKI

NA BAGNACH POZNAJE SIĘ LUDZI INACZEJ NIŻ GDZIEKOLWIEK indziej. Nie po tym, co mówią, bo z początku nie mówią prawie nic, tylko po tym, jak stoją. Prawdziwego ptasiarza widać z dwustu metrów: nieruchomy, lekko pochylony, z lornetką niemal wrośniętą w twarz, obojętny na to, że grzęźnie po kostki, a komar właśnie gryzie go w kark. Wygląda, jakby czekał na koniec świata i wcale się nie spieszył.

Kto stoi w tym błocie

A najlepiej widać go tam, gdzie najtrudniej. Bo obserwatora z prawdziwego zdarzenia poznaje się nie przy asfaltowej ścieżce z tabliczkami, tylko po kolana w rozlewisku, o piątej rano, w mżawce, która zacina poziomo. Im gorsze warunki, tym pewniejsze, że trafisz na najlepszych, i że trafisz na nich w kilku konkretnych miejscach.

Bo ptasiarstwo to niemalże religia, ma więc i swoje sanktuaria. Największą liczbę pielgrzymów ściągają Biebrza z jej rozlewiskami i dubeltami, Puszcza Białowieska z dzięciołami, których gdzie indziej w Europie nie uświadczysz, Polesie z bąkiem i orlikami. To w takich miejscach, o świcie, spotyka się największe zagęszczenie lornetek na metr kwadratowy błota

eprasa.pl e0187a52f8



PAUL MARRIOTT / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Wędrówki ptaków (m.in. zamieszkujących wybrzeża ostrygojadów i biegusów, preferujących arktyczne regiony) obserwowane w Snettisham we wschodniej Anglii. Wrzesień 2021 r.

i, jak się okaże, całkiem sporo osób, które na co dzień decydują o rzeczach znacznie poważniejszych niż to, czy przeleciała właśnie wodniczka, czy rokitniczka.

Trzeba powiedzieć jasno: to zajęcie sprowadza się do sztuki cierpliwej uwagi. To godzina za godziną poświęcone temu, żeby popatrzeć, jak skowronek wznosi się w niebo i śpiewa, aż zniknie z pola widzenia; żeby przyjrzeć się, jak bocian metodycznie przeczesuje łąkę; żeby po ledwie słyszalnym głosie w szuwarach rozstrzygnąć, kto się odezwał. To także, dodajmy szczerze, mnóstwo spojrzeń w aplikację na telefonie, która podpowie głos, i kartkowania opasłych atlasów, w których szuka się jednej jedynej kreski na skrzydle, odróżniającej dwa łudząco podobne gatunki.

Birdwatching to w równych częściach zachwyt i buchalteria. I właśnie ta mieszanka, dziecięcego zdumienia i skrupulatnej, niemal urzędniczej dokładności, sprawia, że przyciąga pewien szczególny typ ludzi.

Nawyk czekania

Nienagannie ubrani – nie w turystycznym sensie, że mają nowy plecak, tylko w tym drugim: nawet w błocie wyglądają, jakby za chwilę mieli iść na lunch do ambasady. Lornetki mają nie takie, jak większość. Buty dobre, milczenie jeszcze lepsze. *High class*, chciałoby się pomyśleć, i nie byłoby to całkiem mylne wrażenie.

Jest w tych ludziach coś, czego nie da się kupić w sklepie z outdoorowym sprzętem: spokój kogoś, kto wiele widział i nauczył się nie okazywać zdziwienia. Sprzęt mają najlepszy, ale noszą go bez ostentacji, jak ktoś, dla kogo dobra lornetka jest równie oczywista jak dobre pióro. Nie robią zdjęć telefonem na pamiątkę. Nie pytają, „gdzie tu można coś zjeść". Stoją i patrzą, a ta ich umiejętność stania w bezruchu i obojętność na niewygodę zdradzają ludzi przyzwyczajonych do czekania: na źródło, na sygnał, na właściwy moment.

Gdy już zdecyduję się podejść – albo, co zdarza się częściej, przypadkowo przetną się nasze introwertyczne drogi – wtedy rozmowa składa się z prostych stwierdzeń, a jednak podkreślających unikatowość spotkania. „Wodniczka się odezwała po drugiej stronie" albo „Orlik grubodzioby krążył nad olsem od rana". I wtedy wydarza się rzecz, którą lubię najbardziej. Bo ptasiarze to plemię, które rozpoznaje swoich natychmiast, i po pierwszym zdaniu rozmówca lekko się prostuje – aha, to jeden z nas – a ja dorzucam coś, czego się po przypadkowym facecie w kaloszach nie spodziewał. Że wodniczka to najrzadszy wędrowny ptak śpiewający Europy kontynentalnej, endemit, którego prawie połowa światowej populacji siedzi tu, u nas, i na białoruskim Polesiu. Że jej ochrona z definicji jest sprawą międzynarodową, bo ptak nie wie, gdzie kończy się Polska, a zaczyna Białoruś, i zimuje sobie spokojnie w Afryce Zachodniej, w delcie Senegalu, jakby granicami nie warto było zawracać sobie głowy.

Zawodowi słuchacze

Rozmówca zwykle kiwa głową, bo przecież doskonale wie, czym jest wodniczka. A ja łapię się na nabytym przez lata edukacyjnej przygody mentorskim tonie i szybko go łagodzę, bo nie ma nic bardziej żenującego niż tłumaczyć znawcy rzeczy, które zna. Uśmiechamy się obaj. On wie, że ja wiem, że on wie. Cicha wymiana dwóch ludzi, którzy rozpoznali w sobie ten sam gatunek, jest właściwie całą rozmową.

Prawda jest taka, że *birdwatching* to nie jest hobby dla przypadkowych ludzi, a już na pewno nie na tym poziomie, na którym uprawiają je ci nienaganni goście z Biebrzy i Puszczy Białowieskiej. To pasja, która ciągnie ku sobie zaskakująco dużo osób z jednego, konkretnego świata: dyplomatów, oficerów, urzędników międzynarodowych, ludzi, którzy zawodowo zajmują się patrzeniem i słuchaniem.

I im dłużej się nad tym zastanawiam, tym mocniej podejrzewam, że to nie przypadek. Że jest coś w naturze obserwowania ptaków, co czyni z niego wprost idealne przedłużenie dyplomacji innymi środkami. A czasem, o czym za chwilę, także przedłużenie zajęć znacznie mniej niewinnych.

Minister, który wolał ptaki

Zapamiętałymi ptasiarzami bywali wielcy tego świata. Sir Edward Grey, najdłużej urzędujący brytyjski minister spraw ↦

eprasa.pl e0187a52f8



THOMAS WINSTONE / ZUMA PRESS / FORUM

Dudek zwyczajny (Upupa epops) to rzadki widok na walijskich łąkach. Ten gatunek wędrownego ptaka gniazduje na rozległym obszarze Eurazji, ale Wyspy Brytyjskie znajdują się poza jego zwyczajnym zasięgiem występowania. Swansea, październik 2024 r.

↦ zagranicznych XX w. – ten sam, który w sierpniu 1914 r. wypowiedział słynne zdanie o gasnących nad Europą latarniach – był ornitologiem z krwi i kości. Napisał piękną książkę o śpiewie ptaków, „Urok ptaków", opartą wyłącznie na własnych obserwacjach, i przez całe życie uciekał od polityki do swojej chatki nad rzeką, do której nie wpuszczał niemal nikogo.

Niemal, bo w czerwcu 1910 r. zrobił wyjątek. Przyjechał wtedy do Anglii Theodore Roosevelt, świeżo po ośmiu latach prezydentury USA, i poprosił, żeby ktoś, kto zna głosy angielskich ptaków, poszedł z nim na spacer. Tym kimś został urzędujący minister spraw zagranicznych imperium. Spędzili razem cały dzień w lesie New Forest, rozpoznając po głosie skowronki, trznadle, pokrzewki. Ponoć nie rozmawiali o traktatach ani o równowadze sił. Rozmawiali o ptakach i, jak obaj potem zgodnie zaznaczali we wspomnieniach, właśnie dlatego ta rozmowa coś znaczyła.

Bo tu tkwi cały sekret. Kiedy dwaj ludzie władzy siadają do stołu negocjacyjnego, każde ich słowo jest ważone, każdy gest interpretowany, nic nie jest niewinne. Ale kiedy ci sami dwaj ludzie stoją w błocie i próbują ustalić, czy to był mysikrólik, czy pierwiosnek – coś się rozluźnia. Spadają maski. Zostają dwie osoby połączone bezinteresowną pasją: chęcią zobaczenia małego, dzikiego stworzenia, które za chwilę odleci i nic z tego nie będą mieli. Ta bezinteresowność jest właśnie walutą. Buduje zaufanie, którego nie kupi się przy stole obrad.

Kiedyś tę rolę pełniły łowy. Zapraszano koronowane głowy na wspólne polowania, obdarowywano się egzotycznymi zwierzętami. Chiny do dziś rozdają pandy, a jeszcze sto lat temu w Nepalu przyjmowano brytyjskich książąt masakrą tygrysów i nosorożców na grzbietach sześciuset słoni. Ale łowy się praktycznie skończyły, albo odbywają się daleko od mediów. Kiedy w 2012 r. wyciekło zdjęcie króla Hiszpanii Juana Carlosa pozującego z karabinem nad zabitym słoniem w Botswanie, hiszpański oddział WWF w ciągu paru dni odebrał mu honorowe przewodnictwo, które przyznano mu 40 lat wcześniej właśnie dlatego, że kochał polować. W ciągu jednego pokolenia to, co czyniło z człowieka idealnego patrona ochrony przyrody, uczyniło zeń jej wroga. Powstała próżnia.

Wypełnia ją cichcem lornetka. Bo *birdwatching* ma wszystkie zalety dawnych łowów – buduje więź, personalizuje relacje, tworzy neutralny grunt – a nie ma ich głównej wady. Nie trzeba zabijać. Nikt nie zrobi ci kompromitującego zdjęcia z trupem. Do tego jest tańszy niż golf, bardziej egalitarny niż loża na wyścigach, i, co najważniejsze, wygląda na absolutnie apolityczny. A nie ma w dyplomacji nic cenniejszego niż pozór apolityczności.

Siewki zamiast bomb

Najlepszą historię o tym, jak daleko może zaprowadzić rozmowa o ptakach, przywiózł kilka lat temu Nowozelandczyk. Winston Peters, minister spraw zagranicznych Nowej Zelandii, wybrał się w 2007 r. do Korei Północnej – to jeden z nielicznych zachodnich ministrów, których tam wpuszczono – z misją nakłonienia reżimu do porzucenia prac nad bombą ato-

eprasa.pl e0187a52f8

mową w zamian za pomoc gospodarczą. Z bombą, rzecz jasna, się nie powiodło. Peters nie wrócił jednak z pustymi rękami. Wrócił z porozumieniem o ptakach: zapewnieniem bezpiecznego przelotu dla dziewięćdziesięciu siedmiu tysięcy ptaków siewkowych, które co roku wędrują z północnokoreańskich wybrzeży aż do zatoki Miranda w Nowej Zelandii. Dwa lata później do Korei Północnej – wszak kraju zamkniętego jak sejf – dotarła pierwsza w historii delegacja ornitologów i policzyła tamtejsze ptaki brodzące.

Można się z tego śmiać, i sam Peters się śmiał, mówiąc, że następnym razem spróbuje „celować wyżej". Ale jest w tym też coś, co warto potraktować serio. Z rozmów o rozbrojeniu przetrwała tylko relacja z reżimem zbudowana na ptakach. Ale to właśnie ta relacja sprawiła, że przez lata Peters uchodził za jednego z niewielu ludzi Zachodu, którzy potrafią rozmawiać z Pjongjangiem – za możliwego pośrednika, „neutralnego arbitra". Ptaki okazały się trwalsze niż niejeden oficjalny traktat, bo kanał, który raz otworzyły, pozostał otwarty.

To nie przypadek, że akurat ptaki. Żadne inne stworzenie nie nadaje się do tej roli równie dobrze, bo żadne inne nie lekceważy granic tak demonstracyjnie. Ptaki wędrowne są z natury problemem międzynarodowym – ale i pomostem. Amerykanie i Japończycy, Amerykanie i Rosjanie podpisywali konwencje o ich ochronie w samym środku zimnej wojny, bo temat był na tyle „niewinny", że pozwalał usiąść przy jednym stole, gdy wszystko inne było zablokowane. W najeżonej minami koreańskiej strefie zdemilitaryzowanej to właśnie brak ludzi sprawił, że przetrwały krytycznie zagrożone żurawie mandżurskie. I żuraw stał się tam jednym z nielicznych tematów, o których Północ i Południe w ogóle potrafią rozmawiać.

James Bond był ornitologiem

Istnieje w tej opowieści jeszcze jeden wątek. Otóż w brytyjskim żargonie wywiadu słowo *birdwatcher* od dawna oznaczało po prostu szpiega. I nie jest przypadkiem, że najsłynniejszy szpieg świata nazywa się James Bond: Ian Fleming, sam oficer wywiadu marynarki, podkradł to nazwisko z okładki przewodnika „Ptaki Indii Zachodnich", którego autorem był amerykański ornitolog... James Bond. Taki żart dla wtajemniczonych. Bo skoro „ptasiarz" znaczy „szpieg", to szpieg nazwany imieniem ornitologa jest podwójnie zabawny.

Ale powód tego pokrewieństwa nie jest wcale żartem. Sztuka obserwacji prowadzonej przez przyrodnika i przez szpiega to niemal ta sama umiejętność: cierpliwe wypatrywanie drobnych anomalii, rozpoznawanie po niepełnych przesłankach, notowanie zachowań i – przede wszystkim – zdolność do bycia niewidocznym. Legendarny szef agentów MI5, Maxwell Knight, pierwowzór bondowskiego „M", był jednocześnie popularnym przyrodnikiem i prezenterem radiowym BBC, uczącym dzieci obserwacji. Sekretarz waszyngtońskiego Smithsonian, S. Dillon Ripley, w czasie wojny prowadził agentów w Azji Południowo-Wschodniej – a złośliwi mówili, że tak jak inni szpiedzy używali ptaków jako przykrywki, on używał szpiegostwa jako przykrywki do obserwowania ptaków.

Piszę o tym nie po to, żeby rzucać cień podejrzeń na sympatycznych gości z lornetkami. Piszę o tym, bo to odsłania sedno całej sprawy. Ta sama cecha, która czyni *birdwatching* znakomitym narzędziem miękkiej dyplomacji – że wymaga cierpliwości, uważności, jest pozornie niewinny, polega na wchodzeniu w cudzy świat bez narzucania mu się – czyni go też idealną przykrywką. Miękka siła i miękkie szpiegostwo wyrastają z jednego korzenia: ze sztuki patrzenia bez bycia widzianym. A to jest, jeśli się dobrze zastanowić, całkiem niezła definicja dyplomacji.

Lot do domu

Wszystko to zrozumiałem niedawno w Tajlandii. Byłem tam z lornetką, tropiąc gdzieś na południu dzioborożce i zimorodki, kiedy natknąłem się na dwóch panów, którzy należeli do tego nienagannego dyplomatycznego plemienia. Zaczęło się od ptaka, bo od czego innego. Skończyć się nie chciało. Przedstawiłem się, musiałem przeliterować nazwisko, jeden z nich dyskretnie sięgnął po telefon, żeby sprawdzić kim jestem, i rozmowa nabrała innego ciężaru. Mówiliśmy o ptakach i ptasiarstwie godzinami, bo szybko przenieśliśmy się do nadrzecznego baru – o różnicy między śpiewem gatunków, o szlakach wędrówek, o tym, jak jedno stworzenie potrafi spiąć w jedną trasę pół tuzina zwaśnionych krajów, no i o tej całej ptasiarskiej socjologii.

A potem, jakby mimochodem, zaczęliśmy mówić o świecie. A świat akurat wyglądał paskudnie, bo właśnie zamykano cieśninę Ormuz, i cała nasza trójka miała dokładnie ten sam, całkiem przyziemny problem: jak, do licha, wrócić teraz do domu? Loty się sypały, ceny szalały, a w naszej rozmowie było coś, czego długo nie umiałem nazwać, a co teraz wydaje mi się oczywiste. Obcy sobie ludzie z różnych stron świata dzięki ptakom w pół godziny dogadali się lepiej, niż niejedna delegacja dogaduje się przez tydzień. A gdy zamknęła się cieśnina i posypały plany, okazało się, że dzielimy nie tylko fascynację zimorodkiem, ale i całkiem zwykły kłopot: chęć powrotu do swoich.

I może to jest właśnie cała tajemnica. Ptaki nie znają granic – to zdanie powtarza każdy dyplomata, a może szerzej: każdy polityk-ptasiarz, jakiego spotkałem. Ale sęk w tym, że to poczucie czasem na chwilę udziela się ludziom. Kiedy stoisz obok kogoś i obaj patrzycie na to samo dzikie, wolne stworzenie, przestaje być ważne, z jakiego jesteście kraju. Zostaje tylko wspólne patrzenie. A od wspólnego patrzenia do wspólnego myślenia jest, jak się okazuje, znacznie bliżej, niż uczą w szkołach dyplomacji.

Grey wiedział to sto lat temu, prowadząc Roosevelta nad rzekę. Peters odkrył to w Pjongjangu, wracając z paktem o siewkach zamiast o bombie. Tamci dwaj panowie w Tajlandii też to wiedzieli i dlatego w ogóle ze mną rozmawiali. A ja przekonuję się o tym za każdym razem, gdy o świcie na bagnach zagadam kogoś nieruchomego w kaloszach – chociaż nie po to noszę lornetkę.

© PIOTR TRYJANOWSKI

Autor jest profesorem biologii, specjalizuje się w ekologii behawioralnej i ornitologii. Pracuje na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu. Bada m.in., w jaki sposób zwierzęta przystosowują się do zmian klimatycznych i działalności człowieka. Opublikował kilka książek, m.in. „Rozum z ptakami odlatuje", „Wino i ptaki", „Bocian. Biografia nieautoryzowana".

eprasa.pl e0187a52f8

TOMASZ

Stawiszyński:
Troska o wspólny dom



Rok temu otrzymałem zaproszenie do udziału w konferencji „Creatio continua", organizowanej przez Światowy Ruch Katolików na rzecz Środowiska oraz Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie. Tematyka wystąpień krążyła wokół wątków z „Laudato si'", encykliki papieża Franciszka opublikowanej dokładnie dekadę wcześniej. Przyznam, że dopiero przygotowując się do wystąpienia, przeczytałem ten tekst w całości. W 2015 r. byłem od chrześcijaństwa znacznie dalej niż dzisiaj, a choć żywiłem do Franciszka pewną sympatię, nie była ona aż tak wielka, żeby uważnie wczytywać się w jego encyklikę. Poprzestałem więc na omówieniach. Kiedy jednak wreszcie sięgnąłem do źródła i uważnie rzecz przestudiowałem, odniosłem wrażenie, że jest to – mówiąc bez najmniejszej przesady – jeden z najgłębszych i najbardziej przekonujących współczesnych manifestów ekologicznych. Z dwóch, przede wszystkim, powodów.

Po pierwsze, odwołując się do chrześcijańskiej tradycji, która wyraźnie definiuje człowieka jako istotę ograniczoną i stworzoną przez Boga – przebywającą na świecie tymczasowo, w drodze do innego życia – przypomina, że ewangelie stoją na antypodach bałamutnej religii nieograniczonego wzrostu, zysku i rozwoju.

A po drugie, powtarzająca się w encyklice fraza „wszystko jest ze sobą połączone" skutecznie przeciwstawia się kulturze egoizmu i narcyzmu, istotnemu źródłu eksploatacji środowiska naturalnego, która nastawiona jest wyłącznie na doraźną korzyść eksploatatora. Jednym słowem – myślałem, czytając przed rokiem wywód Franciszka – mamy tu do czynienia z perspektywą, której współczesnym narracjom ekologicznym, zwłaszcza tym spod znaku radykalnej apokaliptyki, brakuje. Mianowicie: z szerszą ramą, głębszym kontekstem, umocowaniem tego, co praktyczne i konkretne, w czymś bardziej ogólnym i fundamentalnym.

Chrześcijański uniwersalizm, owo „nie ma już Żyda ani Greka, niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety" (Ga 3, 28), wynika z wiary, że wszyscy bez wyjątku zostaliśmy stworzeni przez dobry i mądry Absolut, który nałożył na nas rozmaite zobowiązania. Z tej wiary wynika również postawa troski o planetę, która nie jest naszą własnością, lecz jedynie miejscem udostępnionym nam do użytkowania przez, nazwijmy to, pewnego wspaniałomyślnego dewelopera. Jednak podczas lektury towarzyszyło mi również wrażenie, że choć mam do czynienia z dokumentem pierwszej wagi, to w codziennym kościelnym przekazie ten temat w zasadzie nie istnieje. „Laudato si'" pozostaje czymś odosobnionym, tekstem, o którym powiedzieć, że się do szerszej publiczności nie przebił, to wyrazić się w sposób nadzwyczaj delikatny. Zdarzyło mi się jeszcze w ciągu ostatnich miesięcy nie raz do niego wrócić, tu i tam coś na jego temat powiedzieć – ale nie opuszczało mnie poczucie, że rzecz pozostaje niszowa.

Tymczasem 2 września 2026 r. Międzynarodowa Komisja Teologiczna opublikowała dokument pod nazwą „Troszczyć się o nasz wspólny dom – odpowiedzialna i braterska odpowiedź Bogu Trójjedynemu", który jest w zasadzie rozwinięciem i dopełnieniem wątków obecnych w „Laudato si'". Jak to teraz bywa – dokument przepłynął przez media na poziomie efektownych nagłówków, ogłaszających, że oto Watykan ustanowił niniejszym nową kategorię grzechu, mianowicie „grzech ekologiczny". Jest to oczywiście nieprawda – że mamy tu coś zasadniczo nowego – zarówno w kontekście encykliki Franciszka, jak i tego, co nie raz mówił Jan Paweł II, którego również, o czym mało kto wie, cechowała spora ekologiczna wrażliwość. W „Troszczyć się o nasz wspólny dom" nie brakuje przenikliwej krytyki współczesnego kapitalizmu, a także, podobnie jak u Franciszka, przypominania o ograniczonej, podatnej na błędy i uwiedzenia ludzkiej naturze. Jest tam też szczegółowo opisana metafizyczna podstawa imperatywu troski o środowisko – poświadczona odniesieniami do dwutysiącletniej chrześcijańskiej tradycji.

Cóż, nie po raz pierwszy okazuje się, że chrześcijaństwo nabiera dziś, podobnie jak u swoich początków, ogromnego potencjału kontrkulturowego. Że można w nim odnaleźć takie postawy, wartości i przekonania, które stanowią antidotum na drapieżny, późny kapitalizm. Przy czym ani w wypadku Franciszka, ani Leona XIV, ani wspomnianego dokumentu z 2 września, nie mamy do czynienia z radykalnym konserwatyzmem czy tradycjonalizmem, odrzucającym nowoczesność jako li tylko siedlisko chaosu i postulującym powrót do mitycznej krainy, w której wszystko działo się zgodnie z doskonałą przedustawną harmonią. Wręcz przeciwnie: to raczej przypomnienie, że wciąż istnieje w naszej kulturze opowieść, która metafizyczny i etyczny punkt ciężkości lokuje gdzieś poza obszarem tego, co namacalne, materialne, konkretne i policzalne. A zarazem za wartości niezbywalne uznaje ofiarność, wyrzeczenie się przemocy i eksploatacji oraz troskę o słabszych. I że ta opowieść nie dotyczy spraw zamierzchłych albo oderwanych od ludzkiego doświadczenia, lecz właśnie tego, co, by tak rzec, najbliższe i najbardziej rzeczywiste.

Pytanie brzmi tylko – co jest potrzebne, żeby opowieść ta znowu zabrzmiała wiarygodnie nie tylko dla tych, którzy i tak w nią wierzą? Oprócz tego, rzecz jasna, że wiarygodność musi najpierw odzyskać instytucja, która choć mieni się jej najważniejszym szafarzem, nie jeden raz się jej radykalnie sprzeniewierzała? ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl e0187a52f8



SEJMIK WOJEWÓDZTWA
WSPIERA MIESZKAŃCÓW

MAZOWSZE MA MOC POMAGANIA

Mazowsze » dla kół gospodyń wiejskich »

więcej o programach wsparcia na **mazovia.pl**

REKLAMA

eprasa.pl e0187a52f8

Festiwal Przestrzeń Słowa

Ucieczka

2–24 października 2026

Biblioteka Śląska
Plac Rady Europy 1 / Katowice

przestrzeń słów

Marta Baron-Milian / Magdalena Bielska / Marek Bieńczyk / Joanna Bociąg / Iwona Boruszkowska / Jericho Brown(USA) / Graeme Macrae Burnet(Szkocja) / Adrian Chorębała / Anna Cieplak / Olga Drenda / Andrzej Drobik / Richard Flanagan(Australia) / Rafał Gawin / Dorota Grabek / Tomasz Gromadka / Grzegorz Jankowicz / Jerzy Jarniewicz / Szymon Kloska / Emilia Konwerska / Jakub Kornhauser / Artur Madaliński / Karol Maliszewski / Dorota Masłowska / Marcin Meller / Piotr Metz / Marcin Mońka / Monika Ochędowska / Wacław Oszajca SJ / Marek Pacukiewicz / Katarzyna Pryc / Maciej Robert / Adam Robiński / Piotr Sadzik / Emilia Staniek / Tomasz Stawiszyński / Weronika Stencel / Oliwia Stępień / Natalka Suszczyńska / Katarzyna Szweda / Antonina Tosiek / Zofia Ulańska / Bartosz Wójcik / Urszula Zajączkowska

przestrzeń słów & dźwięków

Tomasz Budzyński / Adrian Crowley(Irlandia) / Dendro / Dr Misio / Garde du corps: Gawlikowski & Nowicki & Witkowski / Marciniak & Markiewicz & Wosik / MY I JA / Nagrobki / Malwina Paszek / Proszek / Michał Sosna

REKLAMA

PATRONAT HONOROWY
Honorowy patronat Marszałka Województwa Śląskiego Wojciecha Saługi
Honorowy Patronat Rektora Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach

ORGANIZATOR

PARTNERZY STRATEGICZNI

PARTNERZY

PARTNERZY POSZCZEGÓLNYCH WYDARZEŃ
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Inne Tradycje.
Dofinansowano ze środków Instytutu Książki pochodzących z dotacji celowej Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

PATRONAT MEDIALNY

eprasa.pl e0187a52f8